**GORĄCZKA ZŁOTA**
Po co Polsce
100 ton kruszcu

**NIM BRAKNIE KSIĘŻY**
Oddam kościół
w dobre ręce

**BUNT NA SCENIE**
Koniec teatru,
jaki znacie

**SMUTEK CZIROKEZA**
Naród w poszukiwaniu
pamięci i duszy

**KURS KOREI**
Gdzie się
pasą tygrysy

Kraków 11 kwietnia 2021 nr 15 (3744) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

# Akademia przemocy

## Raport o skali molestowania na uczelniach

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

# Zostań w domu

## odbierz „Tygodnik” prosto ze swojej skrzynki pocztowej!

Tylko teraz: prezent na 76. urodziny „Tygodnika Powszechnego”!
Kup dowolną prenumeratę wydania papierowego, a otrzymasz w prezencie 2 wyjątkowe notesy* – „Książki do pisania” Jerzego Turowicza i ks. Adama Bonieckiego

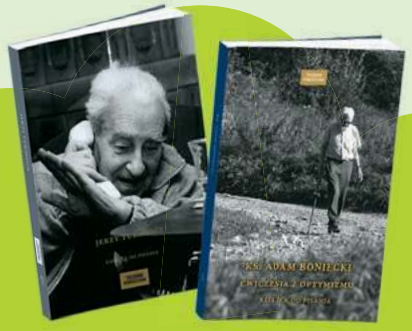


* Oferta dotyczy tylko zamówień realizowanych na terenie Polski i jest ważna do **15 kwietnia** lub wyczerpania nakładu książek.

### ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

### CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 420 zł | 540 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 240 zł | 300 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 130 zł | 160 zł |
| Pokolenia** | 365 zł | |
| Karta Dużej Rodziny*** | 365 zł | |

### „TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

| | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna + 4 wydania specjalne | 490 zł | 610 zł |
| Pokolenia* + 4 wydania specjalne | 430 zł | |
| Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne | 430 zł | |
| **4 wydania specjalne** | **75 zł** | |

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

# weź, czytaj!

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

# Boniecki: *Jak reformować Kościół*

Kiedy w 1950 r. ukazała się książka o. Yves'a Congara OP „Prawdziwa i fałszywa reforma w Kościele", a nawet później, gdy w 1968 r. wyszło jej drugie wydanie, przepracowane i uzupełnione, dominującym pytaniem o katolicyzm było: „Jaki ma być Kościół, by odpowiadał myśli Chrystusa?". Kiedy ponad 30 lat później książka ukazała się w Polsce (Znak 2001), pytania już się zradykalizowały. Chociaż pytanie „jaki Kościół?" nadal było aktualne i ważne, to te dominujące brzmiały inaczej: „czy w ogóle Kościół?", a nawet „czy w ogóle Chrystus?". I tak jest do tej pory. Jednak ks. Grzegorz Strzelczyk, prezentując książkę Congara, zatytułował swoją recenzję „O reformowalności Kościoła i pożytku z czytania starych książek" („W drodze" nr 10/1997). Podzielam przekonanie o pożytku, bo pytania „czy w ogóle Kościół?... czy Chrystus?" są wyzwaniem rzuconym Bogu („Ty jesteś Piotr, czyli Opoka, i na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą", Mt 16, 18), a wierzę, że Bóg sobie z nimi poradzi. Natomiast pytanie „jaki Kościół?" jest wyzwaniem rzuconym ludziom i dotyczy nas wszystkich.

Historia Kościoła to także historia kolejnych kryzysów i przeróżnych reform. „Święty Kościół grzesznych ludzi" – jak o Kościele pisał historyk ks. Jan Kracik – wciąż się reformuje. Ksiądz Strzelczyk kończy recenzję zdaniem Henri de Lubaca z książeczki „L'Église dans la crise actuelle", odnoszącej się do sytuacji Kościoła po Soborze Watykańskim II: „Jak rozwiąże się kryzys? Dopóki świat trwa, nie należy oczekiwać ostatecznego rozwiązania".

Wiele reform Kościoła było inspirowanych dobrym rozeznaniem niszczącego Kościół zła i dążeniem do jego usunięcia. Niestety, dalsze ciągi kończyły się sporami, wewnętrznymi wojnami i rozłamem.

Congar, który dobrze poznał dzieje niezliczonych, udanych i nieudanych reform Kościoła, pisze: „Sprawa nie jest tak prosta, gdyż tym, co trzeba zreformować pod tym czy innym względem, jest właśnie konkretny Kościół. Ten Kościół trzeba zaakceptować i zarazem nie akceptować go takim, jaki jest. Jeśli ktoś go nie zaakceptuje, wówczas – o ile w ogóle nie uchyli się tchórzliwie od podjęcia się czegokolwiek – zacznie tworzyć jakiś inny Kościół, a nie dokona reformy. Jeśli natomiast zaakceptuje go takim, jaki jest, niczego w nim nie zmieni i również go nie zreformuje. Nie trzeba zmieniać Kościoła, natomiast trzeba zmienić coś w Kościele. Nie trzeba tworzyć jakiegoś innego Kościoła, natomiast trzeba w pewnym stopniu tworzyć Kościół inny". Chodzi mu o to, by kwestionując coś w Kościele, nie kwestionować samego Kościoła.

Congar wymienia cztery warunki prawdziwego reformizmu wewnątrz Kościoła: prymat miłości i czynnika duszpasterskiego; trwałość komunii z całością; cierpliwość: liczenie się z czasem dojrzewania; prawdziwą odnowę przez powrót do zasady Tradycji, a nie wprowadzanie jakiejś „nowinki" drogą adaptacji mechanicznej.

Obszernie wyjaśnia te warunki i ostrzega przed jednostronnością, którą czasem w reakcji na herezję przejawia także prawowierna teologia. Magisterium, gdy mowa o rozwoju czy postępie dogmatycznym, zwykle kładzie nacisk na aspekt niezmienności. Dlatego w Kościele są promowani tzw. „teologowie bezpieczni", to jest tacy, którzy omijając tematy „niebezpieczne", zapewniają trzódce wiernych spokój i bezpieczeństwo. Tymczasem Kościół ma obowiązek poszukiwania prawdy, a więc docierania na tereny leżące jeszcze w granicach ortodoksji, lecz graniczące z błędem. Jest to linia prorocka Kościoła żyjącego, będącego w ruchu. „Prawda idzie aż do błędu" i okrążanie szerokim łukiem tych niebezpiecznych granicznych terenów z obawy, aby nie popaść w błąd, jest takim samym błędem, jak nazywanie fałszem czegoś, co jeszcze jest prawdziwe – zanotował Congar (cytując jezuitę – Émile'a Merscha).

Napisałem to wszystko z myślą o przeciwnikach reformy w Kościele i o jej zwolennikach z nadzieją, że przynajmniej niektórzy sięgną po książkę ojca Congara. Będzie ona dla nich delikatnym przypomnieniem, że nie wszystko się od nas zaczyna. ©℗

**Pokażmy, że pamiętamy!**

**19 kwietnia mija kolejna rocznica powstania w getcie warszawskim. Dla upamiętnienia tego wydarzenia do następnego wydania „Tygodnika" dołączymy naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy. Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik" towarzyszy jej od wielu lat.**

***Obszerny dodatek poświęcony powstaniu znajdziecie na: powszech.net/pamietamy***

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943 POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**22 Nikt mną nie rządzi**
KATARZYNA ANNA KLIMOWICZ W ROZMOWIE Z JĘDRZEJEM DUDKIEWICZEM:
*Można powiedzieć, że większość ludzi przez większość życia w ogóle nie doświadcza demokracji. Słyszy o niej w teorii, w szkole, na uczelni, albo od polityczek i polityków.*

**32 Ostatni ksiądz w parafii**
KS. HELMUT SCHÜLLER W ROZMOWIE Z ZUZANNĄ RADZIK:
*Potrzebujemy struktur kościelnych, które pozwalają być blisko ludzi, a nie administrowania z centrali.*

**50 Trzy dni, które zmieniły wszystko**
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU
*Błysk eksplozji. Pisk w uszach – świadkom i poszkodowanym w zamachach w Afganistanie nikt nie pomaga w walce z traumą.*

**61 Rozkoszny kaszel Chopina**
BARTOSZ KABAŁA
*Patogeny takie jak prątki gruźlicy – towarzyszące nam od tysięcy lat – nie tylko wywołują groźne choroby, ale także zmieniają pulę naszych genów.*

**68 Okrutna melancholia Czirokezów**
BARTOSZ HLEBOWICZ
*Według wierzeń Czirokezów choroba lub śmierć mogły być rezultatem porwania duszy. Jej efektem jest jednak także świetna literatura.*

**76 Rodzina na bogato**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
*Dlaczego Polska ma dziś Orlen zamiast Samsunga – skoro historie Polski i Korei są pod wieloma względami zaskakująco do siebie podobne?*

SÉVERINE LENGLET / CITIZENS FOR EUROPE GUG / MATERIAŁY PRASOWE // RAMIN TALAIE / CORBIS / GETTY IMAGES // NATIONAL MUSEUM OSLO / DOMENA PUBLICZNA // PIOTR JĘDRZEJCZYK / STUDIO69 / FORUM // HELEN H. RICHARDSON / DENVER POST / GETTY IMAGES // PAWEŁ PIENIĄŻEK

**6 Musimy wyprzedzić wirusa**
MACIEJ MÜLLER

**7-11 Obraz tygodnia**

**20-21 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**22 Nikt mną nie rządzi**
ROZMOWA Z KATARZYNĄ ANNĄ KLIMOWICZ

**26 Chimeryczny pewnik**
MAREK RABIJ: *W gospodarce złoto znów zyskuje na znaczeniu*

**28 Nadzieja za trzy tysiące**
ANNA GOLUS: *Na czacie erotycznym trudno poznać kobietę, która by tam nie pracowała*

**31 Zasieki nie wrócą**
MAŁGORZATA SOLECKA

**WIARA**

**32 Ostatni ksiądz w parafii**
ROZMOWA Z KS. HELMUTEM SCHÜLLEREM

**36 Osada**
JAN RYBICKI *o Dużym Domu dla przyjaciół z niepełnosprawnościami*

**40 Watykańska taryfa kar**
ARTUR SPORNIAK *tłumaczy, co Watykan może zrobić biskupowi*

**ŚWIAT**

**42 Sąsiedzi z dzielnicy Raval**
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY: *Miasto w szponach pandemii i gangów narkotykowych*

**TEMAT TYGODNIKA**

ANDRZEJ WIETESZKA

**12 Akademia przemocy**
KRZYSZTOF STORY
Ponad 40 procent studentek i studentów doświadczyło molestowania, co trzecia osoba – molestowania seksualnego.

**16 Krajobraz folwarczny**
ROZMOWA Z JOANNĄ STRYJCZYK, PSYCHOTERAPEUTKĄ:
Poczucie słabości ofiary to pierwszy warunek mobbingu czy molestowania. Dlatego gdy widzę wykładowców przyjaźniących się ze studentami, zawsze zapala mi się czerwona lampka.

**65 Rozbite twarze**
DARIUSZ KOSIŃSKI
Teatr tworzony z użyciem mechanizmów przemocy i poniżenia przypomina rodzinny dom zły, który opuszcza się z ulgą.

**FELIETONY**

**41** ZUZANNA RADZIK **55** ANDRZEJ STASIUK
**74** JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO
**82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: ANDRZEJ WIETESZKA DLA „TP”
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

**46 Zamknąć polskość**
MONIKA ANDRUSZEWSKA *o sytuacji Polaków na Białorusi*

**48 Miriam odlicza czas**
ULA IDZIKOWSKA: *W oczekiwaniu na narodziny dziecka w obozie uchodźców na Lesbos*

**50 Trzy dni, które zmieniły wszystko**
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

**53 Niemiecki plan B**
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA: *Niedobór szczepionek skłania Niemców do masowych i regularnych testów*

**HISTORIA**

**56 Zuchwalec**
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI *o międzynarodowych gangach szmuglerów w Europie okupowanej przez nazistów*

**NAUKA**

**61 Rozkoszny kaszel Chopina**
BARTOSZ KABAŁA

**KULTURA**

**65 Rozbite twarze**
DARIUSZ KOSIŃSKI

**68 Okrutna melancholia Czirokezów**
BARTOSZ HLEBOWICZ

**72 Trzymani na muszce**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Jakuba Piątka „Prime time”*

**74 Artysta, czyli potwór**
LEKTOR *o książce Sylwii Frołow „Antonówki. Kobiety i Czechow”*

**ZMYSŁY**

**76 Rodzina na bogato**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

**TYGODNIKPOWSZECHNY.PL**

**Woś się jeży**
*Czy najnowsze kłopoty brytyjskiej firmy Deliveroo to zapowiedź schyłku modelu biznesowego branży jadłokurierskiej?* – pyta **RAFAŁ WOŚ**
**tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

**Kryzys w Kościele [Podkast Powszechny]**
*Co dziś dzieje się w Kościele targanym skandalami i czy są jakiekolwiek nadzieje na odnowę?* – dyskutują, na kanwie wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”, **ZUZANNA RADZIK** i **PIOTR SIKORA** **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

*Szczepienia w Centrum Medycznym „Medyk", Rzeszów, 31 marca 2021 r.*

# MUSIMY WYPRZEDZIĆ WIRUSA

Mordercze tempo szczepień jest konieczne, bo nowe warianty wirusa zupełnie zmieniły realia przebiegu pandemii.

MACIEJ MÜLLER

Rząd zapowiedział znaczne przyspieszenie akcji: premier chce, by tempo wzrosło do 10 mln zastrzyków miesięcznie. Do końca wakacji – zadeklarował – będzie mógł się zaszczepić każdy chętny. W kwietniu do Polski może trafić nawet 7 mln dawek, w tym jednodawkowy preparat firmy Johnson & Johnson. Premier i ministrowie przedstawili zwiększenie dostaw jako swój sukces, bliżej prawdy będzie jednak stwierdzenie, że po tym, jak koncerny farmaceutyczne nie zdołały wywiązać się w pierwszym kwartale z kontraktów z Komisją Europejską, wraca po prostu na właściwe tory mechanizm zakupu i rozdziału szczepionek.

Czy zapowiedziane tempo jest możliwe do osiągnięcia? – Będzie to niezwykle trudne. To tak, jakby Węgry w ciągu miesiąca miały zaszczepić wszystkich obywateli od noworodków po seniorów – mówi Rafał Halik, epidemiolog z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego (całość rozmowy na powszech.net/szczepienia). – Z drugiej strony, musimy sobie narzucić jakieś obłędne tempo, bo zupełnie się zmieniły realia epidemiologiczne. Mamy kolejne warianty wirusa: o wiele

bardziej zakaźne, groźniejsze dla dzieci i osób w wieku produkcyjnym.

Od początku akcji zaszczepiono w Polsce zbyt mało osób, żeby ograniczyć wysokość trzeciej fali pandemicznej. Przynajmniej jedną dawkę przyjęło ponad 11 proc. populacji, obie – ponad 5 proc. (co plasuje nas w unijnej średniej). Przywrócenie dostaw sprawi, że wyzwaniem nie będzie już brak podaży, lecz logistyka. Dotychczasowy Narodowy Program Szczepień powędrował do lamusa, zrezygnowano z II i III etapu na rzecz szczepień populacyjnych. Uproszczona zostanie kwalifikacja, zwiększy się liczba punktów i liczba szczepiących (odpowiednie szkolenia kończą m.in. farmaceuci i ratownicy). Wyzwaniem pozostaje jednak to, o czym na konferencji rządowej mowy nie było: dawki są przechowywane w jednym, centralnym magazynie. Decentralizacja tego systemu wydaje się warunkiem *sine qua non* wypełnienia planu „10 milionów w miesiąc".

Minister Michał Dworczyk nie wykluczał, że „uwolnienie szczepień dla wszystkich chętnych nastąpi w maju", wcześniej miały (sukcesywnie, dzień po dniu) zapisywać się roczniki 1962-73. Tym większą niespodziankę stanowiło uwolnienie zapisów w nocy z 31 marca na 1 kwietnia. W ciągu kilku godzin, zanim system się zawiesił, bliskie terminy szczepień zdołało uzyskać ponad 100 tys. osób. Po czym okazało się, że był to „błąd systemu". Żeby z tego primaaprilisowego blamażu wyjść przynajmniej częściowo z twarzą, minister zapewnił, że terminy dla 50-latków zostaną utrzymane. Młodsi otrzymali lub mają otrzymać nowe, w maju.

To, co w tej historii budzi optymizm, to ujawnienie się sporej grupy Polaków mocno zdeterminowanych, by się zaszczepić. Rząd nie może tych oczekiwań zawieść, bo stawka jest poważna. – Albo szczepieniami wyprzedzimy wirusa do końca lata, albo znów z nim przegramy i doświadczymy fali jesiennej, będziemy mierzyli się z kolejnymi mutacjami, co będzie też wymagało rekonstruowania szczepionek i powtarzania kampanii – przestrzega Halik. – Przy tym stopniu wyczerpania społeczeństwa, gospodarki i systemu ochrony zdrowia zapobiegnięcie kolejnej fali to nie scenariusz optymistyczny, tylko zwyczajnie konieczny. ©℗

Tekst ukończono 2 kwietnia

MACIEJ GOCLON / FOTONEWS / FORUM

# Czytanie sondaży w pandemii

JAROSŁAW FLIS

Pandemia nie oszczędza oczywiście polityki. Warto uzbroić się w cierpliwość i sceptycyzm. Respondenci wiedzą, że w najbliższą niedzielę żadnych wyborów nie będzie, zaś gdyby nawet były, to wielu nie wzięłoby w nich udziału. Można ewentualnie pytać ich inaczej: „na kogo Pani/Pan zagłosuje w wyborach po zakończeniu pandemii?". Lecz dla części pytanych to tak odległa perspektywa, że częściej niż zwykle mogą odpowiadać rytualnym „Trudno powiedzieć". To nie dodaje precyzji sondażom.

Jedno tylko powiedzieć łatwo – sytuacja wygląda na jeszcze mniej stabilną niż na pierwszy rzut oka. Chociaż też nie tak rewolucyjną, jak chcieliby ci, którzy żyją nadzieją na spektakularną rozróbę. Ta jest całkiem prawdopodobna w obozie rządzącym. Lecz sondaże podpowiadają też, że zasadnicza baza PiS, obejmująca jedną trzecią wyborców, trzyma się mocno. Mało wskazuje na to, że skończy się to jak z AWS czy SLD, choć ewentualny upadek rządu może być tu katalizatorem głębszych przemian. Lecz ta jedna trzecia to nie jest margines – to podstawa, przy której można jeszcze myśleć o odbiciu niegdysiejszej pozycji i nie trzeba się martwić o przetrwanie.

Takie obawy mogą się jednak udzielać głównej sile opozycji. W ciągu roku też straciła jedną trzecią poparcia. Choć przeżyła już wiele swoich pogrzebów, to przecież nie znaczy, że nie może się pożegnać z pozycją najsilniejszego gracza „antykaczyzmu". Kierownictwo – czy to z potrzeby serca, czy z jakiejś kalkulacji – postanowiło dołączyć do chóru głoszącego „śmierć kompromisu aborcyjnego". Tym samym coraz bliżej mu jest do lewicy, co uruchamia tu niejasną konkurencję. Szczególnie, że różnica pomiędzy tymi ugrupowaniami od kilkunastu lat nie była tak mała. Od października KO z lewicą na spółkę straciły prawie tyle samo, co PiS.

Beneficjentem licytacji na bezkompromisowość jest Hołownia. Udaje mu się zapleść linę z różnych nadziei – dokładnie tak, jak PO w latach jej świetności. Można jednak wątpić, czy będzie w stanie ją uciągnąć samemu. Kto i na jakiej zasadzie będzie chciał się do ciągnięcia tej liny dołączyć, czy się ona od tego nie porozłazi – to dziś powiedzieć najtrudniej. ©

# Resetu w Europie nie będzie

PAWEŁ BRAVO

Renesans Europy obiecali w zeszły czwartek premierzy Mateusz Morawiecki i Viktor Orbán oraz włoski premier *in spe* Matteo Salvini. Gdyby ktoś wątpił, jakiej Europy chcą uczestnicy spotkania w Budapeszcie, to wygłosili oni płomienne mowy o obronie chrześcijańskich wartości i „normalnego" życia z dala od uchodźców oraz obyczajowych nowinek.

Krytycy pisali o „szczycie" populistów czy marionetek Putina, ale to też retoryczna przesada. Było to raczej nieistotne w skali międzynarodowej, obliczone na godnościowy popis przed własnymi elektoratami, spotkanie trzech błędnych rycerzy. Żadnego resetu sił w instytucjach europejskich nie będzie. Gdyby nawet osamotniony po wyrzuceniu z chadeckiej rodziny Fidesz zgodził się przyłączyć do grupy konserwatywnej, w której dominuje PiS, i dałoby się do tego doprosić Ligę (obecnie w jeszcze innej grupie), to taka nowa partia nie miałaby nic do powiedzenia w europarlamencie, gdzie liczy się zdolność do ucierania kompromisów i koalicji. Czasem zresztą całkiem zgniłych, czasem faktycznie korzystnych dla Rosji, chociaż to tylko na Orbánie, Salvinim czy Marine Le Pen ciąży odium trojańskich koni Kremla. W tym sensie nowy spójny, silny podmiot zdolny do kwestionowania niektórych zastanych układów istotnie byłby dla jakości procesu demokratycznego korzystny.

Ale ugrupowania z różnych krajów odmieniające „suwerenność" przez wszystkie przypadki różni zbyt wiele, żeby mogły grać zespołowo. Poza tym rządzą dziś tylko w Warszawie i Budapeszcie. Gdyby zaś zaczęły rządzić w większej liczbie stolic? Italia XV i XVI wieku była targana nieustannymi, okrutnymi wojnami – i tylko taki renesans może z tego wyniknąć. ©℗

## Nowy Kosztowny Ład

**RZĄD ODŁOŻYŁ** prezentację strategii wyjścia z kryzysu pandemicznego, ale ze strzępków informacji na ten temat ekonomiści próbują już budować pierwsze szacunki jej kosztów. Kluczowe pytanie brzmi: czy zmiany systemu podatkowego, które PiS chce wprowadzić wraz z pakietem Nowego Ładu, poskutkują przerzuceniem obciążeń z jednych podatników na innych? Odpowiedzi, niestety, łatwo się domyśleć.

Podwyższenie kwoty wolnej do 30 tys. zł, wymieniane wśród składowych pakietu, oznaczać będzie dla budżetu stratę rzędu 60 mld zł rocznie. Z symulacji ekonomistów wynika, że do 8 procent tej kwoty budżet może odzyskać za sprawą rosnących wpływów z VAT (więcej gotówki w portfelu na pewno zachęci do konsumpcji, zwłaszcza przy rekordowo niskich stopach procentowych). Resztę fiskus będzie jednak musiał pozyskać w jedyny znany sobie sposób – czyli zwiększając daniny innym.

O zwiększeniu progresji podatkowej, która działa w Polsce na niekorzyść najgorzej zarabiających, politycy PiS mówią od lat, nigdy jednak nie odważyli się wskazać tych, którzy mieliby dopłacić. Z przecieków, które zapewne służą sprawdzeniu reakcji wyborców, wynika, że obecnie rozważaną cezurą między płacącymi niższe i wyższe podatki miałaby być mediana zarobków, wynosząca ok. 4 tys. zł brutto. Dokładnie połowa Polaków zarabia mniej od tej kwoty i dokładnie połowa inkasuje od niej więcej. Dodatkowe obciążenia miałyby być nałożone właśnie na tę drugą grupę, zapewne progresywnie.

Postulowane od dawna podniesienie kwoty wolnej nie likwiduje jednak kluczowych problemów polskiego systemu podatkowego, na czele z relatywnie nisko ustawionym drugim progiem i brakiem kolejnych, które obowiązywałyby najbogatszych. W 2009 r. – kiedy zlikwidowano trzeci próg podatkowy – w drugi wpadało ok. 350 tys. podatników. W tym roku – już ponad 1,5 mln.

©℗ MAREK RABIJ

### KRAJ W SKRÓCIE

**CZŁOWIEK**
**Policja zatrzymała Waldemara B., b. senatora PiS (w 2015 r. został zawieszony za antysemickie wypowiedzi), podejrzanego o znęcanie się nad psem; za ciągnięcie psa przez samochód grozi mu do 5 lat więzienia.**

**ZWIERZĘ**
**„Pojęcie »prawa zwierząt« nie występuje w naukach prawnych. Jest ono związane jedynie ze sferą wyobrażeń ideologicznych" – powiedział „Naszemu Dziennikowi" wiceminister edukacji Tomasz Rzymkowski, zapowiadając weryfikację pod tym kątem podręczników szkolnych.**

YOUTUBE.COM/SBMLABEL

**KONSULTACJA**
**„Patoreakcja", nowy utwór rapera Maty, zawiera m.in. wulgarne drwiny z prezesa TVP Jarosława Kurskiego. W wywiadzie dla „Polityki" wykonawca przyznał, że konsultował treść utworu pod względem prawnym z ojcem, prof. Marcinem Matczakiem.**

**KOMENTARZ**
**Nieco łagodniejszy w ocenie TVP jest Jarosław Gowin: krytyczny materiał na temat Pawła Borysa, szefa Polskiego Funduszu Rozwoju i bliskiego współpracownika premiera Morawieckiego, nazwał pseudodziennikarstwem.**

**BEZ KOMENTARZA**
**Nowym członkiem zarządu przejętego przez Orlen koncernu Polska Press została Dorota Kania, bliska partii władzy dziennikarka, którą przed laty oskarżano o płatną protekcję w głośnej sprawie lobbysty Marka Dochnala.**

## *Biedni Polacy*

MICHAŁ OKOŃSKI

Historia się powtarza. Kiedyś prezydent Obama użył frazy o „polskich obozach śmierci", a szef FBI Comey mówił o „mordercach i ich wspólnikach z Niemiec, Polski i Węgier". Teraz Masha Gessen pisząc w „New Yorkerze" o procesie Barbary Engelking i Jana Grabowskiego zauważa, że „kłopoty prawne dwojga historyków wynikają z ciągłych wysiłków polskiego rządu, aby uwolnić Polskę – zarówno etnicznych Polaków, jak i państwo polskie – z winy za śmierć trzech milionów Żydów w Polsce podczas okupacji hitlerowskiej". Wszystkie te zdania są nieścisłe lub nieprawdziwe, wokół wszystkich wybucha u nas burza, publikowane są sprostowania – także przez „New Yorkera", poprawiającego niefortunną frazę.

Ale historia się powtarza też w innym sensie. „Czytamy czy słuchamy rozważań o żydowsko-polskiej przeszłości i kiedy tylko dojdzie do nas zdarzenie, fakt, który nie najlepiej o nas świadczy, gorączkowo staramy się go pomniejszyć, wytłumaczyć, zbagatelizować" – pisał w „TP" Jan Błoński w 1987 r. Nie umiemy o tym rozmawiać (streszczam myśl autora „Biednych Polaków patrzących na getto"), bo boimy się pytania-oskarżenia: „ach, wyście także służyli śmierci?". Choć przecież ono musi paść, niezależnie od odpowiedzi, jakiej na nie udzielimy.

Historia się powtarza – i będzie się powtarzać, dopóki to, co się wydarzyło w Polsce w latach okupacji hitlerowskiej, nie zostanie opowiedziane. Szykanowanie badaczy tamtych czasów z pewnością sprawy nie ułatwia. ©℗

## Aleksiej Nawalny sięga po broń ostateczną

**NAJWAŻNIEJSZY WIĘZIEŃ PUTINA,** przebywający w kolonii karnej Pokrow, ogłosił 31 marca głodówkę. Nawalny domaga się lekarza i leków, skarży się na bóle pleców i brak czucia w nogach (pamiętajmy, że kilka miesięcy temu został otruty nowiczokiem; na jego zdrowiu odbija się też stosowana w kolonii praktyka budzenia więźnia co godzinę, aby się zameldował). Prośby Nawalnego są ignorowane, Kreml zapowiedział, że nie zamierza komentować sytuacji, a Federalna Służba Więziennictwa z sadystyczną przyjemnością zapewnia, że więzień ma wszystko, czego mu trzeba.

Ogłoszenie głodówki to dla więźnia pozostającego w łapach opresyjnego systemu broń atomowa: zagranie własnym zdrowiem, a może i życiem. Przejmujące świadectwo woli walki do końca. „Życie więźnia jest tu warte mniej niż paczka papierosów" – napisał Nawalny.

Troskę o jego zdrowie wyrazili podczas wideokonferencji z Putinem kanclerz Merkel i prezydent Macron. Usłyszeli dyżurny uspokajający komunikat. W chwili oddawania tego numeru do druku Kreml sygnalizował zatem, że nie zamierza uginać się pod naciskiem. © ANNA ŁABUSZEWSKA

EARTHOBSERVATORY.NASA.GOV

**UCHO IGIELNE.** Po tygodniowej blokadzie Kanału Sueskiego przez kontenerowiec Ever Given, który utknął na mieliźnie, wracają pomysły, jak uniezależnić od tej trasy światowy handel. W planach jest rozbudowa ropociągu z Ejlatu nad Morzem Czerwonym do Aszkelonu nad Morzem Śródziemnym (dla ropy znad Zatoki Perskiej) i kolej z Hajfy przez Jordanię do Abu Zabi. Prace przyspieszyły, odkąd Izrael znormalizował stosunki ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Zdjęcie satelitarne z 27 marca pokazuje „korek" statków przed południowym wejściem do Kanału Sueskiego. ©℗ WP / FAZ

## Słowacka roszada

**NOWYM PREMIEREM** został Eduard Heger, do niedawna minister finansów, a Igor Matovič, który pod koniec marca ustąpił ze stanowiska szefa rządu, objął resort finansów. Nowy rząd został zaprzysiężony przez prezydent Zuzanę Čaputovą 1 kwietnia. W ten sposób zakończył się trwający od kilku tygodni kryzys w rządzącej Słowacją koalicji czterech partii. Napięcia eskalowały po decyzji premiera Matoviča o sprowadzeniu – bez wiedzy koalicjantów – rosyjskiej szczepionki.

Większość ministrów pozostała w nowym rządzie. Jednak zmiana nastąpiła na ważnym dziś stanowisku ministra zdrowia: został nim lekarz i zawodowy żołnierz Vladimír Lengvarský, który ostatnio zarządzał Centralnym Szpitalem Wojskowym w Rużomberku.

Marzec był wyjątkowo trudny dla Słowacji, która odnotowywała rekordowe liczby nowych zakażeń COVID-19, hospitalizacji i zgonów osób zakażonych. W ostatnim czasie wskaźniki te zaczęły powoli spadać, ale do opanowania epidemii jeszcze daleko. Przed ministrem Lengvarským – i całym nowym rządem – czas próby. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

## Współodpowiedzialność za ludobójstwo

**FRANCJA PONOSI** „poważną i przygniatającą odpowiedzialność" za masakry, do których w 1994 r. doszło w Rwandzie, natomiast ówczesnym władzom francuskim nie można dowieść tu „współwiny": do takiego wniosku doszła komisja historyczna, powołana przez prezydenta Emmanuela Macrona. Aby sporządzić swój raport – liczący ponad tysiąc stron i przedstawiony w ubiegłym tygodniu – komisja przez dwa lata analizowała 8 tys. dokumentów państwowych, dotąd objętych klauzulą tajności. Od kwietnia do lipca 1994 r. w Rwandzie członkowie plemienia Hutu zabili co najmniej 800 tys. ludzi, głównie członków plemienia Tutsi. Wśród sprawców było wielu żołnierzy i policjantów.

Analizując politykę Francji wobec Rwandy w latach 1990-94, gdy w kraju tym trwała wojna domowa, historycy doszli do wniosku, że cechowała ją „ślepota". Ówczesny prezydent Mitterand popierał „bezwarunkowo" władze Rwandy, ignorując opinie tych, którzy ostrzegali, że wspiera „rasistowski, skorumpowany i brutalny reżim". Wprawdzie Francja nie ponosi winy za ludobójstwo Tutsich, ale jej polityka przyczyniała się do tego, że reżim ten, w którym ekstremiści z plemienia Hutu odgrywali główną rolę, coraz bardziej się radykalizował.

©℗ WP / FAZ, ARD

# *Skąd się wziął koronawirus*

BARTOSZ KABAŁA

Choć wkrótce minie półtora roku od pierwszego ogniska SARS-CoV-2, wciąż nie znamy jego genezy. Pierwszą podróż do źródeł wirusa zwieńczył pod koniec marca raport specjalnego zespołu WHO. Podczas misji do Wuhan eksperci chińscy i międzynarodowi mieli stwierdzić, czy mógł on mieć pochodzenie odzwierzęce.

Opublikowany w minionym tygodniu raport WHO nie wyklucza jednak żadnej możliwości, choć za najbardziej prawdopodobny uznaje scenariusz, że wirus z nietoperza lub łuskowca przeniósł się na człowieka przez jednego bądź kilku zwierzęcych gospodarzy pośrednich. Wiadomo już, że koronawirus może zakażać zwierzęta domowe i gospodarskie, choć nie zaobserwowano, aby poprzez nie pandemia dalej szerzyła się na ludzi. Za mniej prawdopodobne uznano bezpośredni przeskok wirusa z nietoperza na człowieka. W grę wchodzą jeszcze inne możliwości, a z nimi też polityka. Chińskie media promują teorię, według której źródłem wirusa nie jest targ zwierzęcy w Wuhan, lecz importowane do Chin mrożone mięso. To miałoby częściowo oczyścić Chiny z zarzutów o opieszałość i milczenie na początku epidemii. WHO uznaje ten scenariusz za możliwy.

Za najmniej realne raport uznaje przypadkowe lub umyślne przeniesienie SARS-CoV-2 z laboratorium wirusologicznego w Wuhan. Jednak dla wielu to wciąż prawdopodobny scenariusz. Pojawiają się też zarzuty, że raport nie jest wiarygodny. USA, Wielka Brytania, Izrael oraz 11 innych państw we wspólnym oświadczeniu zwracają uwagę na opóźnienia i niepełny dostęp do oryginalnych danych i próbek. Podobne oświadczenie wydała Unia Europejska. Szef WHO podkreśla jednak, że źródło wirusa nie zostało odnalezione, a więc to nie koniec poszukiwań. ©

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**KLIMATYCZNE 10 PRZYKAZAŃ**
Dykasteria ds. Integralnego Rozwoju Człowieka opublikowała „Wskazówki duszpasterskie w sprawie przesiedleńców klimatycznych". Dziesięciopunktowy dokument zawiera listę zaleceń dotyczących tego, jak wpływać na kształtowanie polityki, biorąc pod uwagę, że programy rządowe dotyczące przesiedleńców „często są nieadekwatne, krótkowzroczne i podlegające dyktatowi ekonomii". To pierwszy watykański dokument odnoszący się wyłącznie do skutków zmian klimatycznych.

**SZCZEPIONKI DLA BEZDOMNYCH**
„W tym roku to szczepionka będzie znakiem obmycia nóg biednym" – tak określił jałmużnik papieski kard. Konrad Krajewski watykańską akcję szczepienia na COVID-19 bezdomnych, rozpoczętą w Wielkim Tygodniu.

**KRYTYK MASECZEK ZDYMISJONOWANY**
Papież przyjął rezygnację meksykańskiego biskupa Antonia Gonzáleza Sáncheza, który od 1995 r. kierował diecezją Ciudad Victoria w północno-wschodniej części kraju. Do osiągnięcia wieku emerytalnego zostały mu jeszcze dwa lata. W lutym podczas jednej z mszy hierarcha oświadczył, że noszenie maseczek w celu ochrony przed koronawirusem podaje w wątpliwość zaufanie wobec Boga.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**ŁUKASZ GRAJEWSKI**
opowie Agnieszce Lichnerowicz o epidemii w Niemczech (korespondencja na s. 53) w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w środę 7 kwietnia, o godz. 15.20.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

TOMASZ TERLIKOWSKI

# *Probierz prawdy*

**ARTUR SPORNIAK: Jakie trudności czekają komisję do zbadania przestępstw o. Pawła M., której Pan przewodniczy?**
**TOMASZ TERLIKOWSKI**: Docierają do mnie setki filmików nagrywanych przez Pawła M. i rozsyłanych do jego wyznawców. Otrzymujemy także sygnały, że ofiar działań przemocowych i psychomanipulacji religijnej jest bardzo dużo. Mamy do czynienia z wydarzeniami sprzed 20 lat. W tym czasie zmieniła się nie tylko społeczna mentalność, ale także system prawny i prawno-kanoniczny. Ustalenie, jakie były wtedy reguły, co wynikało z tamtego myślenia, a co było skandalicznym niedopatrzeniem, będzie wymagało żmudnej pracy. Mam jednak nadzieję, że pokonanie tych trudności posłuży nie tylko dominikanom, ale wszystkim, którzy pracują z młodymi.

TOMASZ URBANEK / DDTVN / EAST NEWS

**Czy termin zakończenia prac – 30 czerwca – jest realny?**
Obawiam się, że bardziej prawdopodobnym terminem będzie koniec wakacji. Nie wyobrażam sobie rozmów z ofiarami prowadzonych z powodu pandemii przez internet.

**W Polsce taka komisja jest unikatowym eksperymentem. Dlaczego powołał Pan do niej osobę, która popełniła wiele plagiatów – Sabinę Zalewską?**
Po postawieniu jej zarzutów pani dr Sabina Zalewska odwołała się do komisji uczelnianej, która orzekła, że nie mieliśmy do czynienia z plagiatem. Mam nadzieję, że i komisja, i jej skład obroni się raportem, który sporządzimy.

**Na tych łamach pokazaliśmy, że niektóre z tekstów dr Zalewskiej były prawie w całości kompilacjami tekstów innych autorów. Czy przewiduje Pan możliwość zmiany składu komisji?**
Być może jej rozszerzenie o dodatkowych ekspertów. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

**TOMASZ TERLIKOWSKI** *jest publicystą i dziennikarzem. Dominikanie powierzyli mu powołanie niezależnej komisji do zbadania przestępstw o. Pawła M.*

## Biskupi za wsparciem par jednopłciowych

**NIE MILKNĄ ECHA** po opublikowaniu dokumentu Kongregacji Nauki Wiary wykluczającego w Kościele błogosławienie par jednopłciowych. „Powinniśmy mniej mówić o seksualności, a więcej o miłości, więcej o udanych związkach, a mniej o tym, co wolno, a czego nie" – stwierdził arcybiskup Wiednia kard. Christoph Schönborn, uznając dokument za „wyraźny błąd w komunikacji". Podobne stanowisko zajął arcybiskup Innsbrucka Hermann Glettler.

Niezadowolenie wyrazili także hierarchowie brytyjscy i irlandzcy. Arcybiskup Westminsteru kard. Vincent Nichols wysłał przesłanie wsparcia dla katolików LGBT+, a biskup irlandzkiego Achonry Paul Dempsey podkreślił, że wiele związków tej samej płci „wzbogaciło życie Kościoła i nadal czyni to w parafiach na całym świecie".

Sytuacja przypomina kontestację zakazującej antykoncepcji encykliki „Humanae vitae" pod koniec lat 60. i w latach 70. Różnica jest taka, że za czasów pontyfikatów Pawła VI i Jana Pawła II „zmysł wiary" Kościoła redukowany był do głosu papieża i sprzeciw wobec niego konsekwentnie ignorowano, natomiast Franciszek programowo chce doceniać także „zmysł wierzących". ©℗ ARTUR SPORNIAK

## Msza nie prywatna

**PIĘCIU KARDYNAŁÓW** zaprotestowało publicznie przeciwko rozporządzeniu Sekretariatu Stanu, które zakazuje odprawiania w bazylice św. Piotra mszy indywidualnych bez udziału wiernych. Możliwe są jedynie msze koncelebrowane. Sobór Watykański II pozwala na odprawianie „mszy prywatnych" jedynie w nadzwyczajnych sytuacjach. Tymczasem dla księży pracujących w rzymskiej kurii codzienna cicha msza, często po łacinie, przy bocznym ołtarzu, stała się normą.

Kard. Robert Sarah, były prefekt Kongregacji Kultu Bożego, prosi papieża o odwołanie zakazów, powołując się na argumenty teologiczne (że wiele mszy to zwielokrotnienie łaski Bożej), historyczne (tradycja niemal tysiącletnia), prawne (nie można zakazać księdzu odprawienia mszy ani zmusić go do koncelebry), a nawet epidemiologiczne (wspólne odprawianie zwiększa ryzyko zarażenia się COVID-19).

Jedna z najważniejszych zmian wprowadzonych przez soborową konstytucję o liturgii wchodzi w życie także w Watykanie. Po 58 latach.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

## KULTURA W SKRÓCIE

**TWÓRCA „RODZINY TREFLIKÓW”**
Marek Skrobecki został uznany za najlepszego reżysera filmów krótkometrażowych na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dziecięcych w San Diego. Produkcję nominowano także w kategorii „najlepszy film animowany dla dzieci” na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych ANIMOCJE 2021.

**DOBRA WIADOMOŚĆ**
dla tych, którzy nie załapali się na pokazy kinowe jednego z najważniejszych polskich filmów ostatnich lat. Zaledwie miesiąc po premierze kinowej, na platformę VOD Nowych Horyzontów wchodzi „Zabij to i wyjedź z tego miasta” Mariusza Wilczyńskiego. Film nagrodzono Złotymi Lwami na festiwalu w Gdyni.

**„KRĄG KANTORA”**
Adrianny i Iwo Książków to film o młodzieży, która w czasie wojny, na przekór okupacji, tworzyła i rozwijała sztukę. W tym czasie poznali się m.in. Jerzy Nowosielski, Wojciech Jerzy Has, Marek Rostworowski i Jerzy Turowicz. Bezpłatny pokaz z okazji rocznicy urodzin Tadeusza Kantora na stronie vod.nowyteatr.org.

**„OUTRIDERS”**
– jedna z najbardziej oczekiwanych na świecie polskich gier – miała premierę z początkiem kwietnia. Wersję demonstracyjną pobrano przeszło 2 mln razy.

PEOPLECANFLY / MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR TAŁAŁAJ / BIEBRZAŃSKI PARK NARODOWY

**JEST TAK, JAK BYĆ POWINNO** – słychać w otulinie Biebrzańskiego Parku Narodowego. Po śnieżnej i mroźnej zimie w północno-wschodniej Polsce okoliczne łąki zamieniły się w rozlewiska. Ze wszechobecnej wody korzystają migrujące ptaki. Przełom marca i kwietnia to czas przelotów m.in. gęsi białoczelnych i tundrowych, które wracają z zimowisk w zachodniej Europie. Biebrza, jedna z ostatnich prawdziwie wolnych rzek europejskich, to dla nich ważny przystanek na długiej drodze na północne lęgowiska. Z kolei dla ludzi tegoroczny spektakl może być wzmacniającą opowieścią o regeneracyjnych zdolnościach natury. We wspomnieniach okolicznych mieszkańców wciąż świeża jest pamięć o wyjątkowo suchym roku ubiegłym i o trwającym tydzień pożarze, który strawił 5,5 tys. ha parku narodowego i jego otuliny. © ADAM ROBIŃSKI

## Co się dzieje w martwym mózgu

**BADANIA NA MODELACH** zwierzęcych mają ograniczenia, a eksperymentowanie na funkcjonującym ludzkim mózgu jest przeważnie wykluczone ze względów etycznych. Dlatego w celu poznania natury chorób neurologicznych i zaburzeń psychicznych oraz opracowania efektywnych metod ich leczenia często prowadzi się badania mózgu *post mortem*.

Aby sprawdzić ograniczenia tej metody, Fabien Dachet z zespołem porównali cechy tkanek pobranych od pacjentów neurologicznych podczas operacji oraz od osób zmarłych. W „Scientific Reports” donoszą, że w tych drugich dochodziło do specyficznej zmiany aktywności niektórych genów. Nasila się zwłaszcza transkrypcja genów komórek glejowych, pełniących w mózgu funkcje „porządkowe”. W efekcie komórki te gwałtownie się rozrastają. Nie powinno to dziwić: umierające z braku tlenu i glukozy neurony rozsiewają wiele zanieczyszczeń, które glej jeszcze przez jakiś czas próbuje usuwać.

Nowe ustalenia mogą przyczynić się do zmian w interpretacji badań prowadzonych na tkankach pobranych od zmarłych. © KATARZYNA DZIADOWICZ

## Minimum życiowe

**O STWORZENIU** najprostszego żyjącego organizmu poinformował w „Cell” zespół Elizabeth A. Strychalski. To komórka bakteryjna posiadająca laboratoryjnie zsyntetyzowany materiał genetyczny, zawierający zaledwie około 500 genów (dla porównania: genom bakterii *E. Coli* liczy ok. 4 tys. genów, a człowieka: ok. 30 tys.). Pierwszy taki twór, skonstruowany na bazie komórki bakterii *M. capricolum*, opisano w 2010 r. – organizm zwany JCVI-syn1.0 posiadał 900 genów, prowadził metabolizm i mógł się rozmnażać. Wersja JCVI-syn3.0, która powstała pięć lat temu, zawierała już poniżej 500 genów, ale straciła zdolność do prawidłowej reprodukcji. Teraz, jak donoszą badacze, udało się ją przywrócić, po dołączeniu do zestawu kolejnych 19 genów.

Badania mają pomóc zrozumieć najbardziej fundamentalne procesy, które rządzą życiem, a w przyszłości – pomóc skonstruować całkowicie syntetyczne organizmy. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

# AKADEMIA PRZEMOCY

Ponad 40 procent studentek i studentów doświadczyło molestowania, co trzecia osoba – molestowania seksualnego. Według anonimowych badań, bo oficjalne skargi są rzadkością, a sprawcy latami pozostają bezkarni.

TEKST KRZYSZTOF STORY ▪ ILUSTRACJE ANDRZEJ WIETESZKA

Post pojawia się 9 czerwca 2020 r., 22 minuty po północy. Do tej pory administrator facebookowej strony ŚUMemes wstawiał głównie prześmiewcze memy z życia Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Ten wpis jest inny. Autor pisze, że uczelnia zamieniła się w piekło. Prosi studentów, by opisali swoje historie. Kończy: „ŚUM-ie kochany, ogarnij się. Błagamy".

42 godziny później pod postem jest 736 komentarzy. W specjalnie stworzonej ankiecie – 420 odpowiedzi. W skrzynce odbiorczej na Facebooku – 1988 wiadomości. To historie studentów, w większości – historie mobbingu, znęcania się nad studentami, molestowania i seksizmu. Uczelnia z początku odpowiada, że do rektora nie wpłynęła żadna oficjalna skarga. Sugeruje nawet obronę dobrego imienia uczelni na drodze prawnej.

Historii przybywa, oskarżenia robią się coraz poważniejsze. Część pojawia się na ŚUMemes. M.in. relacje z obozów dla studentów ratownictwa medycznego w Bieszczadach. Studentka pisze o tym, jak pijani wykładowcy weszli do pokoju jej i koleżanki. „Objął mnie od tyłu, zaczął całować po szyi, stałam jak wryta" – pisze dziewczyna. Inna historia: „upatrzył sobie jedną z dziewczyn. Poprosił, żeby przyszła do niego wieczorem i spytał, czy chce mieć piątkę w indeksie. Dziewczyna się skusiła. Po wszystkim on wystawił ją za drzwi i oddał indeks. Kiedy go otworzyła, znalazła 5 złotych...".

Sytuacja na ŚUM trafia do mediów, w jej wyjaśnienie włącza się Rzecznik Praw Obywatelskich, ton zdecydowanie zmienia też sama uczelnia. Publikuje w internecie oficjalny formularz do zgłaszania skarg. ŚUM składa pięć zawiado-

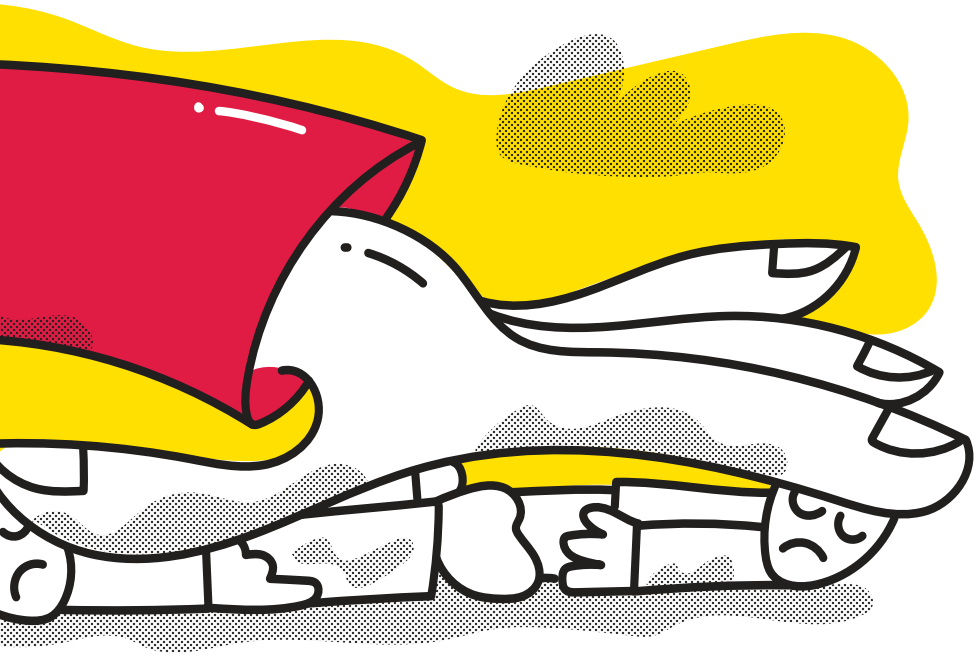

mień do prokuratury, zaczyna trzynaście postępowań dyscyplinarnych. Z jednym z wykładowców bardzo szybko rozwiązuje umowę, niektóre postępowania nadal trwają. Kilka miesięcy później, komentując chaos związany z nauką zdalną, admin ŚUMemes pisze: „Wielokrotnie zadawane jest nam pytanie, czy coś zmieniło się na uczelni. Powyższa sytuacja jest doskonałym przykładem tego, że nie bardzo. Część z najczarniejszych bohaterów ma sprawy dyscyplinarne, część zdobywa nagrody. Ale atmosfera, podejście do spraw studenta pozostało niezmienne".

### Tajemnica poliszynela

O patologii na uczelniach słyszymy dość regularnie. Ostatnio dzięki doniesieniom o przemocy i molestowaniu w Szkole Filmowej w Łodzi. Historia ŚUM była wyjątkowa ze względu na skalę. Dlaczego akurat ten wpis w internecie wywołał lawinę? Większość spraw, które wyszły na jaw, trwała przecież od lat i nigdy nie została oficjalnie zgłoszona. Jaka jest skala problemu?

Jednym z niewielu źródeł jest opublikowany w 2018 r. raport z badań prowadzonych na zlecenie RPO. Wzięło w nich udział 4284 studentów i studentek z 76 uczelni. Ponad 40 proc. (wśród kobiet – 47) z nich doświadczyło w trakcie studiów molestowania (nie tylko seksualnego – patrz ramka na następnej stronie). Co czwarta osoba – na terenie uczelni.

Autorzy badań podkreślają, że przeważająca liczba przypadków molestowania seksualnego dotyczy kobiet. W trakcie studiów przynajmniej jednej takiej sytuacji doświadczyło 44 proc. z nich (wśród mężczyzn 12 proc.). W 15 proc. przypadków sprawcą był pracownik naukowy. Tylko co dwudziesta kobieta zgłosiła sprawę komuś z uczelni.

– Spodziewamy się, że nasza uczelnia nie jest wyjątkiem, ale brakuje nam dokładnych danych – komentuje statystyki Michał Powszedniak, p.o. kierownika Działu ds. Bezpieczeństwa i Równego Traktowania (Bezpieczni UJ) na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Możemy opierać się tylko na zgłoszeniach, a te nie oddają pełnego obrazu sytuacji.

Tylko że zgłoszeń oficjalnych jest jak na lekarstwo. Na ogromnym UJ – kilkanaście spraw rocznie. Na ŚUM przez lata nie było żadnego zgłoszenia. Historie molestowania, zwłaszcza seksualnego, opowiada się raczej bliskim, przyjaciołom. A często stają się anegdotą znaną na całym wydziale: zazwyczaj wszyscy studenci wiedzą, która profesorka lubi obrażać studentów, który wykładowca ma lepkie ręce.

– Odnoszę wrażenie, że każda osoba studiująca zna takie historie – komentuje Powszedniak. – Ale jeśli ktoś sam przez to przejdzie, nie chce do tego wracać, a kolejne roczniki dalej zmagają się z problemem. Najczęściej potrzebna jest jedna osoba, która zacznie mówić. Niestety przeważnie to ktoś, kto nie ma już nic do stracenia. Dobrze, jeśli trafia do nas. I wtedy często dołączają kolejne.

Taką uczelnianą „tajemnicą poliszynela" na UJ było molestowanie studentek przez Macieja M., dziennikarza i wykładowcę Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych. Tutaj zmowę milczenia udało się przełamać. Na M. wpłynęły trzy skargi, pod jedną było aż 20 podpisów. W lutym M. został dyscyplinarnie zwolniony z UJ, w sprawie dalej toczy się postępowanie przed komisją przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Sprawa M. pokazuje ważny problem. Uczelnia przyznała, że od dawna wiedziała o zarzutach wobec niego m.in. z anonimowych ankiet wypełnianych przez studentów.

– Ankiety są bardzo ważne – podkreśla Powszedniak. – Nie oszukujmy się, jeśli w ankietach od lat zgłaszane są nieprawidłowości, to ewentualna skarga staje się dużo bardziej wiarygodna. Ale ona musi się pojawić, nie możemy działać wyłącznie na podstawie anonimowych ankiet.

### 4,75 terapeuty

Molestowanie, mobbing opierają się na układzie: silny–słaby. Doniesienie na własnego wykładowcę czy przełożonego zawsze wiąże się z dużym ryzykiem. Ofiara potrzebuje gwarancji bezpieczeństwa. W tym aspekcie na niektórych uczelniach przez ostatnią dekadę zmieniło się naprawdę dużo. 10 lat temu rektor UJ powołał pełnomocniczkę ds. bezpieczeństwa studentów i doktorantów, Katarzynę Jurzak. Od początku 2020 r. Jurzak (obecnie na dłuższym urlopie) kieruje już całym działem Bezpieczni UJ. Od marca 2019 r. uniwersytet oferuje też studentom wsparcie psychologiczne w Studenckim Ośrodku Wsparcia i Adaptacji SOWA. Przez dwa lata SOWA przyjęła 912 osób, w większości w trybie interwencji kryzysowej.

– Specjaliści z zespołu nie pracują nigdzie indziej na uczelni, nie oferujemy też pomocy psychologicznej dla ↦

↦ wykładowców – mówi Jagna Kazienko, kierowniczka SOWY. – Podstawą naszej pracy jest zaufanie. Studenci mają się u nas czuć bezpiecznie. Student nie spotka tu swojego promotora na korytarzu. Wykładowcy dostają wsparcie w innej formie, np. warsztatów z zakresu komunikacji w sytuacjach trudnych.

Jak opowiada Jagna Kazienko, najwięcej osób zgłasza się w czasie sesji i na początku roku akademickiego. – Najczęściej są to objawy lękowo-depresyjne, a ich podłoże jest bardzo różne: trudności ze studiowaniem, w relacjach – mówi. – Wielu z tych spotkań można by uniknąć, gdyby w szkole istniała np. edukacja emocjonalna czy łatwiejszy dostęp do psychoterapii dla nastolatków. Historie mobbingu i molestowania, różnego rodzaju nadużyć też słyszymy, to są bardzo trudne rozmowy. Niestety, takie rzeczy dzieją się w każdej hierarchicznej strukturze.

W niektórych miesiącach SOWA realizuje nawet 300 interwencji. Od zwykłych rozmów po telefony na pogotowie z podejrzeniem próby samobójczej. Obecnie cały zespół pracuje zdalnie, dyżurując przy telefonach. Jeśli policzyć etaty, SOWA zatrudnia 4,75 psychoterapeuty.

– Oprócz tego studenci mogą też skonsultować się z psychiatrą tu na miejscu. Współpracujemy też ze Szpitalem Uniwersyteckim w Krakowie. Już w pierwszym miesiącu przyjęliśmy 40 osób. Okazało się, że zapotrzebowanie jest ogromne i to na każdą pomoc psychologiczną – opowiada kierowniczka ośrodka.

Większość podobnych do SOWY jednostek na uczelniach funkcjonuje np. jako część Wydziału Psychologii – tak jest m.in. na Uniwersytecie Warszawskim. Oddzielenie od reszty uczelni, także przestrzenne, wyraźnie służy ośrodkowi. SOWA ma dobrą opinię wśród pracowników i studentów UJ.

– Niektórzy wykładowcy traktują nas jak psychologa szkolnego – dodaje Jagna Kazienko. – Dzwonią do nas i proszą, żeby zająć się studentem, bo coś się z nim dzieje. Mają dobre intencje, ale my dorosłym człowiekiem możemy zająć się tylko wtedy, kiedy sam się do nas zgłosi.

### Duży może więcej

Podobne rozwiązania wdrażają inne uczelnie. 7 stycznia 2021 r. ŚUM powołał specjalną komisję oraz Rzecznika Praw Studenta i Doktoranta. Rozwój oferty najlepiej widać na Uniwersytecie Warszawskim. Stanowisko ombudsmana, czyli rzeczniczki akademickiej, istnieje tam od 10 lat. W 2012 r. rzeczniczce zgłoszono 130 spraw, w zeszłym roku 265.

> Postępowanie dyscyplinarne potrafi trwać miesiącami. Często w tym czasie sprawca nadal prowadzi zajęcia.

– Faktyczna liczba problemów albo pozostaje taka sama, albo się zmniejsza, ale jest coraz większa gotowość do ich zgłaszania – mówi Anna Cybulko, ombudsman UW. – Po części odpowiada za to zmiana pokoleniowa i zmiana oczekiwań. Poszły za tym działania uczelni, wiele osób czuje ich skuteczność. Zwiększyły się też moje możliwości. 10 lat temu miałam tylko swoje dwie ręce i pół etatu. Dzisiaj pracujemy w czteroosobowym zespole.

Wsparcie na UW to nie tylko ombudsman. Główna Specjalistka ds. Równouprawnienia, Komisja ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji, Rzecznik Praw Studenta, Konsultantka ds. Przemocy Seksualnej, Koordynator i Komisja ds. Przeciwdziałania Mobbingowi, Centrum Pomocy Psychologicznej... lista instytucji się nie kończy i rozmiarem odpowiada samej uczelni. Na UW jest prawie 45 tys. studentów i 7,5 tys. pracowników. To największa wyższa szkoła w kraju.

W Polsce działają 94 publiczne uczelnie. W latach 2010-18 przypadki molestowania zgłaszano na 25 z nich. Z raportu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

## Molestowanie: wachlarz nadużyć

▪ **POD TERMINAMI** „molestowanie" i „molestowanie seksualne" kryje się cały wachlarz zachowań. Od tych traktowanych pobłażliwie lub jako brak kultury osobistej, do ujętych w kodeksie karnym.

▪ **MOLESTOWANIE** to m.in: niestosowne uwagi, wyśmiewanie, niepozwalanie na wypowiedź, ostentacyjne lekceważenie, obrażanie, oczernianie w gronie znajomych czy współpracowników, niesprawiedliwe wymagania, obraźliwe gesty, naruszenie nietykalności cielesnej, prześladowanie (śledzenie, niechciane wiadomości), groźby.

▪ **MOLESTOWANIE SEKSUALNE** to m.in.: obnażanie się przed kimś w celu przestraszenia lub dokuczenia, wysyłanie nieprzyzwoitych wiadomości, sprośne komentarze, publiczne komentowanie czyjegoś ciała, wysyłanie nagich zdjęć, naruszenie nietykalności cielesnej, uzależnianie sytuacji drugiej osoby od zgody na seks.

▪ **SCENARIUSZ**, w którym profesor dręczy czy uwodzi młodą studentkę lub studenta, jest na ogół najłatwiejszy do wyobrażenia. Warto pamiętać, że to scenariusz dość częsty, ale nie jedyny. Poszkodowani bywają nie tylko studenci, ale też inni pracownicy i pracowniczki naukowe. Zdarza się również, że to wykładowca jest molestowany przez studentów czy studentki.

▪ **WSPÓLNĄ CECHĄ** tych sytuacji jest różnica pozycji między sprawcą a ofiarą. W raporcie przygotowanym dla RPO w 2018 r. okazało się, że nawet dość poważne naruszenia występują często. Ponad 11 proc. studentek było obejmowanych lub całowanych wbrew woli (tylko 2,9 proc. mężczyzn). Co dziesiąty student znalazł się w sytuacji, w której wymagano od niego więcej niż od reszty grupy.

▪ **NADUŻYCIA** na uczelni dzieją się często w sposób bardzo jawny. W cytowanym badaniu 70 proc. sprawców to byli mężczyźni, a ponad połowa najbardziej przykrych dla studentów sytuacji miała miejsce na sali wykładowej. Sprawca ma silną pozycję, poszkodowani zaś czują się bezsilni. Często bagatelizują to zachowanie jako element „twardej szkoły". W badaniu 88 proc. osób stwierdziło, że sprawca był odpowiedzialny za sytuację. Tylko co trzecia odpowiedziała, że powinien zostać ukarany. © KS

z 2019 r.: „jedynie 14 spośród 93 uczelni [Uniwersytet Rzeszowski nie odpowiedział na pytania w badaniu – red.] wprowadziło instytucje, do których zadań należy przeciwdziałanie dyskryminacji". Wszystkie znajdują się w 7 największych. Uczelnie w mniejszych ośrodkach polegają na niejasnych zasadach składania zgłoszeń i procedurze postępowania dyscyplinarnego. Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach w badaniu odpowiedziała, że takiego organu nie ustanowiono „być może dlatego, że takie przypadki nie są odnotowane i nie mają miejsca". Wachlarz form wsparcia na UW czy UJ to raczej wyjątek niż reguła.

– W porównaniu z innymi uczelniami mamy bardzo dobrą sytuację – mówi Anna Cybulko. – Możemy skutecznie pomagać. Sytuacje mobbingu czy molestowania to bolesny, ale nie tak duży wycinek naszej pracy.

### Takie metody

Mnogość instytucji wcale nie gwarantuje ich skuteczności. Pomimo widocznych zmian ofiara zgłaszająca molestowanie nadal musi być gotowa na rozczarowanie.

– Poważne sprawy prędzej czy później trafiają do mnie – opisuje procedurę Anna Cybulko. – Zapraszam osobę pokrzywdzoną, wysłuchuję i informuję, że nic nie zadzieje się bez jej zgody. Z tego punktu mamy dwie możliwe ścieżki. Miękka, czyli najczęściej moja interwencja. Spotykam się ze sprawcą i tłumaczę np. że nie wszyscy muszą lubić, jak się ich obejmuje ramieniem. Uniwersytet też jest różnorodny, naprawdę nie wszędzie przypomina straszny, feudalny dwór. Taka rozmowa często rozwiązuje cały problem. Czasami ja pokazuję złe zachowanie, a wykładowca upiera się, że „on ma takie metody". I że dobrze o nim piszą w ankietach. Wtedy rozmawiam z przełożonym, a w skrajnych przypadkach mogę zasygnalizować problem rektorom.

Michał Powszedniak tłumaczy, jak powinna wyglądać taka rozmowa: – Trzeba wyraźnie nazwać to zachowanie. Trzeba powiedzieć „molestowanie", a nie „niestosowne zachowania". Jasno pokazać, że uczelnia tego nie akceptuje.

W większości placówek jedyną alternatywą dla takich miękkich rozwiązań jest postępowanie dyscyplinarne. Najsurowszą karą, jaką może wymierzyć komisja dyscyplinarna na uczelni, jest obcięcie pensji o 25 proc. na 2 lata. Poważniejsze kary – aż do 10-letniego zakazu wykonywania zawodu – mogą nakładać jedynie komisje przy ministrze lub Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Postępowanie potrafi trwać miesiącami. Często w tym czasie sprawca nadal prowadzi zajęcia.

> W trakcie studiów przynajmniej jednej sytuacji molestowania seksualnego doświadczyło **44 proc**. kobiet. W **15 proc**. przypadków sprawcą był pracownik naukowy. Tylko **co dwudziesta** kobieta zgłosiła sprawę komuś z uczelni.

– To przypomina postępowanie karne, więc muszą być przestrzegane wszystkie wymogi formalne, zachowana procedura odwoławcza. To musi trwać, tylko co uczelnia ma w tym czasie zrobić? – zastanawia się Anna Cybulko. – Niestety, w wielu przypadkach procedura dyscyplinarna jest mało efektywną formułą reagowania, a nie mamy żadnej innej.

– Istnieje luka – przyznaje Michał Powszedniak. – Dobrym wyjściem mogą być takie dokumenty jak np. polityka antydyskryminacyjna, choć UJ dopiero pracuje nad swoją.

Na UW procedura antydyskryminacyjna weszła w życie 31 sierpnia 2020 r. Odchodzący rektor, prof. Marcin Pałys, podpisał ją dzień przed złożeniem urzędu. Procedura przewiduje powołanie na uczelni komisji, która bada skargi, wyjaśnia i ocenia sytuację pod kątem możliwości wystąpienia dyskryminacji oraz molestowania i przekazuje swoją opinię rektorowi. Według procedury powinna to zrobić w ciągu dwóch miesięcy.

– Postępowanie komisji w większości przypadków nie trwało dłużej niż parę miesięcy. W realiach uniwersytetu to jest ekspresowe tempo – cieszy się Cybulko.

### Element patologii

– Ciężkich przypadków mobbingu, molestowania jest naprawdę mało. To pojedyncze sytuacje, ale tak trudne i bolesne, że rozrastają się latami i nabierają mocy – mówi ombudsman UW.

Najpoważniejsze sprawy nadal podlegają sztywnej procedurze dyscyplinarnej. Niestety, nie zawsze skutecznie. – Dla mnie to jest strasznie bolesne – przyznaje Anna Cybulko. – To zniechęca do działania. Ludzie się otwierają, decydują się na bardzo trudny krok, mają wsparcie moje i uczelni. A potem lądujemy w pacie i np. procedura jest umarzana, bo komisja pracuje za długo.

Na Uniwersytecie Warszawskim obecnie toczą się cztery postępowania dyscyplinarne. – To są bardzo poważne sprawy – tłumaczy Cybulko. – Nie zaczęły się ani wczoraj, ani tydzień temu. Do mnie często latami spływają skargi, ale nikt nie chce mi dać upoważnienia do działania. Wiem o wszystkim, a nic nie mogę zrobić, bo poufność musi być priorytetem. W jednej z tych spraw zgłosił się ktoś, kto skończył studia lata temu, mieszka za granicą, a nadal się boi. Ale dostałam np. kontakty. Zbierałam dokumenty, skany, print screeny z rozmów. W końcu ktoś pozwolił mi działać.

Czy te sprawy dotyczą molestowania seksualnego? – Też – odpowiada rzeczniczka. – Dotyczą ludzi, którzy z czasem uznali, że nie obowiązują ich jakiekolwiek granice. Wtedy molestowanie jest tylko elementem takiej systemowej patologii.

Co się z tymi sprawami stanie? – Postępowania trwają – mówi Anna Cybulko. – Jeśli chcemy, by ludzie nam ufali, to te komisje muszą stanąć na wysokości zadania. Liczę na to, innej wersji sprawdzać nie chcę.

Zapytana, ile spraw przez 10 lat jej pracy skończyło się bez poważnych konsekwencji dla sprawców, w ilu uczelnia nie stanęła na wysokości zadania, przez kilka sekund rzeczniczka akademicka UW milczy.

– Myślę, że mogłabym ten procent wyliczyć – odpowiada wreszcie. – Ale nie jestem gotowa o nim rozmawiać.

### Gdzie jest granica

– Czasami trafiają do nas osoby, które doświadczyły nadużycia. Często współpracujemy z Bezpieczni UJ – mówi Jagna Kazienko, kierowniczka SOWY. ↦

↦ – To dobry sygnał. Dla nas to informacja, że są na uczelni miejsca, w których czują się bezpiecznie. Na pierwszej konsultacji zawsze informujemy, że w sytuacji informacji o przestępstwie mamy obowiązek zgłoszenia sprawy. Zwykle rozmawiamy o ewentualnym zgłoszeniu skargi, przedstawiamy konsekwencje. Decyzję zawsze podejmuje student. Z psychologicznego punktu widzenia najważniejsze jest odzyskanie sprawczości. Zgłoszenie sprawy jest trudnym procesem, ale pozwala na to, żeby konsekwencje poniosła osoba, która krzywdzi.

Anna Cybulko, ombudsman UW, zapytana o to, co jeszcze można zrobić, by uczelnie były bezpieczniejszym miejscem pracy i nauki, mówi: – Prosta odpowiedź to: stworzenie procedur, usprawnienie postępowania dyscyplinarnego. Ale wydaje mi się, że to często nie jest kwestia lepszych procedur. To, co mamy, jest dobrym punktem wyjścia. Główny problem mamy z jasnością oceny. Na przykład: jaki powinien być dystans relacyjny między wykładowcą a studentem? Czy mogą randkować, przyjaźnić się, razem chodzić na piwo? Gdzie jest granica? Z takimi ustaleniami mamy problem.

Pytanie, jak to zmienić? Rzeczniczka UW powtarza, że uczelnia powinna mieć Kodeks Etyki. – Kiedyś uważałam to za abstrakcyjną formę, pustosłowie i poezję – przyznaje. – Dzisiaj widzę to inaczej. Zmieniamy się tak szybko, że to, w czym mamy pełną zgodę, na co się zgadzamy, powinniśmy mieć spisane. Żebyśmy raz na zawsze uzgodnili, że mówienie: „Ładnie pani wygląda w tym sweterku pani Jolu, a bez niego jeszcze lepiej" nie jest akceptowalne. Pytanie doktorantów o ich życie intymne nie jest akceptowalne. Oczekiwanie od pracowników wykonywania zadań służbowych w trakcie urlopu lub zwolnienia nie jest akceptowalne. I to wszystko niezależnie od stanowiska. Musimy się umówić, że się na to nie zgadzamy, i być gotowi odpowiednio reagować.

© KRZYSZTOF STORY

■ **Autor zaprasza do kontaktu osoby, które doświadczyły nadużyć władzy na uczelni lub były ich świadkiem i chcą o tym opowiedzieć: kontakt@krzysztofstory.pl**

# Krajobraz folwarczny

JOANNA STRYJCZYK, PSYCHOTERAPEUTKA:

**Poczucie słabości ofiary to pierwszy warunek mobbingu czy molestowania. Dlatego gdy widzę wykładowców przyjaźniących się ze studentami, zawsze zapala mi się czerwona lampka.**

**KRZYSZTOF STORY: To był trudny rok?**

**JOANNA STRYJCZYK:** Do niedawna pracowałam w Centrum Pomocy Psychologicznej Uniwersytetu Warszawskiego. Spędziłam tam ponad rok. Wszystkie skutki pandemii obserwowałam na żywo. Sama liczba interwencji nie zmieniła się jednak drastycznie, trudno wyodrębnić tutaj czynnik „pandemia". Największe zapotrzebowanie na pomoc psychologiczną na uczelni jest na początku roku akademickiego, w czasie sesji i pisania prac dyplomowych. Liczba konsultacji indywidualnych wahała się od 150 do 220 miesięcznie.

**Co zatem się zmieniło?**

Pogłębiła się problematyka zgłoszeń. Wielu studentów wróciło do mieszkania z rodzicami. I to nie zawsze były wyczekiwane powroty. Rozpoczęcie studiów to ważny etap – separacja od rodziców, eksperymentowanie z dorosłością. Zdarza się, że wyjazd z domu jest ucieczką: od agresji, kłótni, problemów rodziców z alkoholem. Gdy nagle trzeba do takiego środowiska wrócić, to jest jak pauza w pewnym etapie rozwoju. Na sesjach widziałam, że studenci łączący się z domów rodzinnych oglądają się przez ramię, sprawdzają, czy mają prywatność, mogą mówić swobodnie.

**W trakcie tej pauzy nadal trzeba studiować.**

Introwertykom się to podobało. Sama edukacja zdalna promuje osoby uporządkowane i konkretny sposób uczenia się. Dla innych zanik życia studenckiego, towarzyskiego i ograniczenia techniczne były ogromnym problemem. Zaliczenia ustne były często zamieniane na prace pisemne. Wielu studentów czuło, że wykładowcy stawiają zbyt duże i, przede wszystkim, nieczytelne wymagania. To były uczucia dużo głębsze niż zwykły szkolny lęk przed złą oceną.

**Wykładowcy też musieli zdać kolokwium z przystosowania.**

Oni też byli pogubieni. Z dnia na dzień musieli zupełnie zmienić swoją pracę. Ocenianie i komentowanie prac studentów nagle zaczęło pochłaniać dużo więcej czasu. Wielu wcale nie czuło się gwiazdami internetu, skrępowani i zestresowani stawali przed kamerą. Wykładowcy często lubią pracować z grupą, moderować i prowokować dyskusję. Brakowało im tej atmosfery i okazji do nieprzewidzianych interakcji. Koleżanka skończyła kiedyś zajęcia po 15 minutach, bo na tyle przygotowała wykład. Potem miał być czas na pytania i dyskusję. Nie było żadnych pytań.

**Wykładowcy zgłaszali się do Was po pomoc?**

Powściągliwie. W powszechnej świadomości CPP funkcjonuje dla studentów, choć jest otwarte dla wszystkich. Wykładowcy często wchodzą w stereotyp eksperta. A ekspert przecież zawsze sobie radzi.

**Jak Pani sobie radziła? W Centrum też pracowaliście zdalnie.**

CPP, poza psychoterapią grupową dla studentów i doktorantów, realizuje głównie interwencje kryzysowe i krótkoterminową pomoc psychologiczną. Zazwyczaj od jednej do trzech konsultacji. Dla mnie najtrudniejsze było pozbawienie tych 80 procent informacji przekazywanych niewerbalnie. Jestem szkolona, żeby dostrzegać emocje płynące z ciała. W interwencji kryzysowej często chodzi o to, żeby drugiego człowieka uspokoić, zramować, postawić na nogi. Kontakt emocjonalny na poziomie ciało–ciało jest nie

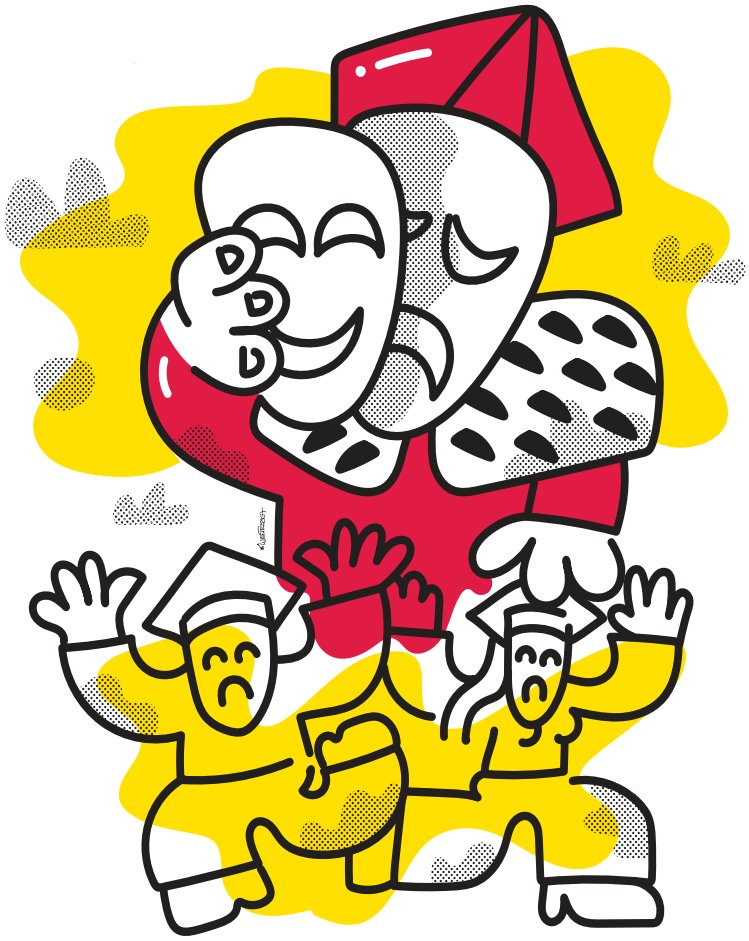

do zastąpienia. W momencie przejścia na online wielu pacjentów zrezygnowało z konsultacji: nie stawiło się już na wcześniej umówione wizyty w marcu i kwietniu 2020 roku.

**Pani opowieść o CPP jest w czasie przeszłym. Niedawno odeszła Pani z pracy. Dlaczego?**

Z bezsilności. Takie placówki stykają się z tym, co na uczelni najgorsze. Także z mobbingiem, molestowaniem, nadużyciem władzy. I w wielu takich sytuacja czułam, że nie jesteśmy w stanie skutecznie pomóc. CPP nie jest centralną jednostką uczelni, podlega Wydziałowi Psychologii.

Na moją pracę często nakładała się sytuacja na wydziale, wewnętrzne uwikłania. Z jednej strony był świat wartości pracowników, którzy zakładali centrum, z drugiej – świat sztywnych uniwersyteckich struktur, punktów, naukometrii, gdzie gra się o zupełnie inne stawki. Nie za bardzo się rozumieliśmy.

**W jednym z tekstów pisze Pani: „Coś, co może realnie pomóc, ale nie służy generowaniu punktów, nie jest żadnym priorytetem".**

Podam przykład: początek roku akademickiego zawsze jest trudnym okresem. Dodatkowo mieliśmy akurat drugą falę pandemii. Ze wszystkich rachunków wynikało, że zaraz zabraknie nam terapeutów do pracy. Potrzebowaliśmy zatrudnić kogoś na chociaż pół etatu więcej. Zaczęłam o tym mówić we wrześniu, etat znalazł się w połowie lutego.

Podobnie jest z pomocą psychiatryczną. Teoretycznie miałam możliwość skierowania pacjenta na konsultację psychiatryczną w ramach działalności Biura ds. Osób z Niepełnosprawnościami. Tylko co z tego, skoro na interwencję kryzysową trzeba czekać dwa miesiące?

**Sprawdziłem, obecnie czas oczekiwania to około pięciu tygodni.**

Czyli pomoc jest dostępna, ale nad jej skutecznością i specyfiką naszej pracy nikt się już nie zastanawia. Zastanowienia zabrakło np. wtedy, gdy musieliśmy tłumaczyć władzom, że gabinet do psychoterapii naprawdę powinien mieć okno, że powinien być przyjazny, że światło jarzeniowe męczy nas i pacjentów. Pięć stojących lamp z Ikei okazało się inwestycją przekraczającą możliwości uniwersytetu.

**Z czego to wynikało?**

Nie widziałam złej woli, tylko brak świadomości. Niezrozumienie tego, że pomoc psychologiczna to nie jest żaden *bullshit job* i nie da się jej uprawiać w mętnych warunkach. Że psychoterapeuta to nie „polski lotnik", który poleci na drzwiach od stodoły.

Miałam też problem jako pracowniczka uniwersytetu. Nie dostałam swojego zakresu obowiązków, oczekiwano ode mnie na zmianę pracy administracyjnej i terapeutycznej.

Wydawało mi się, że kto jak kto, ale psychologowie we własnym ogródku powinni tworzyć bardziej efektywne struktury.

**Jest Pani rozczarowana?**

Tak, głównie tym jak trudne okazały się zmiany. Można robić drobne usprawnienia, ale nawet drobiazgi, jak te lampy, wiążą się z biciem głową w mur. Co do zmiany struktury uniwersytetu – mam ciągoty do misji niemożliwych, ale nie nierealnych.

**Nie wiedziała Pani tego rok temu?**

Nie wiedziałam, na jak podstawowym poziomie są przeszkody. Mam doświadczenie z oddziałów dziennych, poradni, nawet tych publicznych. Nigdzie nie jest idealnie, ale tutaj wiele razy czułam, że nie mam do końca wpływu na to, czy pracuję w zgodzie z własnym sumieniem. Zgodnie z kodeksem etycznym psycholog ma prawo do odmowy wykonania czynności zawodowych, gdy uzna, że okoliczności utrudniają albo uniemożliwiają ich rzetelne wykonanie.

Większość psychologów ma poczucie misji i dużą osobistą odpowiedzialność. Dlatego praca w złych warunkach bardzo szybko nas wypala. Dla mnie wyjątkowo przykra była przepaść między wsparciem, którego nam nie dawano, a wsparciem dla innych, które było naszym obowiązkiem.

**Jakiego wsparcia oczekują studenci? Wiele mówi się ostatnio o drastycznych nadużyciach władzy na uczelniach.**

Przypadki molestowania czy klasycznego mobbingu są oczywiście mniejszością. Na uniwersytecie dominuje dyskretna przemoc. Ona często jest trudno dostrzegalna. Częsty przykład: wykładowca czy promotor odpuszcza kontakt, ↦

zupełnie zaniedbuje opiekę nad doktorantem – wiele takich historii słyszałam zwłaszcza z wydziałów ścisłych.

Inne nadużycie, które często tolerujemy? Zaliczanie przedmiotu w warunkach pozaakademickich. To kopiowalna i powtarzalna sytuacja: wykładowca zamiast na wydział, zaprasza do domu, do kawiarni, na piwo.

**Cytuję Pani tekst: „Każdy wydział ma swoją niepowtarzalną specyfikę pod względem rodzaju nadużyć w relacjach służbowych. Widziane razem, tworzą przerażający krajobraz folwarczny".**

Na przykład Wydział Archeologii słynie z letnich wyjazdów na wykopaliska. W swobodnej, imprezowej atmosferze nierzadko zdarza się, że osoby z grupy wykładowców lądują w jednym łóżku z osobami z grupy studentów. I to nie jest wiedza z gabinetu psychoterapeutycznego, tylko tajemnica poliszynela, wspólna anegdota uniwersytetu.

**Można by powiedzieć, że pełnoletni ludzie mają prawo świadomie uprawiać seks.**

Na uniwersytecie to nie pełnoletność jest wyznacznikiem naszej pozycji i świadomej zgody. Wyobrażam sobie, że na wyjeździe łatwo zapomnieć o uczelnianej hierarchii. Tylko później u tego wykładowcy trzeba zdać egzamin albo obronić pracę. Poczucie słabości ofiary to pierwszy warunek do wystąpienia mobbingu czy molestowania. Dlatego gdy widzę wykładowców przyjaźniących się ze studentami, zapala mi się czerwona lampka.

MIKOŁAJ STARZYŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

**DR JOANNA STRYJCZYK**
jest psycholożką, psychoterapeutką psychodynamiczną, doktorką polonistyki UW.

**Kawa ze studentem to nadużycie?**

Nie zawsze. Ale takie kumpelstwo jest ryzykowne. Patrzę na to podejrzliwie, bo wiem, co jest po drugiej stronie, co może się dziać z takim młodym dorosłym. Rozmawiałam z dziewczyną, która była załamana, gdy wykładowca, który wcześniej się z nią zaprzyjaźnił, uznał, że sprawy zaszły za daleko, i nagle zerwał z nią kontakt.

**Przypominam sobie swoje studia i wartościowe relacje z wykładowcami. Może nawet mentorami.**

Wielu studentów wchodzi w taką relację właśnie z powodu fascynacji mentorem.

**„O, Kapitanie! Mój Kapitanie!"? Tęsknimy za aurą „Stowarzyszenia Umarłych Poetów"?**

I to nie jest zła potrzeba, zwłaszcza u młodych dorosłych. Lepiej przyjrzeć się temu, jak być dobrym mentorem. Wielu wykładowców w ogóle nie bierze odpowiedzialności za postawienie granic w takiej relacji. A gdy dojdzie do konfliktu, konsekwencje ponosi wyłącznie ofiara. Bo przecież sprawcą najczęściej jest ten „fajny profesor", często gwiazda wydziału.

**Maluje Pani bardzo ponury obraz polskich uczelni. Jaka jest skala problemu?**

Ciężko to oszacować. Ale myślę, że na każdym wydziale znalazłby pan co najmniej jedną osobę, która zdecydowanie nadużywa swojej władzy.

**Rzadko otwarcie słyszymy o takich przypadkach. Dlaczego?**

Po części bierze się to z samej struktury uczelni. Każda feudalna instytucja ma ten mechanizm. Osoby, które zbierają dużo „punktów" i decydują o ich rozdawaniu, mają grono popleczników, stają się świętymi krowami. Punktowy system polskiej nauki bardzo to wspiera. Uniwersytet jest zbudowany jak folwark. Na górze są ci oświeceni, piśmienni, którzy tłumaczą świat. Studenci są owieczkami na samym dole. Owieczki nie mają prawa narzekać.

**Ostatnio usłyszeliśmy doniesienia na temat przemocy w Szkole Filmo-**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**wej w Łodzi. Jak pomóc osobom po takich traumach?**

Pierwszym celem jest odcięcie źródła zagrożenia. Na tym etapie pandemiczny dystans pomógł wielu osobom. Tylko że wtedy zaczyna się przepracowywanie tego, co się stało. Umysł ma wolne pole – wypełnia je wspomnieniami, flashbackami, wątpliwościami. Nie ma dobrej przeciwwagi, bo brakuje pozytywnych bodźców.

**Co czują ofiary?**

Przemoc często jest przeżywana jako skaza i własna odpowiedzialność. „To ze mną jest coś nie tak". „Mogłam tam nie iść". „Mogłem powiedzieć nie". Przebijanie się przez tę skłonność do obwiniania siebie trwa długo.

**Dlaczego ofiary nie zgłaszają takich spraw?**

Mam doświadczenie z pracy w Poradni ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie. Podobny opór występuje przed założeniem tzw. niebieskiej karty. To lęk przed rewanżem sprawcy, nasileniem problemu, ale też przed zmianą. A co jeśli takie zgłoszenie będzie oznaczało koniec małżeństwa albo konieczność zmiany pracy lub studiów? W przypadku uniwersytetu jest jeszcze jeden powód. Ofiary są zapatrzone w silną pozycję sprawcy. I po prostu nie wierzą, że ktoś może stanąć po ich stronie.

**Bez formalnego zgłoszenia nie ma mowy o konsekwencjach.**

W przypadku uniwersytetu **ofiary przemocy są zapatrzone w silną pozycję sprawcy.** I po prostu nie wierzą, że ktoś może stanąć po ich stronie.

Ja jako terapeutka nie mam prawa zgłosić takiej sprawy. Zawsze do tego zachęcałam, chociaż z tyłu głowy miałam myśl, że to może nie przynieść nic prócz jakiegoś symbolicznego zakończenia. Perspektywą dla osoby zgłaszającej bardzo często jest po prostu pożegnanie z uczelnią. Najczęściej decydują się na to osoby, które już skończyły studia. I zwykle nie są zachwycone rezultatami.

**Jak są rozpatrywane takie sprawy?**

W ciągu ostatnich lat UW wprowadził dużo dobrych zmian. Uczelnia ma cały wachlarz instytucji, takich jak: rzecznik akademicki, komisje ds. przeciwdziałania mobbingowi i dyskryminacji, komisja dyscyplinarna itp. Wszystkie narzędzia formalnie istnieją, ale często nadal rozmywają takie zgłoszenia. Zanim komisja rozpatrzy sprawę, wysiłek poradzenia sobie jest nieproporcjonalnie zepchnięty na ofiarę. Unika zajęć prowadzonych przez danego wykładowcę czy wykładowczynię. A sprawca w tym czasie np. pisze kolejne prace naukowe i raporty poświęcone dyskryminacji, mobbingowi i molestowaniu. Takie przypadki się zdarzają. Natomiast o przypadku, by ktoś stracił pracę lub został odsunięty od prowadzenia zajęć, nie słyszałam.

**Istnieją narzędzia, dobrej woli też nie brakuje. Gdzie leży problem?**

Łatwo patrzeć na komisje i rzeczników wyłącznie jak na kwiatek do kożucha. Ale trzeba wspomnieć też o tym, co się udaje zmieniać na lepsze. Te dobre rzeczy są bardziej subtelne i lokalne, często wynikają ze świadomej decyzji, aby płynąć pod prąd. Czasami porównywaliśmy to do sceny z filmu „Osaczeni", gdzie Catherine Zeta-Jones skrada się przez labirynt laserów. Ale one są. Ja np. bardzo ceniłam sobie współpracę z osobami z Biura ds. Osób z Niepełnosprawnościami. Dzięki ich pracy wielu osobom udaje się zapewnić konkretne wsparcie.

A problemy? Centralne instytucje nie mogą być jedynym rozwiązaniem. Widzą za mało. Uniwersytet zatrudnia 7,5 tysiąca ludzi, ma 40 tysięcy studentów. Jest jednym z największych pracodawców w województwie. Moim zdaniem największa odpowiedzialność spoczywa na dziekanach, szefach instytutów. To oni w praktyce decydują, jaka atmosfera panuje w ich jednostce. Albo „zero tolerancji", albo „bronimy dobrego imienia uczelni". I to musi być świadomy wybór.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

**TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
**Manager IT:** Bartłomiej Swojak
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski

**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Zagrzeszna i opłatna*

Według tradycji rabinicznej Tora zawiera 613 przykazań. Ta tradycja nie opiera się na dokładnych wyliczeniach – choć powstało kilka konkurencyjnych list owych 613 – lecz wzięła się z kazania jednego ze starożytnych rabinów. Jako że 365 jest dni w kalendarzu słonecznym, co odpowiada liczbie zakazów, nakazów zaś mamy w Pięcioksięgu 248, tyle, ile jest członków w męskim ciele, rabin Simlaj zapewne chciał podkreślić, jak ważne jest codzienne przestrzeganie Tory całym ciałem. Około 150 przykazań z tych 613 dotyczy ofiar. Większość z nich znajdziemy w Księdze Kapłańskiej – kult świątynny był wszak domeną Aaronowych potomków. Od tej księgi przez wieki żydowscy chłopcy rozpoczynali swoją edukację religijną. Poświęćmy tym kwestiom jeszcze chwilę i my.

Ofiary składane w Świątyni z grubsza można podzielić na obowiązkowe i dobrowolne (np. kiedy ktoś chciał podziękować Bogu) bądź zbiorowe i indywidualne. W imieniu całej społeczności kapłani składali codziennie dwa jagnięta oraz dodatkowe ofiary w szabat, na początku nowego miesiąca i w święta, tudzież kozła w Dzień Pojednania. Indywidualne obowiązkowe ofiary to baranek pesachowy, dziesięcina, dań związana ze świętami pielgrzymimi oraz z urodzeniem dziecka, wykup pierworodnego syna, gdy kończył się nazireat, po przejściu choroby skórnej zwykle tłumaczonej jako trąd, tudzież po ustaniu upławów czy wycieków z układu rozrodczego.

Istniały cztery kategorie ofiar zwierzęcych: całopalna, przebłagalna (w tłumaczeniu rabina Izaaka Cylkowa: zagrzeszna), zadośćuczynienia (Cylkow: pokutna) i biesiadna (Cylkow: opłatna). Całopalna – jak sama nazwa wskazuje – poza skórą była w całości spopielana na ołtarzu. W przypadku pozostałych trzech kategorii część płonęła, a część zjadali kapłani. Pieczystym z ofiar biesiadnych raczył się też ofiarodawca i ci, których zechciał nim poczęstować, byle w obrębie murów Jerozolimy. Pięć gatunków zwierząt składano na ołtarzu: bydło, owce, kozy oraz większe i mniejsze ptaki gołębiowate. Ofiara pokarmowa (Cylkow: śniedna) zawierała mąkę pszenną bądź jęczmienną, oliwę z oliwek i kadzidło. Garść mąki trafiała na ołtarz, resztę – bez kadzidła – zjadali kapłani. Na ołtarz lano też wino, a czasem wodę. Wszystkim ofiarom towarzyszyła sól (Kpł 2, 13).

To pasjonujące, jak różne jest podejście do ofiar w głównych prądach judaizmu. Reformowani wyrzucili wszelkie wzmianki o nich z modlitewnika, argumentując, że ich składanie było prymitywne. Ortodoksi nadal modlą się, by Świątynia została odbudowana i powrócił do niej kult ofiarny. Konserwatywni zmienili w tych fragmentach modlitewnika czas przyszły na przeszły i teraz mówią one o ofiarach, które były. A co Państwo myślą o ofiarach ze zwierząt? ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Rozum i higiena*

„Po ośmiu dniach uczniowie znów byli wewnątrz i Tomasz razem z nimi. Mimo zamkniętych drzwi, Jezus wszedł, stanął w środku i pozdrowił ich: »Pokój wam«. Następnie rzekł do Tomasza: »Unieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce, podnieś też swoją rękę i włóż w mój bok. I przestań być niedowiarkiem, a bądź wierzącym«. Tomasz wyznał Mu w odpowiedzi: »Pan mój i Bóg mój!«. Jezus zaś rzekł do niego: »Wierzysz, ponieważ Mnie ujrzałeś? Szczęśliwi ci, którzy nie zobaczyli, a uwierzyli«".

Szczęśliwi? Przeciwnie, szczęśliwymi, przynajmniej we własnym przekonaniu, są ci, którzy sami „zobaczyli" albo słyszeli od tych, którzy „widzieli". Świadczy o tym wielkie zapotrzebowanie na dziwaczne cuda, widowiskowe egzorcyzmy, nagłe zaśnięcia i uzdrowienia na zawołanie, a ponoć również wskrzeszenia. Co więcej, nawet sama Eucharystia już nie wystarcza, choć potwierdzona „słowem Pana". Dopiero krwawiąca Hostia robi na nas wrażenie i upewnia o realnej obecności Chrystusa. Nic dziwnego: „Kiedy rozum śpi, budzą się upiory" – napisał Francisco Goya na akwaforcie przedstawiającej jego samego atakowanego przez olbrzymie nietoperze i sowy. Co znamienne, w obawie przed zarekwirowaniem obrazu przez inkwizycję, artysta podarował to dzieło Karolowi IV.

Podobnie dzisiaj rzecz ma się z podejściem do epidemii. Mówią niektórzy, a może wielu, że Ciało i Krew Pańska nie może przenosić wirusa. To prawda, ale moje oblepione śliną palce już tak, i obśliniony Chleb i Wino również. I nic tu nie pomoże żadne teologizowanie, bowiem nie bezmyślna wiara i cuda są tu potrzebne, ale rozum i higiena. Dowód? Postępowanie Pana Jezusa.

Pamiętamy spór faryzeuszów z Jezusem o czystość rytualną. Na stawiane Mu zarzuty Jezus „odparł im: »Słusznie prorokował Izajasz o was, obłudnikach, jak jest napisane: Ten lud czci Mnie wargami, ale ich serce jest daleko ode Mnie. Daremnie jednak cześć Mi oddają, głosząc pouczenia, które są ludzkimi nakazami. Odrzucając przykazanie Boże, trzymacie się ludzkiej tradycji. (...) Zręcznie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję«. Zwracając się do uczniów, powiedział: »To i wy nie rozumiecie? Nie dostrzegacie, że wszystko, co z zewnątrz wchodzi do człowieka, nie może go splamić, gdyż nie wchodzi do jego serca, ale do żołądka i wydalane jest na zewnątrz. (...) Co wychodzi z człowieka, to właśnie go plami. Z wnętrza, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, rozpusta, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zawiść, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło wychodzi na zewnątrz i plami człowieka«".

Jeśli dzisiaj chcemy zobaczyć i dotknąć ran Chrystusa, wyciągnijmy rękę do... będącego w potrzebie. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Na pamiątkę*

„To jest ciało moje. Bierzcie i jedzcie (...) na moją pamiątkę. Ten kielich jest nowym przymierzem we krwi mojej; czyńcie to, ile razy pić będziecie, na moją pamiątkę". To rzeczywiście genialny – absolutnie Boski pomysł – uczynić posiłek „miejscem" przeżywania pamięci. Bóg skondensował pamięć o najważniejszych wydarzeniach zbawczych (o Wyjściu oraz o Krzyżu i Zmartwychwstaniu) w posiłku – w uczcie – w Wieczerzy Sederowej i w Eucharystii. Oczywiście, posiłek (każde jego „danie") jest objaśniony słowem (Hagada, Liturgia Słowa); niemniej, Boże przesłanie wpisane zostało w ucztę, a czynnością służącą zapamiętywaniu jest spożywanie kolejnych dań, z których każde niesie w sobie potężne przesłanie.

Ale dlaczego mamy zapamiętywać przez jedzenie?

Odpowiedź wydaje mi się bardzo prosta (może aż za prosta). Otóż, jedzenie domaga się świeżości – aktualności. Nie da się spożywać przeterminowanej żywności – wtedy może być nawet trująca! Chleb niespożyty kilka dni staje się jak kamień; wino niewypite – po kilku dniach jest jak ocet; nikt z nas nie wyobraża sobie jedzenia baraniny po tygodniu od upieczenia.

To, co spożywasz, musi być świeże. Taka musi być też pamięć paschalnego posiłku. Choć odnosi się do wydarzeń odległych w czasie (Wyjście – 3300 lat temu; Krzyż Jezusa – 2000 lat temu), nie uważa ich za takie. Pamięć – przeżywana na uczcie – czyni te wydarzenia „świeżymi", czyni je aktualnymi, nie przedawnionymi i skamieniałymi, tylko dokonującymi się właśnie teraz i tutaj – dla nas! To my dziś wychodzimy z Egiptu; to my dziś jesteśmy z Jezusem w Wieczerniku, wchodzimy z Nim na Golgotę; odkrywamy pusty grób.

To dziś Bóg przychodzi do nas – będących w niewoli i nieprzygotowanych do drogi – i mówi: teraz. Wychodzimy. Nie jesteś gotowy? Nie masz chleba na drogę? Nie zdążył się zakwasić? Będziesz jadł niekwaszony; i będziesz go jadł, by pamiętać, że Bóg jest większy od Twojego nieprzygotowania, i że wyzwolenie jest Jego nagłym darem. To dziś Bóg każe Ci wypić wino – napój królewski, bo On dziś widzi w Tobie królewską godność i chce, byś razem z Nim ją w sobie odkrył i zobaczył. Nawet jeśli (a może właśnie przede wszystkim wtedy), gdy nie widzisz w sobie nic z owej godności. A z chlebem i winem przychodzi objaśnienie: To jest Ciało moje; To jest Krew moja – byś pamiętał (dziś, na świeżo) nie tylko to, że zostałeś wyzwolony, ale także to, za jaką cenę zostałeś wyzwolony! Że On wykupił Cię / wykupuje Cię właśnie – za cenę swojego życia i śmierci: sam stając się niewolnikiem dla Ciebie i w miejsce Ciebie. Każdy z nas przyzna, że to są jednak zupełnie inne perspektywy: być zwolnionym z więzienia w akcie ułaskawienia, a być zwolnionym za cenę Czyjejś śmierci za mnie...

Pamiętaj! ©

*Pewien święty mąż, gdy zobaczył, że ktoś grzeszy, zapłakał gorzko i powiedział: „On dziś, ja jutro".*

**APOFTEGMATY OJCÓW PUSTYNI**

*Nie skarby są przyjaciółmi, ale przyjaciel – skarbem.*

**EPIKTET**

**CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 IV)**

**2. niedziela wielkanocna:**
**Dz 4, 32-35; Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31;**
**Poniedziałek: Dz 4, 23-31; Ps 2; J 3, 1-8;**
**Wtorek: Dz 4, 32-37; Ps 93; J 3, 7b-15;**
**Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;**
**Czwartek: Dz 5, 27-33; Ps 34; J 3, 31-36;**
**Piątek: Dz 5, 34-42; Ps 27; J 6, 1-15;**
**Sobota: Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;**
**3. niedziela wielkanocna:**
**Dz 3, 13-15. 17-19; Ps 4; 1 J 2, 1-5; Łk 24, 35-48.**

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

# NIKT MNĄ NIE RZĄDZI

**KATARZYNA ANNA KLIMOWICZ, EKSPERTKA DS. DEMOKRATYCZNYCH INNOWACJI:**

Polityka może funkcjonować w inny sposób, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Chodzi o jak najczęstsze doświadczanie demokracji w każdym możliwym miejscu.

**JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Zazwyczaj idziemy zagłosować i mamy z głowy. Mnóstwo osób w ogóle nie chodzi, bo nie wierzy, że ich głos coś zmieni, nie mówiąc o pomyśle, by samemu się zaangażować. A inni, chociaż głosują, potem tylko narzekają, że wszyscy kradną i nic „nie jest robione". Tak często wygląda nasze „demokratyczne" życie.**

**KATARZYNA ANNA KLIMOWICZ:** W wyborach mamy listę kandydatek i kandydatów, mniej więcej znamy procedurę, zakreślamy coś na kartce, którą wrzucamy do urny, i na tym nasze zaangażowanie się kończy. Swoją drogą to ciekawe, że właśnie to nazywamy czynnym prawem wyborczym, a biernym możliwość bycia wybranym. Bardzo rzadko wyobrażamy sobie, że sami moglibyśmy kandydować, być przedstawicielką lub przedstawicielem wspólnoty, społeczności.

Do tego dochodzi kwestia języka. Kiedy przysłuchamy się temu, jak ludzie mówią

MICHAŁ KAŹMIERCZAK / FORUM

o swoich prawach, w mediach, na uczelniach, nie wspominając o codziennych rozmowach, jest to w sumie straszne. Wszystkie te zwroty: „wybieranie władzy", „sprawowanie władzy", „rządzenie społeczeństwem". Są wręcz takie oksymorony jak „władza samorządowa". Bo albo sprawuje się nad kimś władzę, albo ludzie sami się organizują i zarządzają sobą oraz swoimi sprawami.

Można wręcz powiedzieć, że większość ludzi przez większość życia w ogóle nie doświadcza demokracji. Słyszy o niej w teorii, w szkole, na uczelni, albo od polityczek i polityków.

**Na przykład w kontekście, że trzeba ratować demokrację – wystarczy, że opozycja przejmie „władzę".**

A tak naprawdę jest to obrona starego (jego podstawowe założenia i mechanizmy sięgają XVIII w.) systemu, który do pewnego momentu jakoś działał i był bardzo powszechny, ale okazał się dysfunkcjonalny. Coraz więcej osób zdaje sobie z tego sprawę, jednak wciąż niewielu ma świadomość, że przecież ten system nie wziął się znikąd, został zaprojektowany, co oznacza, że można go też zmienić. Na tym polega transformacja, na wyborze innego modelu, który będzie się lepiej sprawdzać.

**Rozumiem, że chodzi o to, by robić to jak najbardziej oddolnie.**

Od lat mamy powtarzające się i pogłębiające kryzysy: polityczne, ekonomiczne, klimatyczne. A kryzys to dobry moment na przemyślenie różnych rzeczy i gruntowne zmiany. Problem w tym, że o ile powoli zaczynamy rozumieć, że to, co mamy, nie działa, o tyle zdecydowanie za rzadko mówi się o tym, co i jak mogłoby wyglądać inaczej.

**Przecież znamy mechanizmy zachęcające do uczestnictwa, na przykład konsultacje społeczne lub budżet obywatelski. Ale czy to nie jest swoisty wentyl, który ma spuścić trochę energii z tych, którzy chcą rzeczywistych, dużych zmian? Na zasadzie „zdecydujcie sobie, jak wydać 1 procent budżetu, ale nie domagajcie się przebudowy całego systemu".**

W Polsce, ale nie tylko, konsultacje społeczne i budżet obywatelski są często używane jako przykrywka, pseudopartycypacja. Zresztą idea budżetu obywatelskiego została mocno wypaczona i nie ma za wiele wspólnego z oryginalnym mechanizmem, który został wymyślony i wdrożony jeszcze w latach 80. XX wieku w Brazylii. Nie polegało to na tym, by dać ludziom możliwość decyzji o 1 procencie budżetu. Bo co to w ogóle znaczy? To są pieniądze pochodzące z podatków, które wszyscy płacimy, a zatem publiczne, wspólne. Nie chodzi więc o jakieś „dawanie 1 procenta" i o to, kto ma zgarnąć grant w konkursie opartym o rywalizację, tylko by ludzie mogli współdecydować i być współodpowiedzialni za budżet i to, co dzięki niemu można zrobić.

A konsultacje społeczne są często niewiążące, nie ma obowiązku brania ich wyników pod uwagę. Powstała zresztą bardzo dobra książka na ten temat – „Koszmar partycypacji" Markusa Miessena.

*Odsłonięcie pomnika Jednorożca autorstwa japońskiego artysty Tomohiro Inaby, sfinansowanego z budżetu obywatelskiego. Łódź, 7 czerwca 2019 r.*

**A panel obywatelski? To zespół dobranych losowo osób, które najpierw wysłuchują ekspertów z argumentami na rzecz różnych rozwiązań i po odpowiednio moderowanej dyskusji wydają rekomendacje dla urzędników publicznych. W wielu miejscach takie rozwiązanie okazało się skuteczne, na przykład w Irlandii w kwestii praw reprodukcyjnych i małżeństw jednopłciowych.**

Standardy jego działania wypracowane są na podstawie głębokich wartości demokratycznych. By wymienić tylko kilka, są to na przykład równość, różnorodność, transparentność, dobro wspólne. Jakby tego było mało, panel obywatelski jest nie tylko rodzajem uczestnictwa, ale też procesem edukacyjnym. Zarówno dla ludzi, którzy biorą w nim udział, jak i jego organizatorów. Chociaż istnieją ogólne ramy jego działania, to jednak w ich szczegółowe opracowanie włącza się też osoby, które są potem jego uczestniczkami i uczestnikami.

Nie chodzi o to, żeby coś odgórnie ustalić, bo ludzie uznają to za pic na wodę, tani show. Ma to być poważny proces, prowadzący do poważnych decyzji i naprawdę dobrych rozwiązań, które nie powstałyby w innych warunkach. Panel stwarza możliwość działania kolektywnej inteligencji – ekspertki i eksperci pokazują najróżniejsze, alternatywne rozwiązania i na tej podstawie reprezentatywna grupa podejmuje decyzję, która może być też hybrydą poszczególnych pomysłów. No i ważna jest przejrzystość, by społeczeństwo wiedziało, że efekt końcowy to nie jest czyjeś widzimisię, że został oparty na wiedzy i merytorycznych argumentach, a przede wszystkim odpowiada na rzeczywiste problemy i potrzeby danej społeczności.

**Ale przecież nie zawsze da się wszystkich przekonać. Żyjemy w czasach, kiedy nie tylko wielu ludzi odrzuca naukę, ale w ogóle bywają problemy, by zgodzić się, co jest faktem.**

To niestety prawda, ale panel obywatelski zakłada, że ludziom po prostu zależy na tym, by kształtować swoje bliższe i dalsze otoczenie, mając ↦

↦ na względzie dobro wspólne. Może to idealistyczne i utopijne, ale zasady i mechanizmy panelu pozwalają na jego realizację. Są one tak opracowane, żeby wynikiem tego procesu była jak najlepsza decyzja, z którą zgodzi się jak najwięcej osób. Dodatkowo ważnym elementem, o którym zwłaszcza w Polsce mówi się rzadko, jest łączenie ludzi, integracja społeczna. W tym wszystkim nie chodzi tylko o produktywność i efektywność, ale też tworzenie relacji oraz budowę zaufania, które powstaje dzięki doświadczaniu kolektywnego procesu.

**W panelu obywatelskim biorą jednak udział ludzie, których się losuje. Mogą trafić się wśród nich samozwańczy liderzy, bardzo do czegoś przekonani i na tyle charyzmatyczni, że niezależnie od przedstawianych argumentów pociągną za sobą resztę.**

Panel obywatelski to przykład demokratycznej innowacji, która zmienia zasady gry. Są różne możliwości, by zabezpieczyć jego mechanizm przed wypaczeniami. W tym przypadku funkcję bezpieczników pełnią facylitatorki i facylitatorzy, osoby odpowiednio przygotowane do tego, by pilnować standardów i moderować cały proces w taki sposób, by rozwiązywać potencjalne problemy i jednocześnie niczego nie narzucać. Wszystko po to, by wszyscy czuli się w równy sposób zaangażowani i mieli prawo do zapoznania się z różnymi pomysłami, wypowiedzenia się oraz podjęcia wspólnej decyzji. Ale oczywiście w każdym systemie obecnych jest wiele zagrożeń.

**Wyobraźmy sobie, że panel obywatelski przygotuje Zbigniew Ziobro. Losowanie uczestniczek i uczestników będzie wyglądać tak, jak w przypadku sędziów, czyli bez społecznej kontroli. Ziobro wybierze ekspertów i ekspertki, jakich chce. A panel będzie dotyczyć aborcji. I potem usłyszymy, że 90 proc. osób zdecydowało o danych rozwiązaniach, mamy więc nowe prawo. Kto się przyczepi, że to niedemokratyczne?**

Ja się przyczepię i myślę, że pan też. Zresztą przecież w modelu demokracji przedstawicielskiej też odbywają się wybory, które można uznać za dobrze lub źle zorganizowane, w których przestrzega się zasad lub nie. Wszystko zatem sprowadza się do rozpowszechniania podstawowych wartości, opracowania na ich podstawie standardów i trzymania się ich.

**Jak je wypracować?**

One już są, bo to, o czym rozmawiamy, cały czas się dzieje. Polska jest zresztą dobrym przykładem, że panele obywatelskie działają, bo po tym, jak zaczęły funkcjonować w Gdańsku, są organizowane w coraz większej liczbie miast.

**Jak zachęcić ludzi i pokazać im, że to nie jest fasada i udawanie, że będą mieli rzeczywisty wpływ, w związku z czym warto się zaangażować, poświęcić czas i energię? Ludzie muszą mieć poczucie, że to ma sens.**

Zależy mi przede wszystkim na tym, żeby jak najwięcej ludzi w ogóle zrozumiało, że są różne modele demokracji, z których można wybrać te, które najbardziej nam pasują, lub nawet je łączyć. Sprowadza się to do sposobu rozumienia „demokracji". Ja uważam, że powinniśmy żyć w niej i doświadczać jej codziennie. Odwrócić piramidę silnie zhierarchizowanych układów, by ci, co są na dole, a których jest najwięcej, mogli również decydować o swoim losie, wspólnotach i otoczeniu.

**Ogólnopolski Strajk Kobiet wpierw powołał Radę Konsultacyjną, co do której składu i sposobu komunikacji było trochę zastrzeżeń, a potem udostępnił, wykorzystywaną w innych miejscach, platformę Loomio. To dobre pomysły?**

Bardzo dobrze, że zainteresowano się Loomio, bo takimi narzędziami posługują się najróżniejsze grupy protestacyjne i obywatelskie. Musimy pamiętać, że wciąż jesteśmy na dość wstępnym etapie. Zaczęło się od wielkiego, spontanicznego zrywu. Wielu było zaskoczonych jego masowością. Ludzie wykazali się odwagą, zorganizowali się i wyszli na ulice w tak dramatycznych warunkach. To najwyższa pora, byśmy się przebudzili; wyzwanie polega właśnie na tym, by utrzymać zaangażowanie, zagospodarować potencjał i przekuć go w coś konstruktywnego.

**Można przeczytać jednak komentarze świadczące o zniechęceniu, braku sił i entuzjazmu...**

Bo to wszystko się przeciąga, nie wiadomo co dalej. I też mnie to irytuje. Ale trzeba jak najwięcej o tym myśleć, rozmawiać, wspólnie planować i projektować przyszłość. Loomio to dobry krok, bo bez narzędzi technologicznych trudno być widocznym i angażować kolektywnie ludzi. Jednak ta platforma nie służy do zmiany sposobu funkcjonowania całego systemu, tylko wewnętrznej organizacji ruchu i wdrożenia mechanizmów, które pozwolą na utrzymanie poziomych struktur i demokratycznych standardów.

**A czy to nie jest czasem decydujący moment? To znaczy, że albo uda się coś osiągnąć, albo wielu ludzi uzna, że nie warto się angażować, bo i tak nic z tego nie wynika?**

Oczywiście istnieje takie zagrożenie, związane zresztą z pokładaniem nadziei w pojedynczych osobach lub samych narzędziach. Jak ludzie sami się nie zorganizują, nikt za nich nic nie zrobi. I wydaje mi się, że np. liderki OSK zdają sobie z tego sprawę. W tym wszystkim chodzi o doprowadzenie do zmiany, ale to proces, który potrwa.

**Brzmi wspaniale, ale nie możemy zapominać o otaczającej nas rzeczywistości. Rządzi nami Zjednoczona Prawica, są też inne partie, którym niekoniecznie tak duża zmiana musi się podobać. A żeby coś zmieniać, to jednak trzeba przejąć władzę.**

Wracamy na chwilę do języka, bo mówi pan: „rządzi nami". Mną na przykład nikt nie rządzi. Oczywiście wiem, o co panu chodzi, ale słowa, których używamy, są ważne. Musimy więc zmienić też język, by mówić o otaczającym świecie w sposób odzwierciedlający rzeczywistość, w której chcemy żyć, a nie tę, która została nam narzucona.

**Uwarunkowania wciąż jednak są te same.**

Dlatego rozwiązaniem nie może być powrót do tego, co było. Bo za kilka lat będziemy mieć powtórkę z rozrywki. A to oznacza, że obecny system nie działa. Trzeba go zaprojektować na nowo.

**Proszę mnie przekonać, że możliwe jest wprowadzenie tych zmian w życie.**

To się dzieje na całym świecie. Ewaluacja procesów partycypacyjnych i demokratycznych innowacji wskazuje, że zmiana jest możliwa, musimy po prostu połączyć ze sobą różne kropki i wszystko to upowszechnić. Często podawanym przykładem jest Barcelona, która pokazuje, że polityka na szczeblu lokalnym może działać tak, by była ukierunkowana na potrzeby obywatelek i obywateli.

**Czy to znaczy, że powinniśmy zacząć w miastach ? Wciąż jednak wybory w 2023 roku może wygrać obecny obóz władzy i nic się nie zmieni.**

Jest takie ryzyko, miejmy tego świadomość. Trzeba jednak rozpowszechniać wiedzę, że może być inaczej i że nie musimy wymyślać wszystkiego od zera, bo wiele rozwiązań już istnieje – byle lepiej je poznać i zacząć działać w inny sposób.

**Czyli mamy mieć nadzieję, że uda się zwiększyć świadomość oraz przekonać do tego wszystkich tych, na których będziemy głosować. Bo nie zmienimy tego, że za dwa lata są wybory do parlamentu.**

W związku z wyborami zawsze jest dylemat, co robić. Wydaje się, że w obecnym systemie jest tylko jedna droga, by coś rzeczywiście znacząco zmienić – trzeba zarejestrować partię, stworzyć program i spróbować zdobyć jak najwięcej głosów. To droga, którą wybrało obecne hiszpańskie Podemos, wywodzące się z ruchów protestacyjnych Indignados. Zmiany dzięki temu są możliwe, ale jednocześnie nie mogą być radykalne, bo automatycznie stajemy się częścią systemu.

**Który w ten sposób też się broni.**

Bo musisz grać według ustalonych z góry zasad, których nie zmienisz, dopóki nie masz większości. Podemos jednak odniosło swoisty sukces, mieli ogromne poparcie społeczne, trafili w dobry moment. Tak więc ma pan rację, że pokojowa droga zmiany systemu wiedzie raczej przez stary system. Dlatego to wszystko jest takie trudne i czasochłonne.

SÉVERINE LENGLET / CITIZENS FOR EUROPE GUG / MATERIAŁY PRASOWE

**DR KATARZYNA ANNA KLIMOWICZ** jest koordynatorką projektów w organizacji Citizens For Europe gUG w Berlinie. Na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego prowadziła badania na temat nowych modeli zarządzania oraz uprawiania polityki z wykorzystaniem partycypacyjnych narzędzi cyfrowych. Jest absolwentką Międzynarodowego Programu Humanity in Action oraz współzałożycielką Fundacji Wspierania Inicjatyw Młodzieżowych 4YOUth. Współpracuje z think tankiem Das Progressive Zentrum w Berlinie.

**Wracamy do pokazywania ludziom, że można inaczej.**

Obecny system nie odpowiada ani na podstawowe potrzeby społeczne, ani na globalne wyzwania, przed którymi stoimy. Kluczowe jest pokazywanie, że polityka może funkcjonować w inny sposób, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Chodzi o jak najczęstsze doświadczanie demokracji w każdym możliwym miejscu. Na wszystkich stopniach edukacji, w instytucjach publicznych, w sferze gospodarki dzięki kooperatywom, spółdzielniom, podmiotom ekonomii społecznej. Jest tego dookoła nas coraz więcej.

**Mimo wszystko w naszym społeczeństwie to wciąż raczej nisza.**

Dlatego mówi się o osiągnięciu masy krytycznej. Dopiero wtedy mamy do czynienia z rzeczywistą zmianą świadomości i sposobu funkcjonowania. Trzeba działać i próbować. Nie jest też tak, że ja, mam odpowiedź na to, jak to wszystko ma wyglądać. Wszystko musimy robić wspólnie, przy pomocy przeróżnych narzędzi i procesów partycypacyjnych i w ten sposób tworzyć nowy, lepszy system.

**Czyli bierze Pani pod uwagę, że ludzie mogą wymyślić coś, co nie do końca się Pani spodoba.**

To jest długi proces, dzięki czemu można ograniczyć takie ryzyko. Irytuje mnie jednak zakładanie, że to się nie uda i nie będzie działać. Jakby obecnie wszystko doskonale działało. O kryzysie demokracji przedstawicielskiej mówi się w kręgach akademickich oraz w mediach już od kilku dekad.

**W takim razie co daje największą nadzieję, że się uda, co napędza Panią do działania, poza chęcią życia w lepszym świecie?**

Liczba przykładów z całego świata, które pokazują, że to jest możliwe. To wszystko dzieje się teraz. Choćby Partycypedia, czyli otwarta platforma zbierająca dane o dobrych praktykach i procesach partycypacyjnych na całym świecie.

**Nie obawia się Pani, że żyjemy w za bardzo spolaryzowanym społeczeństwie, które nie chce ze sobą rozmawiać?**

O wiele większym zagrożeniem jest brak świadomości, że może być inaczej. Ten brak może oczywiście wynikać także i z tego, że ludzie są zmęczeni, nie mają siły, by dowiadywać się i próbować nowych rzeczy. Do tego media społecznościowe zabierają nam mnóstwo czasu, a wielkie korporacje coraz mocniej chcą kontrolować nasze zachowania. Tym bardziej musimy zastanowić się, jak ma wyglądać nasza przyszłość. Czy chodzi o to, byśmy byli coraz bardziej skupieni na sobie i skłóceni, czy by wszystkim nam wspólnie żyło się lepiej?

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

KLUB TP Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

*Adam Glapiński w Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira Skrzypka, maj 2016 r.*

# Chimeryczny pewnik

MAREK RABIJ

**Gratulacje, drogi Czytelniku! Jak przystało na obywatela gospodarczego tygrysa, zostaniesz niebawem statystycznym posiadaczem co najmniej 2,6 grama czystego złota.**

Pozwól jednak, że od razu wyręczę Cię w poszukiwaniu aktualnej ceny kruszcu. Od początku roku porusza się ona w trendzie, jak mawiają na giełdzie, z grubsza horyzontalnym, w przedziale 213-222 zł za gram. Dla Ciebie niewielka to różnica, ale prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński – który zapowiedział niedawno zwiększenie krajowych rezerw złota o co najmniej sto ton, aby korespondowały z ciężarem gatunkowym polskiej gospodarki będącej jego zdaniem „potęgą *in statu nascendi*" – z pewnością chciałby kupić je jak najtaniej. Pełen wiary w ekonomiczne kompetencje szefa banku centralnego możesz wręcz założyć, że szykujący się do dużych zakupów profesor Glapiński po prostu wie, że trafiła się po temu doskonała okazja.

Nic z tego. Ben Bernanke, przewodniczący Systemu Rezerwy Federalnej USA – czyli kolega po fachu szefa NBP – zeznając w lipcu 2013 r. przed senacką komisją bankowości przyznał: „Nikt tak naprawdę nie rozumie cen złota. Ja też nie będę udawać, że je rozumiem".

### Jubilerzy chwilowo niepotrzebni

Nadzieję na utrzymanie spadkowej tendencji ceny złota NBP może wiązać z danymi o sprzedaży. W ubiegłym roku właściciela zmieniło 3759,6 ton kruszcu. Mniej o blisko 600 ton w porównaniu z rokiem 2019 i zarazem najmniej od 2009 r., czyli pierwszego roku kryzysu finansowego wywołanego upadkiem banku Lehman Brothers – tak wynika z najnowszego raportu World Gold Council.

Dokładniejsza lektura dokumentu pokazuje jednak, że odnotowany spadek popytu – zaskakujący, zważywszy na opinię bezpiecznej inwestycyjnej przystani, jaką cieszy się złoto w burzliwych czasach – miał faktycznie miejsce i... zarazem go nie było. Załamaniu uległo bowiem zapotrzebowanie na złoto biżuteryjne, którego w 2020 r. sprzedano tylko 1411,6 tony, czyli aż o 33,5 proc. mniej niż rok wcześniej. W obliczu kryzysu wywołanego pandemią gospodarstwa domowe na całym świecie ograniczyły wydatki na ten cel i równie głębokiej zapaści światowy rynek biżuteryjny nie odnotował w 25-letniej historii statystyk WGC. W Chinach jubilerzy sprzedali aż o 42 proc. mniej złota niż przed rokiem. W Indiach spadki sięgnęły 35 proc.

W tym samym czasie kruszec na potęgę kupowały jednak fundusze inwestycyjne i inne instytucje rynku kapitałowego, zasilonego wiosną 2020 r. przez gigantyczne zastrzyki gotówki z banków centralnych (dziś już wiemy, że nie udało się uniknąć pomyłki z roku 2008 i znaczna część pieniędzy na ratowanie realnej gospodarki ugrzęzła w bankach, które skarżą się dziś wręcz na nadpłynność).

W 2020 r. zapotrzebowanie na złoto do celów czysto inwestycyjnych wzrosło w porównaniu z rokiem wcześniejszym z 398,3 do aż 877,1 ton. Gdyby przełożyć te liczby na zachowania konsumenckie, można dojść do wniosku, że kryzys zapo-

czątkowany przez pandemię okazał się na tyle dotkliwy dla szaraków, że nawet w obliczu atakującej inflacji (pakiety stymulujące gospodarki świata musiały na jakiś czas spuścić ją ze smyczy) nie byli w stanie zabezpieczyć części oszczędności w złocie. Najlepiej sytuowani nie mieli takich problemów; szukając bezpiecznej przystani dla swoich majątków wybrali to, co gwarantowało im optymalną relację zysku do ryzyka – czyli właśnie produkty finansowe oparte na cenie złota.

Rzecz w tym, że taka konstatacja nie zbliża nas nawet do odpowiedzi na pytanie, jak doszło do tego, że złoto stało się synonimem stabilności i bezpieczeństwa? I czy w ogóle na taką opinię zasługuje?

### Uncje niepewności

W świecie złota mało co bywa przecież oczywiste. Miarą wagi używaną w handlu tym kruszcem jest tajemnicza uncja zwana trojańską – lecz nie od Troi, a francuskiego miasta Troyes, które było ważnym ośrodkiem jubilerskim średniowiecznej Europy. Uncja, czyli 31 gramów z małym hakiem, występuje zresztą w handlu na przemian ze sztabką, czyli prostopadłościanem ważącym 12,44 kg, a żeby sprawę skomplikować jeszcze bardziej, oprócz wagi surowca o jego cenie decyduje także próba odpowiadająca zawartości czystego złota w stopie. W rezultacie dla przeciętnego Europejczyka, przyzwyczajonego do systemu dziesiętnego, ceny złotego kruszcu stają się jeszcze jedną enigmą i dopiero kalkulator podpowie, że aktualne 1,7 tys. dolarów za uncję złota najwyższej próby, w przeliczeniu daje ok. 220 zł za gram.

Z perspektywy każdego inwestora złoto ma jedną wielką zaletę: nie ma go za wiele. Rozpoznane i niewydobyte zasoby tego kruszcu szacuje się obecnie na jakieś 50 tys. ton, głównie w RPA, Rosji, Chile i w USA, co przy obecnym poziomie ich eksploatacji wystarczy na około 12 lat – zakładając oczywiście, że w tym czasie geologowie nie doszukają się kolejnych.

Czy wystarczy go dla zaspokojenia potrzeb gospodarki rosnącej (niestety) na sterydach globalizacji? Miliarder Warren Buffett zwykł powtarzać, że sześcian powstały po przetopieniu zapasów całego złota w jedną bryłę miałby dziś bok nie dłuższy niż 20 metrów (co daje ok. 120 tysięcy ton). To zaś oznacza, że całe złoto wydobyte i wypłukane do tej pory przez rodzaj ludzki warte jest obecnie niespełna 6,6 bilionów dolarów. Mówiąc jeszcze inaczej – to równowartość niespełna... 7 proc. zeszłorocznego produktu krajowego brutto całego świata.

Jak do tego doszło i co to oznacza – zarówno dla świata wielkich finansów, jak i portfela przeciętnego obywatela? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy na chwilę przenieść się do złotego wieku Hollywood.

### Złote i zielone

Oddziały alianckie kierowały się już na Paryż, a w Berlinie niemieccy oficerowie dopinali właśnie plan zamachu na Hitlera, kiedy na początku lipca 1944 r. w amerykańskim Bretton Woods do rozmów zasiadło 730 przedstawicieli 44 państw alianckich. Celem konferencji było zarysowanie powojennego ładu gospodarczego, a właściwie namaszczenie amerykańskiego dolara na przewodnią walutę świata. Kontrkandydatów nie było, bo gospodarka USA jako jedyna nie ucierpiała przez wojnę.

Do objęcia przewodnictwa nad światową gospodarką dolar był zresztą świetnie przygotowany. Jeszcze w latach 30. administracja prezydenta Roosevelta przeprowadziła szereg reform, dzięki którym ekonomiczny silnik Stanów Zjednoczonych, zatarty przez Wielki Kryzys z roku 1929, zaczął szybko odzyskiwać wysokie obroty. W 1933 r. USA uporządkowały własny rynek monetarny, po którym krążyło wiele monet i banknotów z różnych emisji – włącznie z wciąż ważnymi pierwszymi dolarami jeszcze z XVIII wieku. Reforma Roosevelta zastąpiła je nowoczesnym, dobrze zabezpieczonym przed podróbkami pieniądzem.

Wartość dolarów będących w obiegu miała być odtąd wiernym odzwierciedleniem wartości depozytów złota, zgromadzonych we wzniesionym właśnie Forcie Knox. Delegaci zgromadzeni w Bretton Woods mogli więc z czystym sumieniem uczynić z zielonego wzorcową walutę. Uncja złota miała być odtąd wymienialna na 35 dolarów, zaś inne waluty miały pilnować jedynie swojego kursu do dolara i zabezpieczać go własnymi rezerwami złotego kruszcu. Nad stabilnością całego systemu miał zaś czuwać powołany do życia Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Spokój nie trwał jednak długo. Sukcesy amerykańskiej gospodarki i renoma dolara na świecie sprawiły, że już w 1960 r. zagraniczne depozyty dolarowe przekraczały wartością to, co amerykańska rezerwa federalna trzymała w Fort Knox. Stało się jasne, że sztywne powiązanie ze złotem jest anachronizmem w warunkach globalizującej się gospodarki. Aby nie dopuścić do utraty swoich rezerw kruszcu, 15 sierpnia 1971 r. USA zawiesiły więc wymienialność dolara na złoto, a dwa lata później upłynniły jego kurs do innych walut. Cena pieniądza miała odtąd bazować nie na rezerwach złota, ale na zaufaniu kupujących.

Ryzyko rozpadu światowego systemu walutowego było spore, toteż z innych krajów na USA posypały się gromy. Delegacja finansistów z Europy Zachodniej przyjechała nawet do Waszyngtonu na rozmowy ostatniej szansy, ale od Johna Connally'ego, sekretarza skarbu w gabinecie Richarda Nixona, usłyszeli jedynie, że „to nasza waluta, a wasz problem".

### Wielki Reset?

Janet L. Yellen, która dziś sprawuje tę funkcję w administracji Joego Bidena, nie może już sobie pozwolić na taką dezynwolturę. Pozycja dolara w światowej gospodarce wyraźnie słabnie. USA nadal mogą jednak poszczycić się największymi rezerwami złota, przekraczającymi 8133,5 tony. Inna sprawa, że od czasów prezydenta Eisenhowera w Forcie Knox nie przeprowadzono oficjalnej inwentaryzacji, co miłośników teorii spisku dawno zachęciło do postawienia hipotezy, że skarbiec federalny USA świeci pustkami, ewentualnie dla niepoznaki zapełniono go sztabkami cieniutko pozłoconego wolframu.

W tej kwestii bardziej rzetelne są raporty niemieckiego Bundesbanku, który z rezerwami złota na poziomie ponad 3364 ton plasuje się na drugim miejscu. Polska ze swoimi 228 tonami mieści się w trzeciej dziesiątce – za takimi krajami jak Kazachstan czy Rumunia, ale też wyżej od Australii. Największego zakupu – 94,9 ton – NBP dokonał w czerwcu 2019 r. Dodatkowe 100 ton ma poprawić balans (także wizerunkowy) rodzimej gospodarki, ale wartość pieniądza pozostającego nad Wisłą w obiegu i tak nie będzie mieć pełnego zabezpieczenia w krajowych depozytach złota. Tak dziś po prostu się nie da. ↦

↦ Gdyby zsumować wszystkie zapisy na kontach, lokatach i rachunkach inwestycyjnych wszystkich klientów indywidualnych i korporacyjnych globu, otrzymamy kwotę bliską już 800 bilionom dolarów. Jak to możliwe przy założeniu, że cała gospodarka świata produkuje rokrocznie dobra i usługi warte jakieś 95 bilionów dolarów? Pieniądz uwolniony ze złotych więzów parytetu kruszcowego zaczął po prostu szybciej krążyć po świecie w formie zapisu księgowego, który łatwo powielić w przeciwieństwie do monety. W wielkim uproszczeniu, w globalnej gospodarce mamy zatem mnóstwo gotówki bez pokrycia w zasobach realnej gospodarki. A to musi budzić obawy.

Willem Middelkoop w głośnej książce „Big Reset" wydanej w 2014 r. dawał globalnej gospodarce najwyżej sześć lat. Około 2020 r. – jak twierdził holenderski ekonomista – pod ciężarem długu publicznego rządy i banki centralne stracą nie tylko możliwość dalszego dodruku pieniądza, ale też obsługi zadłużenia. Światowa gospodarka upodobni się wówczas do Republiki Weimarskiej z lat 20. zeszłego wieku, którą sparaliżowała hiperinflacja. Rządy staną przed alternatywą – albo szybko siadamy do stołu do pracy nad nowym Bretton Woods, które pożegna się z pieniądzem papierowym i znów powiąże go ze złotem, albo seria lokalnych krachów zmieni się w globalne tsunami.

Prognoza okazała się nietrafiona, ale wciąż nie da się wykluczyć, że Middelkoop pomylił się jedynie w dacie. Nadpłynność rynków kapitałowych osiągnęła dawno temu rozmiary bańki spekulacyjnej. Czy można się dziwić miliardom ludzi, którzy z dala od rynków surowcowych, giełd i innych mateczników turbokapitalizmu trzymają w domu złoto na czarną godzinę w formie pierścionków, kolczyków i innych drobiazgów? WGC szacuje, że ręce, uszy i szyje prywatnych inwestorów zdobi dziś co najmniej 26 tys. ton złota – czyli niewiele mniej od rezerw wszystkich banków centralnych.

Do listy paradoksów można zatem na koniec dodać jeszcze jeden. To chyba jedyne z dóbr, które tak naturalnie łączy elitarność z egalitaryzmem.

©℗ MAREK RABIJ

# Nadzieja za trzy tysiące

ANNA GOLUS

**W płatnych serwisach towarzyskich trudno spotkać kobietę, chyba że to wynajęta przez firmę operatorka. Ale to zdaje się nie przeszkadzać użytkownikom płacącym za ułudę spotkania.**

Oferta pracy brzmi: „Jako operator czatu tekstowego będziesz odpowiadać na przypadkowe wiadomości w opartej na fantazjach platformie tekstowej. Musisz być w stanie rozmawiać z klientami na różne tematy. Otrzymasz różne role, w zależności od potrzeb klienta. Niektórzy z naszych klientów chcą po prostu porozmawiać z kimś o życiu codziennym. Rozmowy o pracy, kulturze, pogodzie, relacjach. Twoja tożsamość nie będzie znana klientom, ponieważ będziesz brany za osobę, do której klient pisze".

Wysyłając zgłoszenie, potencjalny operator zgadza się na zachowanie w tajemnicy wszystkiego, czego dowie się podczas rekrutacji, szkolenia i ewentualnej pracy dla platformy, pod groźbą srogiej kary finansowej.

### Długotrwałe relacje

– Ogłoszenie zupełnie nie wskazywało na właściwy charakter pracy. Zwracano w nim uwagę na konieczność posługiwania się poprawną polszczyzną, nie było mowy o tym, na czym to naprawdę polega – mówi Olga, która zrezygnowała z pracy po kilku godzinach.

Podpisała klauzulę poufności i nawet anonimowo nie chce powiedzieć, dla której z działających w Polsce, ale zarejestrowanych za granicą firm zatrudniających operatorów czatu pracowała.

W ofercie kolejnej firmy z tej branży czytamy: „Nasi moderatorzy czatu uczestniczą w tekstowych czatach online, na jednej bądź większej ilości platform społecznościowych. Ich celem jest animowanie tych społeczności, stymulowanie rozmów i przez to pielęgnowanie długotrwałych relacji. (...) Moderatorzy czatu powinni być gotowi na angażowanie się w wysokiej jakości rozmowy dla dorosłych na różnych platformach czatu".

Te „platformy społecznościowe" to aplikacje i serwisy towarzyskie, a praca moderatora czatu towarzyskiego polega na obsługiwaniu fałszywych profilów, które „rozmawiają" z prawdziwymi użytkownikami. Nie za darmo. Każda wiadomość kosztuje użytkownika – w zależności od serwisu i wykupionego pakietu – od 3 do 5 zł. Operatorzy zarabiają ok. 0,30 zł za jedną wiadomość.

– Operatorzy czatu korzystają ze specjalnego panelu służącego do obsługi wielu fałszywych profilów – wyjaśnia Olga. – W tym panelu jest między innymi miejsce na notatki operatorów, gdzie należy wpisywać ważne informacje o klientach i postaciach, czyli tych fikcyjnych osobach. Na przykład, gdy jeden operator powie klientowi, że postać ma kota, wszyscy inni muszą o tym wiedzieć. Klient myśli, że rozmawia z tą osobą, którą widzi na zdjęciach zamieszczonych w profilu, ale po drugiej stronie siedzą różni ludzie i rozmawiają z nim na zmianę.

– Rzadko zdarzały się zwyczajne wymiany wiadomości z jednym klientem – opowiada Maria, która pracowała w ten sposób wiele miesięcy. – Gdy ruch jest duży, po wpisaniu przez jednego operatora wiadomości system przekierowuje konwersację z danym klientem dalej, do kolejnego operatora, który wysyła następną wiadomość. I tak dalej, jak przy taśmie w fabryce. Czasem w kolejce czekają dziesiątki klientów.

Maria nie zgadza się z moim przypuszczeniem, że system zaprogramowano tak, by utrudnić operatorom zaangażowanie się w relację z klientami. Według niej panel obsługi czatów jest tak skonstruowany po to, by zapewnić wszystkim operatorom równe szanse zarobku. – Byłoby nie fair, gdybym ja trafiła na gadatliwego klienta, a ktoś inny na milczka – zapewnia.

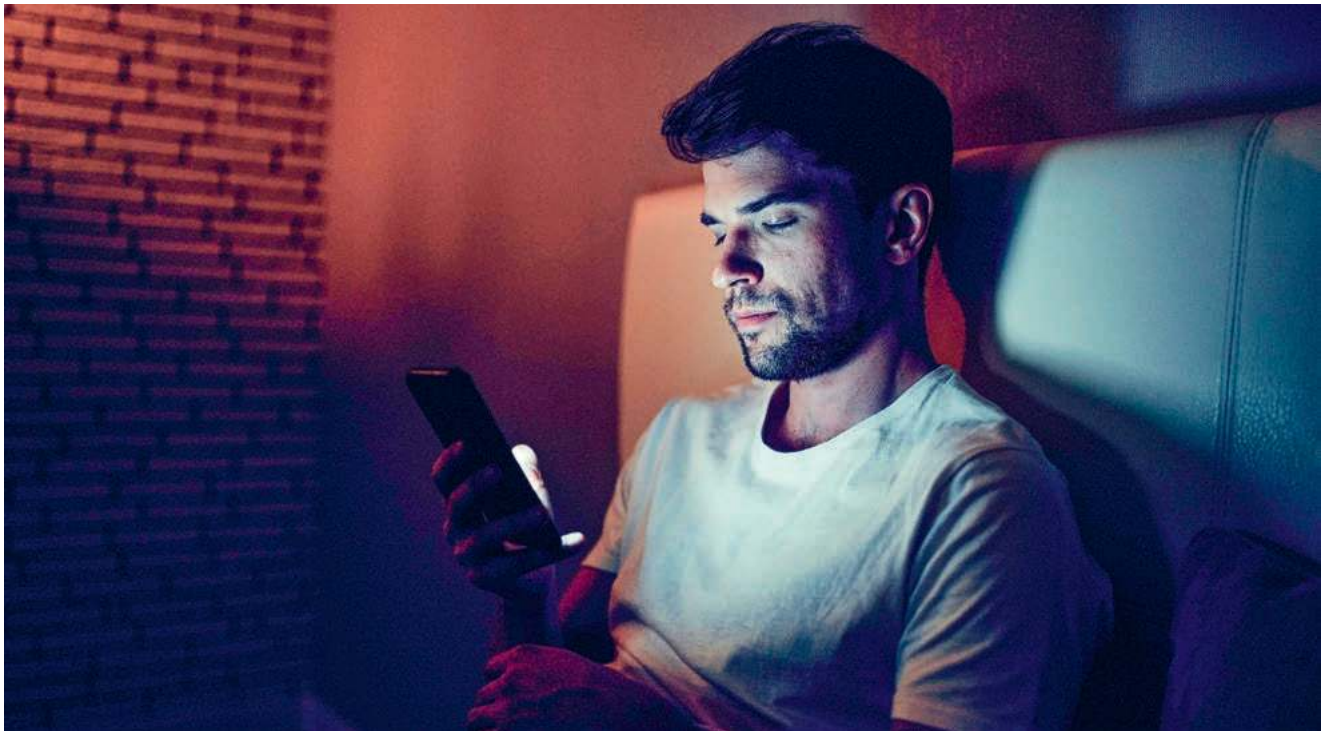

DMITRY AGEEV / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

### Słodkie, miłe kobiety

W 2015 r. hakerzy zaatakowali serwis AshleyMadison.com – „najpopularniejszy na świecie serwis randkowy skierowany do osób zamężnych i żonatych pragnących dyskretnego seksu" – i upublicznili dane jego użytkowników. Serwis, reklamowany hasłem „Życie jest krótkie. Pozwól sobie na romans", szczycił się ogromną liczbą użytkowników. Oficjalnie: 31 mln zarejestrowanych mężczyzn i 5,5 mln kobiet. Po wycieku ich danych okazało się jednak, że prawie wszystkie profile kobiet były fałszywe (korzystały z tego samego hosta IP i używały adresów mailowych w domenie ashleymadison.com). Pragnący oszukać swoje żony mężczyźni sami więc zostali oszukani – płacili za rozmowy z kobietami, które nie istniały.

Obecnie podobnych serwisów i aplikacji jest znacznie więcej. Są przeznaczone nie tylko dla nieuczciwych małżonków, ale również osób szukających miłości. Czasem w regulaminie widnieje informacja o wykorzystywaniu „fikcyjnych" albo „wirtualnych profilów", czasem nie. Zawiedzeni klienci nie dochodzą jednak swoich praw. W 2020 r. do Europejskiego Centrum Konsumenckiego wpłynęło z kraju 168 zgłoszeń problemów z portalem randkowym mającym siedzibę poza granicami Polski, w tym zaledwie kilka skarg na serwisy randkowe wykorzystujące fikcyjne profile.

Jednym z serwisów, którego twórcy nie mogą usprawiedliwiać się stwierdzeniem „trzeba było czytać regulamin", jest myDates.com (i aplikacja myDates). W opisie aplikacji w jednym ze sklepów czytamy: „tutaj możesz znaleźć swoją prawdziwą miłość i przeżyć miłosne uniesienia. MyDates to idealny portal randkowy, dzięki któremu możesz nawiązać kontakt, rozmawiać i poznać swoją drugą połówkę. (...) Wystarczy się zarejestrować i przygotować się na randki ze słodkimi, miłymi kobietami i mężczyznami". W dostępnym wyłącznie po angielsku regulaminie jest natomiast napisane, że właściciel myDates, holenderska firma Boranu Online B.V. „dla rozrywki użytkowników używa profesjonalnych animatorów i operatorów, którzy nie są wyróżniani w systemie. To usługa najwyższej jakości. Spotkania z tymi operatorami nie są możliwe. Użytkownicy mogą komunikować się z nimi wyłącznie poprzez portal".

Rejestruję się na myDates jako mężczyzna i jako kobieta, by sprawdzić, czy serwis zapewnia najwyższej jakości rozrywkę przedstawicielom obu płci. Oba moje profile są takie same: bez zdjęć, opisów i jakichkolwiek informacji (jest tylko wiek i miasto, bo tego wymaga serwis). Do „kobiety" nie napisał nikt, natomiast do „mężczyzny" w ciągu pierwszej doby napisały 94 kobiety w każdym wieku, wszystkie z najbliższej okolicy. Każdego kolejnego dnia odzywało się kilkadziesiąt nowych kobiet, a te, które próbowały nawiązać kontakt wcześniej, ponawiały próby, nierzadko profesjonalnie manipulując, np. zarzucając brak kultury. To tzw. boty, czyli wiadomości wysyłane automatycznie. Jeśli mężczyzna odpisze, rozmowę będą kontynuować operatorzy czatu.

– Te boty czasem utrudniały mi pracę – mówi Maria. – Jeśli bot rozpoczynał rozmowę na przykład od propozycji wymienienia się numerami telefonu, ja musiałam później to odkręcać, bo przecież chodziło o to, żeby klient pisał na naszym płatnym czacie.

### Zawsze coś wypadało

– Rzeczywiście, na początku tych wiadomości od kobiet było bardzo dużo – mówi Mariusz, użytkownik myDates. – Od stycznia piszę z tylko jedną panią. Prosiłem ją, byśmy przeszli na jakiś darmowy komunikator, pytałem, po co wydawać kasę, skoro można rozmawiać za darmo, ale odpowiadała, że ona lubi ten portal i chce pozostać anonimowa. Zapewniała, że woli zostać tutaj, choć sama też płaci za wiadomości.

Mariusz w rubryce „O mnie" wpisał informację, że został na tym portalu oszukany, ale próbuje ponownie. Nie chce też liczyć, ile pieniędzy wydał na myDates. Inny użytkownik tego serwisu, Paweł, student finansów i rachunkowości, szybko ↦

oblicza, że wydał tu ok. 3 tys. złotych, również na rozmowę z jedną kobietą, z którą koresponduje – z kilkumiesięczną przerwą spowodowaną problemami finansowymi – od stycznia 2020 r.

– Wielokrotnie próbowałem namówić Elwirę na przejście na coś darmowego – opowiada. – Raz nawet dałem jej ultimatum, że jeśli w końcu nie przestaniemy tracić tu pieniądzy, usunę mój profil na myDates. Nie zgodziła się, mnie jednak nie było wtedy na to stać, więc zniknąłem na kilka miesięcy. Gdy wróciłem, ona wciąż tu była, nikogo nie znalazła, a ja przekonałem się, że to ta jedyna. Teraz jestem tu, bo chcę zaprosić ją na spotkanie. Umawialiśmy się już kilka razy, ale za każdym razem coś jej wypadało.

„W piątek się odezwę, kocham cię bardzo mocno" – napisał w rubryce „O mnie" użytkownik o nicku Doberman. Następnego dnia, w niedzielę, zmienił opis na: „Jejku, jak ja się czułem dzisiaj smutno, tęsknię, mam naprawdę rozdartą duszę od tego wszystkiego. Jadziu, bez Ciebie zdycham". W poniedziałek: „W piątek się odezwę, czekaj. Nie mam skąd wziąć pieniędzy, dopiero w piątek dam Tobie znać". We wtorek: „Trochę padnięty jestem, Kotuś. Jejku, muszę z Tobą porozmawiać. Wiesz, że bardzo się dla mnie liczysz. Kocham Cię bardzo mocno, wariacie mój najdroższy". We czwartek: „Jadziu, jutro już napiszę i popiszemy trochę. Dzisiaj jeszcze nie dam rady coś napisać, mam takie wydatki, że naprawdę mało mi zostanie, by przeżyć tydzień".

### Samotność i desperacja

Maria zapewnia, że starała się szanować uczucia osób zakochanych i podchodzić do nich delikatnie, i że inni operatorzy też tak postępowali. Nie zdarzało się to jednak zbyt często. – Nawet w tych serwisach, które służą do szukania miłości, większość mężczyzn szuka seksu bez zobowiązań, nierzadko ukrywając swój stan cywilny – uważa była moderatorka. – To z reguły ludzie, których życie sprowadza się do pracy, jedzenia, snu i seksu. Nie mają niczego do powiedzenia, nawet na swój temat, już nie mówiąc o czymś innym. Choć zdarzają się wyjątki, czyli mężczyźni twierdzący, że są pisarzami, poetami, artystami, inżynierami.

**Moderatorki deklarują gotowość robienia tego, czego chce mężczyzna.** Odpowiadają natychmiast, po odmowie kontaktu zawsze próbują powrócić do rozmowy.

– Zrezygnowałam nie dlatego, że czasem trzeba było prowadzić rozmowy erotyczne – mówi Olga. – To były zresztą rzadkie sytuacje, choć zdarzały się osoby, które chciały rozmawiać tylko o seksie, ale później wykazywały chęć zbudowania więzi emocjonalnej. Zrezygnowałam, bo dotarło do mnie, że biorę udział w oszukiwaniu najbardziej bezbronnych. Nie chcę nikogo obrazić, ale sądząc po języku, jakim posługuje się większość tych mężczyzn, to ludzie prości, mało wykształceni. Poza tym samotni i w jakimś sensie zdesperowani, skoro są w stanie wydać krocie na wiadomości, żeby dać sobie chociaż ułudę nadziei na znalezienie miłości. Właśnie ten typ klienta sprawił, że nie mogłam kontynuować tej pracy.

Krzysztof skończył dwa kierunki studiów, ale być może zostałby uznany za „ten typ klienta". Kilka lat temu miał udar, którego skutki, w tym obniżenie sprawności intelektualnej, odczuwa do dziś. Serwisu randkowego używa od lipca zeszłego roku, wydał w tym czasie ok. 400–500 zł. Miał przeczucie, że coś jest nie w porządku, bo parę razy otrzymał od różnych kobiet identyczne wiadomości. Raz nawet usunął swój profil, ale zarejestrował się ponownie, bo nadzieja na poznanie kogoś wzięła górę. Chciał skorzystać z bezpłatnych aplikacji towarzyskich, ale nie działają na jego nie najnowszym smartfonie.

### W jakiś sposób rozsądni

Zdarzają się również mężczyźni, którzy próbują być sprytniejsi od twórców serwisów i wbrew regulaminowi zamieszczają w informacjach profilowych numery telefonu, adresy e-mail albo inne dane kontaktowe (których nie można podawać również w wiadomościach prywatnych). Marek w rubryce „O mnie" wpisał swoje imię i nazwisko oraz zaproszenie na Facebooka. Jest na myDates od trzech lat, ale nie wydał tu żadnych pieniędzy, bo nie stać go na kupowanie „monet" i płacenie za rozmowy. Odzywa się do niego mnóstwo kobiet, ale on nie odpisuje, tylko wysyła im całusy (które są bezpłatne) i czeka, aż któraś z nich odezwie się w końcu na Facebooku. W ciągu trzech lat nikt się nie odezwał.

Adam umieścił adres e-mail w nazwie użytkownika. – Żadna osoba nie napisała – mówi. – Nie wiem, czy te dziewczyny naciągają, czy to boty-roboty, ale kilka z nich namawiałem na przejście na mail albo Facebook. Bezskutecznie. Podejrzewam, że są tam zatrudnione, lecz nie jestem pewien. W ciągu roku za korzystanie z serwisu zapłacił ok. 300 zł.

Taką samą kwotę wydał Jarek, ale w dwa miesiące. Nie ukrywa, że ma partnerkę, i zamieszcza w profilu taką informację o sobie: „Nie interesują mnie związki na dłużej. Moderatorom stron odmawiam. Jestem niedobry, leniwy i mam nałogi. Ale inteligentny i ładny".

Wyjaśnia, jak rozpoznaje te profile: – Moderatorki znajdują się na początku listy wyszukiwania i zawsze są online. Z reguły to one inicjują kontakt, a potem nie odpowiadają na pytania, nawet najprostsze, w stylu „Co ciekawego w twoim mieście?", tylko zmieniają temat albo od razu zadają inne pytanie. Bez względu na to, co mają w profilu i jak się toczy roz-

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim** w sprawie I Ns 292/20 toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Musiała i Marzeny Musiał o stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Walencik, córce Antoniego i Joanny, urodzonej w dniu 9 marca 1886 roku w Chodliku, ostatnio stale zamieszkałej w Karczmiskach Pierwszych i zmarłej 14 czerwca 1985 roku w Karczmiskach Pierwszych.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy Bronisławy Walencik w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabyciu spadku.

mowa, deklarują chęć robienia tego, czego chce mężczyzna – od romantycznego spaceru po pójście do łóżka. Odpowiadają natychmiast, bez względu na porę dnia czy nocy. Nawet parę zdań odpowiedzi zajmuje im nie dłużej niż minutę. Po odmowie kontaktu zawsze próbują powrócić do rozmowy, bez względu na to, czy się odpowiada, czy nie.

Maria: – Rozmawiałam z tysiącami mężczyzn. Stali bywalcy, ale codziennie przybywało wielu nowych. Byli klienci, których należało reaktywować, czyli tacy, którzy się logowali, ale nie wysyłali wiadomości. Wtedy ja wysyłałam wiadomość do nich. Często nie odpowiadali, było mnóstwo wiadomości od moderatora i zero od klienta, ale mi to wisiało, bo płacono mi za wysłane. Na upartego mogłabym zacząć przepisywać książkę zdanie po zdaniu, ale moim celem było jednak zmobilizować klienta do jakiejś reakcji.

Jarek: – Przypuszczam, że spośród około trzystu kobiet, z którymi miałem kontakt na myDates, prawdziwe są zaledwie dwie – te, do których sam napisałem i które mi nie odpisały. Nie szkoda mi czasu i pieniędzy, bo przecież wszystkie aktywności polegające na zdobywaniu nowych kontaktów kosztują. Przed pandemią można było gdzieś pójść i kogoś spotkać, teraz pozostaje głównie internet. Nie chciałbym oceniać tego działania, w końcu są to portale dla ludzi, którzy powinni być w jakiś sposób rozsądni. Przynajmniej w założeniu.

Maria: „Było mi żal osób niepełnosprawnych, doświadczonych przez los, nieheteronormatywnych. Zdarzało się, że miałam ochotę kogoś ostrzec. Nigdy jednak tego nie zrobiłam, bo albo nie trafiłam już na tego człowieka jako moderatorka, albo on pisał coś takiego, że tę ochotę traciłam, albo okazywało się, że jest Don Juanem i jednocześnie pisze z kilkoma kobietami, każdej wyznając miłość i obiecuje złote góry. A ja to wiem, bo akurat do mnie – jako do Kasi, Asi i Matyldy – trafiają te wszystkie wiadomości. Im dłużej pracowałam, tym moje opory były mniejsze. Podobnie jak moja wiara w ród męski.

© ANNA GOLUS

Wszystkie imiona zostały zmienione.

# Zasieki nie wrócą

MAŁGORZATA SOLECKA

**Szpital Kliniczny im. dr. Babińskiego, największa placówka psychiatryczna w Krakowie, ma już innego dyrektora, ale pracownicy i pacjenci mogą mieć nadzieję, że epoka Stanisława Kracika się wcale nie kończy.**

Kobierzyn. To słowo jeszcze dwie dekady temu budziło tylko grozę. Szpital psychiatryczny, zabezpieczony niemal jak więzienie, popadający w ruinę, kojarzył się jak najgorzej: z wyrokiem, z piętnem. Warszawa miała i ma swoje Tworki. I jakież było moje zdziwienie, że – kiedy w połowie lat 90. zamieszkałam w stolicy – zdanie „trafić do Tworek" znaczyło dokładnie to samo, co w Krakowie: do Kobierzyna.

Już pod koniec lat 90. głośno mówiło się co prawda o potrzebie wprowadzania w psychiatrii leczenia środowiskowego, budowania otwartych, dziennych centrów zdrowia psychicznego, wspierania większości osób cierpiących z powodu chorób psychicznych, chorób duszy, w ich miejscu zamieszkania, w pracy, w szkole, w domu. Ale wielkie, zamknięte – dosłownie i w przenośni – szpitale wydawały się odporne na jakiekolwiek zmiany.

Gdy w 2012 r. były burmistrz Niepołomic, człowiek, który w latach 90. z niewielkiego miasteczka uczynił centrum inwestycyjne nie tylko na skalę regionu, został dyrektorem szpitala w Kobierzynie, jedną z jego pierwszych decyzji było usunięcie metalowych zasieków tam, gdzie to było tylko możliwe. Czyli w praktyce wszędzie, poza pawilonem sądowym. Stanisław Kracik chciał, by rozległy park, otaczający szpitalne budynki – piękne, zbudowane na początku XX wieku (szpital wzniesiono przed I wojną światową, ale otwarto dopiero w 1917 r.) na wzór analogicznej placówki pod Lwowem, w Kulparkowie, przyciągał mieszkańców Krakowa na weekendowe spacery.

Czas dla szpitala w Kobierzynie (czy raczej „Babińskiego", bo tę istniejącą już wcześniej nazwę promowano, żeby zerwać z fatalną marką miejsca) był więcej niż trudny. Spodziewano się, że marszałek województwa może w każdej chwili zdecydować o likwidacji placówki, a na teren szpitala ostrzyli sobie zęby deweloperzy – mimo że od 1999 r. kompleks szpitalny wraz z parkiem został wpisany do rejestru zabytków.

Przez niemal dekadę zmieniło się wszystko. Zrujnowane budynki szpitala zostały już niemal w całości wyremontowane. Na przekór mizerii finansowej psychiatrii udało się nie tylko utrzymać, ale i rozbudować kadrę medyczną tak, że w 2018 r. „Babiński" stał się szpitalem klinicznym. Szpital z etapu „do-niemal-zamknięcia" przeszedł do etapu „placówka wzorcowa". „Nie wszystkim podoba się nasza pozycja lidera w regionalnym i krajowym rankingu szpitali psychiatrycznych. To jest dziedzina medycyny, w której wskaźnik prywatnego sektora jest ogromny. Im lepiej będzie szpital realizował społeczne oczekiwania, tym mocniej będą mu przeszkadzać podmioty prywatne, których interesy są naruszane" – napisał w swoim słowie pożegnalnym do pracowników ustępujący dyrektor.

Informacja o zmianie dyrektora wywołała protesty pracowników placówki. Wiele osób wprost sugerowało podtekst polityczny dymisji, choć nie było tajemnicą, że Stanisław Kracik z zamiarem przejścia na emeryturę nosił się już od pewnego czasu. Można się zastanawiać, czy nie została ona w jakiś sposób politycznie przyspieszona. I postawić pytanie, czy pandemia to dobry moment na zmiany.

Odpowiedzi są dwie i tylko pozornie się wykluczają. Pierwsza: nie ma dobrego momentu na zmianę takiego lidera. Druga: jeśli dzieło przetrwa zmianę, potwierdzi format twórcy. ©

WIARA

# OSTATNI KSIĄDZ W PARAFII

KS. HELMUT SCHÜLLER:

Potrzebujemy struktur kościelnych, które pozwalają być blisko ludzi, a nie administrowania z centrali. Dlatego eksperymentujemy.

**ZUZANNA RADZIK: Inicjatywa Proboszczów, którą zakładałeś, wydała właśnie oświadczenie, że zamierza kontynuować błogosławienie par LGBT+. Prorokowano, że szybko spadną na Was kary. Ale działacie od kilkunastu lat i żadne kary Was nie spotkały. Aż trudno w to uwierzyć.**

**KS. HELMUT SCHÜLLER:** Żadne. No, nie całkiem. Chyba w 2012 r., po wydanym przez nas „Wezwaniu do nieposłuszeństwa", zabrali mi tytuł prałata. Dostałem go, gdy byłem wikariuszem generalnym Wiednia. Odebranie go nie odbyło się na piśmie, tylko biskup poinformował mnie, że dzwoniono z Watykanu. Sam był niezadowolony z takiego obrotu spraw i powiedział: „Nie smuć się, to nie jest szczególnie ważne".

Teraz też nie spodziewamy się konsekwencji. Biskupi czują, że większość katolików zgadza się z tym, co mówimy. Jeśli będzie trzeba, podejmiemy z nimi rozmowę.

**Jak zaczęła się Inicjatywa Proboszczów?**

U początku była telewizyjna dyskusja z biskupem o sytuacji w Kościele, braku księży, braku praw podstawowych dla wierzących. Następnego dnia dzwoniło do mnie wielu księży, mówiąc, że zgadzają się z tym, co mówiłem. Dodawali, że trzeba zacząć działać. Zadzwoniłem do znajomego księdza z pytaniem, czy nie powinniśmy się zorganizować jako kapłani, bo dotąd milczeliśmy w sprawach reformy Kościoła. I zdecydowaliśmy o stworzeniu Inicjatywy Proboszczów w 2006 r. Najpierw było nas 200, wkrótce 300 księży.

**I co robicie?**

Prezentowaliśmy biskupom naszą ocenę sytuacji i pomysłów. Połączyliśmy siły z innymi organizacjami reformatorskimi w naszym kraju, a potem na świecie. Zrozumieliśmy, że brakowało głosu szeregowych księży, proboszczów. Oraz głosu grupy.

**Może właśnie liczba członków chroniła Was przed konsekwencjami? Nikt nie zwolni 300 księży. W każdym razie nie w Austrii, gdzie ich brakuje.**

Większość z nas była lub wciąż jest proboszczami. Działamy z ludźmi, we wspólnocie, a nie na jej obrzeżach. Poza tym wielu katolików podziela nasze zdanie, a biskupi to wiedzą.

**Czasem wydaje się, że świeckim łatwiej angażować się w takie inicjatywy, bo nie da się ich odwołać czy zesłać na gorszą parafię za niesubordynację. Dlaczego więc księża powinni ryzykować i zabierać głos?**

Księża współtworzą hierarchię, mają władzę. Świeccy dysponują tylko siłą idei i swojej wiary. Musimy użyć naszej pozycji na rzecz reformy Kościoła. Tak w każdym razie uważają członkowie naszej Inicjatywy.

**Wypowiadacie się z perspektywy proboszcza, a nie księdza profesora czy duszpasterza-celebryty. Co wnosicie w ruch reformy Kościoła?**

Jako proboszcz myślisz o przyszłości swojej wspólnoty parafialnej. Możesz rozmawiać z parafianami, szukać rozwiązań. Proboszczowie są ulokowani w kluczowym miejscu Kościoła, między biskupem i jego zespołem a wierzącymi zgromadzonymi w parafii. Muszą wskazywać biskupom na „zmysł wiary" dotyczący przyszłości wspólnoty parafialnej – to bardzo ważna rola.

**Co masz dokładnie na myśli, mówiąc o niepokojeniu się przyszłością?**

W najbliższej przyszłości nie wystarczy księży do pełnienia klasycznej roli proboszczów. W krajach zachodniej Europy biskupi już zaczęli łączyć parafie. Nie popieramy takiej wizji wspólnoty parafialnej ani kapłaństwa, bo to oznacza, że jeden ksiądz musi zajmować się wciąż rosnącą liczbą parafii. Nie ma szansy na osobisty kontakt z ludźmi i prawdziwą pracę pastoralną. Jest cały czas zajęty administrowaniem całością. Ludzie mają często wrażenie, że księża nie mają już dla nich czasu. Ile rozmów zaczyna się od przepraszającego zdania: ojcze, wiem, że nie masz zbyt wiele czasu, ale czy mógłbyś mi go trochę poświęcić? Proboszcz wtedy uśmiecha się, trochę słucha, a potem przerywa rozmowę i pędzi na kolejną mszę niedzielną w innym kościele wchodzącym w skład jego parafii.

**Jakie są alternatywy w tej sytuacji?**

Apelujemy o nowy podział posług w parafii. Jednym z modeli, na których ↦

RAMIN TALAIE / CORBIS / GETTY IMAGES

**KS. HELMUT SCHÜLLER** (ur. w 1952 r. w Wiedniu) jest kapłanem od 1977 r. W 1981 r. został diecezjalnym duszpasterzem młodzieży w Wiedniu. W latach 1988-95 był dyrektorem Caritas archidiecezji wiedeńskiej, w latach 1995-99 jej wikariuszem generalnym. W latach 1996–2005 stał na czele nowo utworzonego urzędu rzecznika praw ofiar przestępstw seksualnych w archidiecezji wiedeńskiej, budując ten urząd i tworząc jego wytyczne. Angażuje się w ruch na rzecz reform w Kościele. Jest jednym z twórców Inicjatywy Proboszczów. Obecnie proboszcz parafii Probstdorf koło Wiednia, a także duszpasterz akademicki.

↦ się opieram, jest ten stworzony przez bp. Fritza Lobingera, niemieckiego misjonarza, który przez dziesięciolecia pracował w RPA. To on rozwinął koncepcję, by tworzyć zespoły ordynowane do posługi w parafii, w których skład wchodziliby świeccy żonaci mężczyźni. Od niego bierzemy pomysł, by formować świeckich do zadań dotąd pełnionych przez księży: posługi sakramentów, sprawowania ze wspólnotą Eucharystii itp. Moglibyśmy tym ludziom towarzyszyć, formować ich i edukować. Model Lobingera jest bardzo inspirujący.

**Patrząc z perspektywy europejskiej to dość radykalna zmiana w sposobie działania parafii. A inne pomysły?**

Innym modelem jest otwarcie dostępu do kapłaństwa dla osób żonatych i zamężnych, bo wspieramy też kapłaństwo kobiet. Wiele tych osób mogłoby wnieść cenne dary w posługę swoim parafiom. Te pomysły wyrastają z potrzeb naszych parafii, a plany biskupów powstają w kuriach odgórnie. Oni przy wielkim stole biskupa pochyleni nad wieloma dokumentami starają się centralnie rozwiązać problem. W interesie biskupów jest, by księża utrzymali władzę w parafiach. Niektórzy biskupi boją się oddania władzy nad parafiami świeckim. Te dwie perspektywy są w konflikcie. Nasza metoda zaczyna od odczytywania charyzmatów, jakie już są dane parafii, od sprawdzenia, czy te dary, którymi dysponujemy, nasycą nasze potrzeby. Wielu biskupów planuje w oparciu o przyszłych duszpasterzy, których jeszcze nie ma. To bardzo różne perspektywy naprawy sytuacji.

**Martwić się o przyszłość to coś więcej, niż martwić się o zachowanie dotychczasowych ról i form. Mówiłeś o budowaniu oddolnym. Od księży w Polsce często słyszymy, że świeccy nie chcą się angażować. Czy Twoi parafianie są zainteresowani losem swojej parafii?**

Ci, którzy rozumieją nauczanie Soboru Watykańskiego II, wiedzą, że Kościół budują wszyscy jego ochrzczeni członkowie i że także oni muszą brać odpowiedzialność. Świeccy są zajęci pracą zawodową, życiem rodzinnym i społecznym, co może stwarzać praktyczne problemy, które trzeba uszanować. Ale wystarczająco dużo osób we wspólnocie jest zainteresowanych uczestnictwem i braniem odpowiedzialności. Tak wskazuje nasze doświadczenie.

**Sam przygotowujesz parafię na czas, gdy przejdziesz na emeryturę. Jak wygląda ten proces?**

Poprosiłem wspólnotę parafialną o rozeznanie, kto w naszej parafii ma dary, by zajmować się tym, czym ja się zajmuję: duszpasterstwem, udzielaniem sakramentów, sprawowaniem Eucharystii. Z zaproponowanej listy nazwisk wyłoniło się sześć osób – trzej mężczyźni i trzy kobiety – które postanowiły podjąć formację. Grupę tę kształcę z teologii i przygotowuję do posługi w parafii. Omawiam z nimi sytuację parafii, asystują mi w udzielaniu sakramentów, dzielimy się odpowiedzialnością w przygotowaniu liturgii, głoszą homilie. Na końcu tej formacji chcemy ich przedstawić biskupowi jako gotowych kontynuować to, co było dotąd moją posługą. Dziś wydaje się niemożliwe, by biskup się na to zgodził. Ale chcieliśmy podjąć jakieś działania, zdobyć doświadczenie i pokazać, że jest to możliwe. Gdy biskup się nie zgodzi, będziemy musieli przedyskutować w naszej wspólnocie parafialnej, co robimy dalej. Na razie jednak tworzymy w praktyce nowy model.

**Jak czują się Twoi parafianie z tak konfrontacyjną wobec hierarchii próbą zapewnienia wspólnocie przyszłości?**

Zaczęliśmy pierwsze dyskusje w parafii już w 2013 r. Niektórzy pytali, jaka jest szansa, że to się powiedzie. Wszystko dzieje się powoli i stopniowo, parafianie mają szansę zadawać pytania, rozmawiać na każdym etapie, a przede wszystkim doświadczyć nowego modelu. Myślę, że doświadczenie jest tu kluczowe, bo zmiana kultury będzie tu bardzo istotnym elementem. Ludzie oswajają się, że przy ołtarzu nie posługuje już samotny ksiądz, ale wraz z nim są mężczyźni i kobiety, tacy jak oni. Widzą, jak to działa, czym się te osoby zajmują. To nie teoretyczny model. Moi współpracownicy zajmują się też pracą duszpasterską, docierają do chorych, cierpiących, seniorów i osób z innymi problemami. Ich rola sięga o wiele dalej niż tylko posługi w liturgii.

**Czyli dajesz parafianom posmakować docelowej zmiany. Ale czy tak wolno?**

Rozmawiamy o tym otwarcie. Niektórzy mówili mi: „Rozumiem to umysłem, ale nie moim katolickim sercem". „Jestem wychowany w katolickiej strukturze, gdzie ksiądz jest odpowiedzialny za wszystko, a to, co robi, nie podlega krytyce. I chcę mieć pewność, że to, co jest błogosławione, naprawdę jest błogosławione". Takie myślenie w kategoriach certyfikatów. Rozmawialiśmy o tym, że obecna rola księdza w Kościele jest wynikiem historycznego rozwoju i konkretnego kontekstu. Zaprosiliśmy ludzi, żeby posłuchali wykładów o rozwoju teologii i historii Kościoła, tak by wiedzieli, skąd się wzięło to, co dzisiaj mamy. Z pewnością niektórzy nie zgodzą się ostatecznie z proponowanym modelem. Będziemy z nimi rozmawiać. Jeśli tego nie przyjmą, zmienią parafię. Ale naprawdę staramy się zaprosić wszystkich, by z nami zostali.

**Stawką jest to, że nie jesteś pewien, czy znajdzie się ksiądz, który Cię zastąpi – stąd ten eksperyment?**

Jestem pewien, że nie znajdzie się ksiądz, który by mnie zastąpił. Poinformowano mnie, że jestem ostatnim księdzem w tej parafii. To nie jest wyjątkowa sytuacja. Stąd moje poczucie odpowiedzialności za przyszłość parafii. Nie robimy tego w tajemnicy. Dwa lata temu podczas biskupiej wizytacji opowiadaliśmy o tym wszystkim biskupowi pomocniczemu. Wysłuchał nas uważnie, powiedział, że nie sądzi, by było to możliwe. Biskupi być może czekają, z jaką inicjatywą wyjdzie Rzym w najbliższym czasie. Oczekiwaliśmy zmian już po synodzie poświęconym Amazonii.

**Precyzując, w modelu, który przygotowujesz, wspólnota pod przewodnictwem wybranych świeckich osób sprawuje Eucharystię?**

Tak. Teraz to jeszcze wciąż niemożliwe, ale kto wie, co nadchodzi? To problem kulturowy, a nie teologiczny. Tak uważam. Kanon 517 kodeksu prawa kanonicznego pozwala na danie mandatu świeckim, by odpowiadali za duszpasterstwo, gdy brakuje księży. Staramy się rozszerzyć jego znaczenie, by duszpasterstwo było też rozumiane jako przewodniczenie Eucharystii, sprawowanie sakramentów. Bo na razie kanon zakłada, że do sprawowania sakramentów musi przyjechać ksiądz z innej wioski. A przecież są mężczyźni i kobiety, którzy na co dzień posługują w danej wspólnocie parafialnej.

**Od czasu, gdy zaczęliście działać, poznaliście wiele podobnych grup działających na rzecz reformy na całym świecie.**

Na poziomie globalnym mam wrażenie, że Europa, Australia i Stany Zjednoczone mają te same dylematy. Oczywiście zachodnia i północna Europa ma inne dylematy niż wschodnia i centralna. Ameryka Północna inne niż Południowa (choć oni mają ciekawe doświadczenia podstawowych wspólnot kościelnych). Mam też kontakt z księżmi z innych kontynentów, którzy myślą podobnie do nas, sprawdzają podobne eksperymentalne modele w parafiach, ale ich biskupi wywierają większą presję, więc ci księża nie mówią o tym otwarcie. Jednak wszędzie świeccy i księża czują, że Kościół potrzebuje zmiany.

**Usłyszałam kiedyś od starszego księdza z Australii: „Nie spodziewałem się, że pod koniec życia będę niewolnikiem Kościoła". Codziennie śpi w innym łóżku, przemierza w tygodniu setki kilometrów, by objechać kościoły parafialne, za które jest odpowiedzialny. Był tym udręczony. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym z tej perspektywy.**

Biskupi mylą się myśląc, że księża są niechętni powstawaniu parafii XXL, bo boją się ciężkiej pracy. Oni boją się spadku jakości posługi duszpasterskiej. Istnieje ważna relacja między sprawowaniem Eucharystii i sakramentów a znajomością życia ludzi. Papież Franciszek ma mocną wizję Kościoła bliskiego ludziom. Dla nas to oznacza intensywną pracę duszpasterską. Potrzebujemy struktur, które pozwalają być blisko ludzi, a nie administrowania z centrali. Kościół to nie korporacja dostarczająca usług duszpasterskich.

**Ciekawie się tego słucha z perspektywy kraju, gdzie – choć nie brakuje księży – wiele parafii ma rozmiar XXL i nie znamy się przy eucharystycznym stole.**

Wiem.

**Gdy w 2012 r. ogłosiliście wezwanie do nieposłuszeństwa, mieliście na myśli wsparcie dla kapłaństwa kobiet, kapłaństwa niezwiązanego z celibatem oraz komunii dla małżeństw niesakramentalnych i niekatolików. To są tematy istotne w codzienności austriackiej parafii.**

**Teraz zapowiedzieliście kontynuowanie błogosławienia par tej samej płci.**

Widzimy, że są pary, które mają pragnienie błogosławieństwa. To nie my ich błogosławimy, tylko wraz z nimi modlimy się o błogosławieństwo Boga, skoro podejmują się tak ważnego zadania, by wzajemnie sobie towarzyszyć, być razem i troszczyć się o siebie. Przecież tego właśnie powinniśmy dla ludzi chcieć! Wielu księży nie ma problemu z tym, by dać im wsparcie Kościoła i towarzyszyć w tej drodze. Ludzie w naszych parafiach coraz bardziej się z tym zgadzają, bo coraz częściej ten temat jest obecny w ich rodzinach.

**W Europie dokonało się też wiele zmian w prawie cywilnym, co zmienia kontekst. Ktoś w Polsce skomentował Wasze oświadczenie: ale to nie ma żadnych prawnych konsekwencji w Kościele, nie jest sakramentem, więc po co to robić?**

Widzę, że wiele osób ma potrzebę, by wspólnota towarzyszyła im duchowo w wybranej przez nich drodze życia w naśladowaniu Jezusa. Jest w tym też oczekiwanie wsparcia przez wspólnotę. Niektórzy proszą o prywatne błogosławieństwo, inni zapraszają rodzinę. Czasem to ma wielkie znaczenie dla rodziny, która zmaga się ze świadomością innej orientacji seksualnej jednego ze swoich członków. Czasem owo rodzinne zgromadzenie na błogosławieństwie jest bardzo ważnym etapem akceptacji. Powinniśmy jednak rozmawiać w Kościele o możliwości sakramentalnego małżeństwa dla par jednopłciowych.

**Skąd czerpiesz siłę do tej partyzanckiej pracy?**

Daje mi ją obraz Kościoła, jaki noszę w sercu, zakorzeniony w Soborze Watykańskim II. Zaszczepiło go we mnie wielu księży i świeckich.

**Co doradzałbyś polskim księżom, siostrom i świeckim, którzy myślą o zaangażowaniu się na rzecz reformy Kościoła?**

Bardzo ważne jest, by głośno i jasno mówić o reformach i zacząć je praktykować. Nie samemu – ważna jest grupa, z którą będziesz działać, ale też z którą rozeznasz pomysły.

©℗ Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

POŻEGNANIE

Z najgłębszym żalem żegnamy
zmarłego 29 marca 2021 roku w Krakowie

Ś.† P.

## Kaspra Pawlikowskiego

urodzonego 5 czerwca 1927 roku w Medyce,
wieloletniego pracownika
kanadyjskiego Ministerstwa Obywatelstwa i Imigracji,
pisarza, publicystę i rzeźbiarza,
zamykającego po mieczu
zasłużony dla kultury i polskiego życia publicznego
długi łańcuch pokoleń rodziny Pawlikowskich z Medyki.

Żonie Annie, córce Malucie, siostrze Dorocie i wszystkim najbliższym
wyrażamy nasze najserdeczniejsze współczucie
w imieniu rodzinnego Stowarzyszenia,
w którym Kasper był członkiem Zarządu i Seniorem.

*Niech odpoczywa w pokoju*

STOWARZYSZENIE DOM POD JEDLAMI

*Ostatni Obóz Burego Misia przed wybuchem pandemii – Paweł (nie)spodziewanie witający dzień o 4.00 rano, 8 lipca 2019 r.*

# Osada

TEKST JAN RYBICKI
ZDJĘCIA MARTYNA CHMURA

**Gdy rodzice zaczęli odchodzić, zakonnik nie mógł się pogodzić z tym, że jego niepełnosprawni przyjaciele mieliby trafić do DPS-ów. Znalazł dla nich miejsce.**

Piotrusia nie chciano przygotować do pierwszej komunii w jego parafii dlatego, że miał porażenie mózgowe. Najprawdopodobniej nikt nie powiedział tego w ten sposób. Być może zasępiony proboszcz pokręcił głową, mówiąc mamie, że wszyscy są bardzo zajęci i nikomu nie uda się poświęcić dziecku tyle czasu, ile potrzebuje. Być może bał się w głębi duszy niepełnosprawnego chłopca. Być może mama za słabo nalegała. Fakt pozostaje jednak faktem: Piotrusia nie chciano przygotować do pierwszej komunii dlatego, że miał porażenie mózgowe.

Chłopiec pewnego wiosennego dnia w 1983 r. podczas spaceru z mamą poznał kleryka Czesława Marchewicza, późniejszego kawalera Orderu Uśmiechu, nazywanego przez wszystkich „Kuba", który obiecał udzielić mu katechez. W trakcie spotkań okazało się, że jest więcej takich osób jak Piotruś. I że bywają niechciani nie tylko w Kościele, ale i niechciani w ogóle, na ulicy, w rodzinie, i że niektórzy z nich są po prostu samotni. Że nierzadko żyją ze skromnej renty pod opieką matki, która od lat nie miała dnia dla siebie.

Kuba najpierw jeździł do nich sam. Później poprosił o pomoc współbraci – kleryków ze zgromadzenia zmartwychwstańców. Dla swoich podopiecznych, których zaczął nazywać przyjaciółmi, zorganizował wakacyjny wyjazd na Kaszuby. Pomogli mu znajomi harcerze i skrzyknięte studentki z Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Z obozowych pseudonimów wziął się podział na „Bure Niedźwiedzie" (opiekunów) i „Bure Misie" (podopiecznych). Po obozie spotykali się już regularnie, nazwawszy się Wspólnotą Burego Misia. Wraz z kolejnymi przenosinami Kuby, do Bytomia i Poznania, tam również powstawały wspólnoty. Wszyscy spotykali się co roku na Kaszubach.

Z czasem rodzice, jedyni opiekunowie niepełnosprawnych, coraz bardziej się starzeli, niektórzy chorowali, niedołężnieli. Kuba nie mógł się pogodzić z tym, że jego podopieczni mieliby trafić do DPS-ów. Kupił gospodarstwo pod Kościerzyną. Kiedy umarli rodzice Romana, a potem Jacka, wprowadzili się tam w piątkę. Zmartwychwstaniec, dwóch panów w średnim wieku z zespołem Downa i dwie dziewczyny, które właśnie skończyły liceum. Mieli nie do końca zwerbalizowany, utopijny pomysł, że ta grupka różnych ludzi będzie w stanie stworzyć społeczność, w której będzie miejsce dla każdego.

### Jedna taka przyjaźń na życie

Magda nie planowała spędzić z osobami niepełnosprawnymi tylu lat swojego życia. Dołączyła do wspólnoty, kiedy miała

szesnaście. Pojechała na jeden z obozów i uznała, że nie pojedzie już na żaden więcej. Spędzało się tam z osobami niepełnosprawnymi całe dnie – nudziło ją to, bała się ich i czuła, że nie ma im nic do zaoferowania. Być może została głównie ze względu na towarzystwo rówieśników? Kiedy skończyła liceum, nie miała jasnych planów, Kuba – jej wielka fascynacja z tamtych czasów – szukał kogoś, kto będzie mógł zamieszkać w Osadzie. Zgodziła się.

Pierwszego z podopiecznych wspólnoty, Romana z zespołem Downa, nie mogę spytać o to, czy pamięta, co czuł, kiedy po raz pierwszy kładł się spać w swoim nowym pokoju. Już nie żyje. Znam go jedynie z opowieści, ponieważ odcisnął na Osadzie swoje piętno. Wspólnota rozdaje nawet corocznie statuetki „Romany", by uhonorować zasłużone osoby.

Kiedy pojawia się jego imię, Magda się ożywia. Robił piorunujące wrażenie, był szalenie charyzmatyczny – opowiada – umiał brać z życia garściami, ale znał miarę. Pił alkohol, ale nie upijał się, romansował bez posuwania się za daleko. Nikomu nie dawał zrobić z siebie maskotki. Uwielbiała go. Mówi, że nauczył ją, jak myśleć niezależnie.

### Lekcje teologii

Kuba w młodości nie uchodził za uduchowionego. Nie zawsze było mu po drodze z Kościołem. Najpierw gasił pożary. Był strażakiem w Kościerzynie. A potem postanowił zostać księdzem. Nie umie tego wytłumaczyć. Przez pierwsze lata nowicjatu towarzyszył mu głęboki niepokój – czy intuicja, która go zaprowadziła do zmartwychwstańców w dwudziestym drugim roku życia, nie była objawem szaleństwa?

Jego nowi bracia byli kilka lat młodsi. Z wyjazdów oazowych znali piękne modlitwy, śpiewali psalmy czystymi głosami. Kuba tymczasem nie mógł się nawet odzwyczaić od przeklinania, zwyczaju ze straży. „Ty nie będziesz księdzem, ty nie powinieneś być księdzem", powiedział mu ktoś.

Więcej niż na wykładach z teologii dowiedział się z katechez, które prowadził wtedy dla niepełnosprawnych. Kiedy padało jakieś pytanie, nie mógł udzielić żadnej spekulatywnej odpowiedzi.

– Okazywało się, że muszę spytać samego siebie, czy te rzeczy, o których chcę im opowiedzieć, są we mnie, czy ich nie ma – wspomina.

Z biegiem lat stawali się dla niego coraz ważniejsi. Czuł, że obiecał swoją przyjaźń, którą niepełnosprawni – Jacek, Roman i inni – przyjęli, w którą uwierzyli. Czy kiedy naprawdę będą potrzebować jego pomocy, odeśle ich z kwitkiem? „Wy dajcie im jeść" – powtarza z naciskiem.

Uzyskał błogosławieństwo od generała zgromadzenia, milczącą zgodę od prowincjała, a od swojego ówczesnego proboszcza pieniądze na zakup gospodarstwa. To, że zaczął obracać znacznie większymi sumami niż większość współbraci, że żyje daleko od przełożonych, budziło kontrowersje. „Pamiętam o ślubach posłuszeństwa i jeśli dostanę nakaz przeniesienia, to pojadę. Ale to, że Misiaki zostaną pozostawione samym sobie, będzie obciążać sumienie ojca" – mówił podczas scysji z prowincjałem.

Czasem tylko śni mu się, że otrzymuje polecenie przenosin i musi zostawić Osadę.

### Praca

Mieszkańców przybywało. Pierwszy dom przestał wystarczać. Najpierw przerobili na mieszkania budynki gospodarcze, a później, przy dofinansowaniu części budowy przez Urząd Marszałkowski, postawili Duży Dom, który pomieścił 15 osób. Jedna z opiekunek musiała się z dnia na dzień nauczyć pracy biurowej, by ogarnąć sprawozdania i faktury. Im więcej ich było, tym bardziej niezbędna stawała się organizacja codzienności.

*Łukasz przed posiłkiem, 11 sierpnia 2020 r.*

Najpierw zajmowali się ogrodem, później pojawiły się zwierzęta – początkowo jedna, stara krowa, która i tak dawała im więcej mleka, niż potrzebowali. Zaczęli robić ser, który okazał się niezły. Zdobyli środki i zbudowali niewielką serowarnię. Wygrywają nawet ogólnopolskie konkursy.

– Ogólnie to lubię, ale czasem mi się nie chce – mówi Weronika, jedna z niepełnosprawnych mieszkanek osady. – Ale jakby nikt nie robił serów, to co? Mielibyśmy za dużo mleka.

Poza tym, kiedy Weronika skupia się na pracy, nie myśli o swoich problemach. No i może zarobić pieniądze – pracujący otrzymują bardziej lub mniej symboliczną dniówkę. Dzięki niej Weronika może sobie kupić na przykład ubrania Pumy. Bardzo lubi ubrania Pumy.

Duże gospodarstwo, szczególnie w sezonie, dostarcza niewyczerpaną ilość pracy. Kiedy trzeba zebrać pomidory, „Misie" chodzą zbierać pomidory, kiedy należy kiełkującą rzodkiewkę przesadzić do większych donic, ktoś nasypie do nich ziemi. Najbardziej egalitarne zajęcia, będące w zasięgu niemal wszystkich, polegają na cięciu warzyw na przetwory czy odrywaniu listków ziół od gałązek, by potem je ususzyć. Niektórzy wykonują zadanie sumiennie, listek po listku, z uwagą pasującą raczej do zawodu jubilera. Inni co chwila zamyślają się głęboko. Czasem praca przebiega w atmosferze głośnego dowcipkowania, które w dowolnej chwili może obrócić się w łzawą awanturę, wymagającą długich mediacji.

„Niedźwiedzie" muszą ich dobrze znać, żeby wiedzieć, które z zadań będzie dla kogo wykonalne i przyjemne. Marcin konsekwentnie odmawia jakiejkolwiek pracy, a swoje potrzeby zaspokaja, wydając pieniądze nadesłane przez rodzinę. Dla grupki mężczyzn o mocnych ramionach i tylko umiarkowanej nieporadności prace ogrodowe muszą wydawać się niepoważne. Oni pracują fizycznie, z narzędziami, w gospodarstwie (razem z nimi ks. Czesław i Grześ, jedyni mieszkający tu na stałe „Niedźwiedzie"-mężczyźni). Pomagają naprawiać budynki, obsługują wielką mechaniczną dojarkę dla krów, wożą ziemię taczkami, koszą trawę.

Ich praca jest ciężka, często żmudna. Na robotę czasem przeklinają, próbują się od niej migać i odgrażają się, że wyjadą. Mogą to zrobić. Ale bez ich pracy Osada nie mogłaby istnieć. ↦

Ks. Czesław Marchewicz więcej niż na wykładach z teologii **dowiedział się z katechez, które prowadził dla niepełnosprawnych.** Nie mógł tam udzielić spekulatywnych odpowiedzi.

*Kuba podczas cotygodniowej mszy udziela komunii Marcinowi z zespołem Downa, 19 września 2020 r.*

### To nie był mój pomysł

Grzegorz od wielu lat jest w Osadzie kwestorem. – Dzwonię do firm i ludzi prosić ich zarówno o papier toaletowy, jak i o warty tysiące złotych sprzęt rolniczy. Okazuje się, że kluczowa nie jest wartość danego przedmiotu, tylko to, jak bardzo jest nam potrzebny – opowiada o swojej pracy.

Zaskakuje go, jak łatwo ludziom przychodzi pomoc, jak gdyby to już było wcześniej dogadane. Wierzy, że Jezus opiekuje się Osadą. Widzi tego dowody każdego dnia – nic egzaltowanego: poszlaki w codzienności, małe promyki.

– Na tym właśnie polega ubóstwo – tłumaczy Kuba. Nie mamy niczego więcej, niż potrzebujemy, nie gromadzimy dóbr. Każdego dnia ufamy Bogu, że da nam to, czego potrzebujemy, by żyć.

Niedawno w Osadzie pojawiły się panele fotowoltaiczne zaspokajające część potrzeb energetycznych, teraz mieszkańcy planują zacząć mleć zboże na mąkę, by wypiekać dla siebie chleb. Wcześniej Osada bywała daleka od stabilności. Przez pierwsze lata utrzymywała się z gospodarstwa (dawnego PGR-u odkupionego przez Fundację). Przez ponad 5 lat spełniało ono swoje zadanie, gwarantując pieniądze na rachunki, żywność czy pensje dla zatrudnionych na umowie opiekunów. A później załamało się pod własnym ciężarem, generując długi.

Znajomy prawnik mówił Kubie, że powinien zacząć szukać nowego domu dla podopiecznych. „Boże, przecież to nie był mój, tylko Twój pomysł, żeby tak żyć!" – modlił się Kuba. Spłacali zobowiązania przez wiele lat. Było tak źle, że stypendium – 500 dolarów miesięcznie – przyznane Kubie przez stowarzyszenie Ashoka, wyszukujące na całym świecie i wspierające co roku stu innowatorów społecznych, było dla całej Osady kwestią być albo nie być.

### Rodzinne kokoszenie

Codzienne życie nigdy nie kręciło się jednak wokół kwestii finansowych. Mała społeczność składała się z ludzi o różnych charakterach, którzy dopiero musieli uczyć się wspólnego życia. Na początku nad codziennym funkcjonowaniem miał pieczę Kuba, później wprowadzono funkcję „lidera", którą co miesiąc sprawował kto inny. W końcu odpowiedzialność przypadła Magdzie i na niej rotacja na kilkanaście lat się zatrzymała.

– Musieliśmy sobie wszystko wypracować od zera – opowiada. – Grafiki pracy, rozpisywanie dyżurów sprzątania, wprowadzenie systemu zmianowego dla opiekunów, którzy początkowo byli do dyspozycji non stop – wylicza.

Przede wszystkim jednak Magda czuła się odpowiedzialna za tworzenie wygodnej i szczęśliwej codzienności. Każdy konflikt czy osobisty dramat był dużym zawirowaniem dla całego organizmu. Jak ujęła to inna, mieszkająca w Osadzie od kilkunastu lat „Niedźwiedzica", człowiek pracuje tu całym sobą – jeśli samemu nie jest silny, szczęśliwy i nie czuje się dobrze ze sobą, „Misie" nie będą miały z niego pożytku.

Magda próbowała zatem być osobą, do której pozostali będą mieli zaufanie. Mediowała spory. To do niej należało, żeby wyczuć, czy opiekun nie jest terroryzowany albo odwrotnie – czy żaden z nich nie nadużywa wobec podopiecznych swojej przewagi. I powiedzieć komuś takiemu, że musi odejść.

### Nowe zasady, nowy świat

Kuba (jeden z niepełnosprawnych) miał przez długi czas zwyczaj rozbierania się dla draki do naga. Ktoś inny nie miał problemu, by kraść, w pokoju jeszcze innej osoby wstawiono szyby przeciwwłamaniowe, ponieważ zwykłe szkło nie wytrzymywało destrukcyjnych ataków wściekłości.

Ostatecznie większość podopiecznych adaptuje się do nowej rzeczywistości. Skoro mają wspólny dom, to muszą go razem sprzątać. Bez pracy nie dostaną kieszonkowego, nie mogą całego dnia oglądać telewizji i jeśli palą, to nie mogą za dużo. „Wydaje mi z paczki, jakbym był małym dzieckiem" – obraża się na to Mariusz. Do jakiegoś stopnia są również zobligowani do odpowiedzialności za siebie nawzajem – ci sprawniejsi pomagają w opiece nad mniej sprawnymi.

Niektórzy mają wiele powodów, żeby czuć się wreszcie wolnymi – z własnymi oszczędnościami, z którymi robią, co im się podoba; własnymi pokojami, które mogą urządzić po swojemu. I tak Artur ma komputer z kierownicą do gier z wyścigami samochodowymi i rzutnik, z któ-

rego rzuca na ścianę nagrania z tramwajami; ścianę pokoju Marcina pokrywają ciągi kolorowych cyfr i dat, które sam wypisał i których znaczenia nie zna albo nie chce zdradzić; pokój Olka wypełniony jest anielicami, o których nieustannie opowiada; a Asia ma u siebie radio i czajnik.

– Asiu, co lubisz?

– Lubię nosić pierścionki, słuchać radia lubię i korzystać z czajnika, gotować wodę na herbatę lubię i Kasię, Agnieszkę, Krysię lubię, wszystkich kocham, wszystkich... dobrze jest ze mną – odpowiada serią Asia, która ma ewidentnie dobry dzień.

### Sąsiedzi

Kiedy ksiądz wraca w rodzinne strony, kupuje stare gospodarstwo i zaczyna tam mieszkać z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie oraz kilkoma młodymi dziewczynami, atmosfera plotki w okolicznych wioskach jest chyba nieunikniona. „Synku, coś ty zrobił, dzwonią do mnie koleżanki z Kościerzyny i mówią, że cię wyrzucili ze zgromadzenia i żyjesz z jakąś kobietą" – z wyrzutem relacjonowała Kubie rewelacje jego mama.

W jednym z budynków przygotowano oratorium, gdzie odbywały się msze, co pozwalało sądzić, że Kuba jednak pozostaje księdzem. Pewnego razu pracujący przy budowie jednego z domów mężczyzna spytał, czy może w niedzielę przyjść z rodziną na mszę; przy kolejnej okazji, czy może też przyjechać sąsiadka. Później przestał pytać. Grono osób, które co niedzielę spotykały się w Osadzie, powiększało się – według Kuby teraz, bardziej lub mniej regularnie, na msze przyjeżdża około 500 osób.

Nie przychodzą się tylko modlić – wiele okolicznych rodzin koleguje się z mieszkańcami. Z czasem przynajmniej niektórzy z nich zaczęli uważać, że to, co się dzieje w Osadzie, to również ich sprawa. „Widziałem, że odpadły kafelki przy serowarni, jutro rano przyjadę przykleić". „Drzwi się haczą, wpadnę z narzędziami" – co jakiś czas słyszy Kuba po mszy.

Powoli tradycją staje się też wspólne budowanie kolejnych osadowych domów – obecnie stoi ich siedem, z czego trzy zbudowano przy pomocy sąsiadów. Kuba opowiada, że nigdy nie budowali z zapasem pieniędzy, czasem stawiali urząd przed faktem dokonanym. Jeden z nich budowali w pośpiechu – mieli na to trzy miesiące.

– Stało się tak, że po jednym z wakacyjnych obozów sześcioro podopiecznych nie miało gdzie wrócić, ponieważ stracili rodziców. To nie były żadne wyścigi, żeby pokazać, że potrafimy tak szybko zbudować dom – po prostu nasi sąsiedzi zrozumieli, że skoro Misiaki nie mają gdzie się udać, to powinny tu na nich czekać ich pokoje – opowiada Kuba.

### Osadnicy

Obecnie jest ich w Osadzie czterdzieścioro pięcioro. Każdy z nich ma swoją historię i swoją specyfikę, każdy też brzmi inaczej. W jednym z domów dominuje Mariusz, który zazwyczaj komunikuje swoje potrzeby monotonnym krzykiem. W Dużym Domu specyficznych dźwięków jest najwięcej – Franek od czasu do czasu śpiewa zmyślone psalmy, Kuba (który już się nie rozbiera) w nieskończoność powtarza pytanie, kiedy zostanie skremowany, Krysia wymachuje opierścienionymi rękami i grozi, że da popalić. Asia o niewyczerpanych zapasach energii chodzi po całym domu szurając kapciami. – Dobrego dnia, dobrego dnia ci życzę! Spokojna jestem, spokojna, nie myślę o głupotach – wykrzykuje głośno.

Jakie głupoty ma na myśli? Czy chodzi o to, że przed chwilą zdewastowała swoją fryzurę nożyczkami? Czy jakąś bolesną przeszłość, od której próbuje się uwolnić?

Nie nadążam za żadnym z nich, trudno mi sobie wyobrazić, jak widzą świat, nie wiem, jak zapytać, żeby otrzymać odpowiedź, którą zrozumiem. To kwestia czasu, czasu i czułości, których potrzeba, by nauczyć się zaskakujących kodów komunikacyjnych każdego z nich.

„Misie" i „Niedźwiedzie" żyją ze sobą rok, pięć, dwadzieścia. Ostatecznie jednak nie stworzyli utopii. Prawdopodobnie nie ma w Osadzie dnia, żeby ktoś nie płakał, żeby nie poczuł się zraniony, samotny, żeby nie odbyła się afera o wyrzucanie śmieci albo o naruszoną prywatność. Niedawno Magda po dwudziestu ośmiu latach razem z inną Niedźwiedzicą opuściły Osadę. Nieopodal kupiły domek, żeby móc odwiedzać ludzi, którzy stali im się na przestrzeni lat bliscy.

© JAN RYBICKI

TP JUŻ W ŚRODĘ 21 KWIETNIA W „TYGODNIKU"

znajdą Państwo stworzony we współpracy z Miastem Wrocław dodatek poświęcony

Tadeuszowi Różewiczowi

a w nim: rozmowę z Julią Różewicz, wnuczką pisarza, opowieść o jego życiu, tekstach i teatrze, plany obchodów Roku Różewicza we Wrocławiu. Zapraszamy do lektury!

PARTNERZY:

Wrocław miasto spotkań

Strefa Kultury Wrocław

www.wroclaw.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# Watykańska taryfa kar

ARTUR SPORNIAK

**Dotychczas trzech poniosło konsekwencje. Zapewne nie są to ostatni biskupi.**

Dość niespodziewanie nuncjatura ogłosiła 29 marca komunikaty o karach dla dwóch polskich hierarchów: abp. Leszka Sławoja Głódzia i bp. Edwarda Janiaka. Emerytowany arcybiskup gdański oraz hierarcha zdjęty w zeszłym roku z urzędu biskupa kaliskiego otrzymali te same kary: nakaz zamieszkania poza swoją diecezją; zakaz uczestniczenia w jakichkolwiek publicznych celebracjach religijnych lub spotkaniach świeckich na terenie swojej diecezji oraz nakaz wpłaty z osobistych funduszy odpowiedniej sumy na rzecz Fundacji św. Józefa. Obaj oskarżeni byli m.in. o tuszowanie przypadków pedofilii wśród księży.

Rzuca się w oczy symboliczny wymiar kary, niewspółmiernej do zarzucanych hierarchom zaniedbań, oraz lakoniczność komunikatów. Nie wiemy, jakie konkretnie przestępstwa zostały hierarchom udowodnione. Trzeba się tego domyślać z wysuwanych wobec nich publicznych oskarżeń.

Ale skoro skazani jesteśmy na spekulację, warto zwrócić uwagę na identyczne brzmienie komunikatów – w ich treści zmienia się tylko nazwisko ukaranego oraz nazwa diecezji. Nasuwa się przypuszczenie, że Watykan w osądzaniu takich spraw stosuje taryfikator kar i obaj polscy biskupi trafili do tego samego przedziału, choć przecież zarzuty im stawiane nie całkiem się pokrywały. Przyjrzyjmy się temu bliżej, biorąc pod uwagę jeszcze jeden przypadek ukarania polskiego biskupa.

### Pierwszy ukarany

Chronologicznie pierwszym biskupem osądzonym według nowych norm ogłoszonych przez Franciszka w maju 2019 r. w *motu proprio* „Vos estis lux mundi" był kard. Henryk Gulbinowicz. 6 listopada ubiegłego roku, na 10 dni przed jego śmiercią w wieku 97 lat, Stolica Apostolska ogłosiła nałożenie na byłego metropolitę wrocławskiego czterech administracyjnych kar. Dwie z nich po części pokrywają się z sankcjami nałożonymi na abp. Głódzia i bp. Janiaka: wpłacenie odpowiedniej sumy pieniędzy na działalność Fundacji św. Józefa oraz zakaz uczestniczenia w jakiejkolwiek celebracji czy spotkaniu publicznym. Ponadto otrzymał zakaz używania insygniów biskupich oraz pozbawiono go prawa do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze i pochówku w katedrze.

Choć wciąż kary te mają jedynie symboliczno-duchowy wymiar, są jednak dotkliwsze niż ograniczenia nałożone na biskupów gdańskiego i kaliskiego. Ta różnica wynika z poważniejszej kategorii oskarżeń wysuwanych względem kard. Gulbinowicza. Oprócz zarzutu tuszowania przypadków pedofilii wśród księży, został on publicznie oskarżony o molestowanie seksualne osoby małoletniej.

### Górna i dolna granica

Maksymalną karą nakładaną przez papieża na hierarchów za dokonywane przez nich przestępstwa jest wydalenie do stanu świeckiego. Jak wynika z watykańskiej praktyki, spotyka to przede wszystkim notorycznych przestępców seksualnych. Przykładem – były już kardynał Theodore McCarrick. Można powiedzieć, że jest to górna taryfa egzekwowania w Kościele sprawiedliwości.

W Polsce taka kara grozi oskarżonemu o wykorzystywanie seksualne 15-latki krakowskiemu biskupowi pomocniczemu Janowi Szkodoniowi. Od września 2019 r. Kongregacja Nauki Wiary prowadzi wobec niego dochodzenie. Jeśli jednak podczas niego nie wyjdą na jaw inne krzywdy wobec małoletnich, być może Kongregacja Nauki Wiary potraktuje ten przypadek łagodniej. W każdym razie, jeśli Watykan uzna bp. Szkodonia za winnego, można się spodziewać nałożenia na niego co najmniej podobnych kar, jakie otrzymał kard. Gulbinowicz. Czyli zakazu sprawowania jakichkolwiek funkcji, zakazu uczestniczenia w jakichkolwiek celebracjach, zakazu używania insygniów biskupich oraz nakazu wpłacenia „odpowiedniej sumy pieniędzy" na działalność Fundacji św. Józefa.

Dolną granicą watykańskiego taryfikatora, jak można się domyślać, są stosunkowo łagodne kary wymierzane za przestępstwo „zaniedbań biskupów" w sprawach nadużyć seksualnych popełnionych wobec osób małoletnich przez podległych im duchownych. Tacy hierarchowie – pokazuje to zwłaszcza przypadek bp. Janiaka – stracą urząd, otrzymają zakaz przebywania w danej diecezji i uczestniczenia tam w celebracjach oraz bliżej nieokreśloną karę pieniężną.

Podobnych wyroków spodziewać się można przynajmniej w części prowadzonych obecnie przez Watykan dochodzeń względem kilkunastu biskupów, którym postawiono zarzut zlekceważenia przypadków pedofilii podległych im księży. Oczywiście, ostatecznie zależeć to będzie od tego, co uda im się udowodnić. Ale o tym się zapewne nie dowiemy. ©℗

POŻEGNANIE

29 marca 2021 r. w Krakowie zmarła

Ś.†P.

prof. dr hab. Anna Pilch

Kierowała Katedrą Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pogrzeb odbędzie się 7 kwietnia o godzinie 13.00 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Jej córce Magdalenie Bielskiej i mamie Jadwidze Rejduch wyrazy współczucia składają

Patryk i Ania z dziećmi

ZUZANNA

# Radzik: *Świecki ogon*

„To wszystko pokazuje, że to jest pic na wodę, fotomontaż – wzdycha na wieść o niby-karach nałożonych na byłego arcybiskupa Gdańska. – Bo jeśli diabli mieliby kogoś porwać, to właśnie Głódzia. A tu nic!". Szkoda, że Watykan raczej nie zmartwi się ostateczną utratą wiary w diabły przez jednego polskiego ateistę. Diabły, anioły, dziwni święci i ich relikwie – cała menażeria tego, co w przekonaniu niewierzącego zajmuje wierzących, to nic w porównaniu z tym, czym Kościół ostatnimi czasy jawi się w rzeczywistości. Gdybym chciała wyliczyć jednym tchem, to mi go nie starczy. Jak już zdystansuję się lekko od dominikanów, choć samo to przenicowuje sposób widzenia rzeczywistości, to torpedą z boku trafia Watykan i nakłada na biskupów śmieszne kary w poważnych sprawach. Można by to sobie jeszcze tłumaczyć nieudolną wewnątrzkościelną polityką, ale czy oni w centrali robią z nas sobie żarty? I nawet gdy z rozpaczy korespondujemy z nimi poprzez ogłoszenia wykupywane we włoskich gazetach, to wciąż grają nam na nosie?

Jakby było mało, to obok torpedy wyskakuje biskup przewodniczący innym polskim biskupom i podczas ingresu nowego ordynariusza udręczonej diecezji cytuje obszernie klasyczne teksty kościelne, bez żenady mówiąc (dziś! w Gdańsku!): „Nie wypada, abyś Ty, biskup, który jesteś głową, na czyjąś zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego. Skoro ty masz słuchać tylko Boga. Winieneś rządzić podwładnymi, a nie podlegać ich władzy. Wszak zgodnie z porządkiem urodzenia syn nie rządzi ojcem ani uczeń nauczycielem, żołnierz królem ani świecki biskupem. Nie znaczy to, że biskup może lekceważyć ludzi świeckich. Wprost przeciwnie. Konstytucje mówią – niech biskup kocha świeckich, jak swoje dzieci; niech ich pielęgnuje i ogrzewa w gorącej miłości, jak kwoka jaja, aby się wykluły z nich pisklęta". Czytał z kartki, więc mu się spontanicznie nie wyrwało. Ciary idą po plecach na myśl o biskupiej miłości, w której przypadła nam rola jaj. Biskupie przewodniczący, jesteśmy zdeptani, popękani i porozbijani... „Ostrożniej!" – mam ochotę zawołać.

Łapiesz oddech, chcesz wyłączyć wszystko, udawać, że tego nie ma. I wtedy się okazuje, że katolicki uniwersytet uważa kwestię porywania przez Żydów dzieci na macę za wciąż nierozstrzygniętą. *Real shit.* W tym czasie gdzieś tam katolickie bojówki, hodowane pod hasłem modlitwy różańcowej i duszpasterstwa mężczyzn, szykują się, by uwolnić Wielkanoc.

Wtedy pęka tama wyobraźni. Z kanapy snujemy już nie wizje diabłów porywających biskupów, ale apokaliptycznej bitwy jak z obrazu, na którym w kłębowisku postaci dzieje się wszystko. Bo czyż i rzeczywistość nie wygląda, jakby się wszyscy poprzebierali z fantazją i udawali coś, czego nie powinno być? W tej fantazji gdzieś w głębi jest reduta biskupia, a w niej purpuraci, pozornie buńczuczni, ale w istocie zlęknieni wszystkiego. Cieszy ich szczęk bitwy, rzucają pokrzykiwania i zachęty. W ciszy i pokoju niewiele mieliby do powiedzenia, więc chronią się w zgiełku.

Na froncie ochotnicy. Mają skłonność do sztandarów, rycerskich przebieranek, bitewnego nazewnictwa i zapał do walki z neobolszewią. Wciąż kogo innego obsadzają w tej roli, co nie znaczy, że wśród ich wydumanych przeciwników nie ma bardzo realnych ofiar. Są tu zatem chorągwie, które trzeba dumnie nosić, płaszcze, moro, różańce w zaciśniętych pięściach. Doświadczenie wskazuje, że na tych ubraniach i sztandarach mogą być symbole propagujące treści faszystowskie. Ups, no bywa, duszpasterz nie słuchał na lekcjach historii, a teraz nie odbiera telefonów.

Nieco w głębi korowody, wpatrzone w charyzmatycznych duszpasterzy, idą za nimi w ogień. Tuż obok ambona dla księdza profesora, którego w tej scenie można obsadzić w podwójnej roli: zabobonnie nie wierzy w COVID-19 i maseczki lub leje antysemicki jad.

Na moment ratuje mnie wizja, w której zbuntowany świecki ogon jak macka morskiego potwora wyłania się spod tego kłębowiska i zmienia reguły gry.

Z kim ta bitwa? Kto ją wygra? Moja wyobraźnia zaczyna tracić rezon, trudno całkowicie puścić wodze fantazji. Zbyt jest realistyczna ta scena i przestaje być śmiesznie. Poza tym, skoro bitwa, to są też stosy trupów i rannych. Kogo obsadzisz w tych rolach? Kto zbolały uchodzi, kto właśnie pada? To wszystko zbyt prawdziwe.

Tu zresztą zdania na naszej kanapie są podzielone. Niewierzące 50 procent uważa, że Kościół zawsze taki był, tylko w końcu jaskrawo to widać. Wierzące (choć na bezdechu) 50 procent – że zatraca się w nowym, nieznanym dotąd szaleństwie. Kto ma rację? ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Sanoku** pod sygn. akt I Ns 27/21 toczy się postępowanie z wniosku Jana Komańskiego o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Posadzie Zarszyńskiej oznaczonej numerem ewidencyjnym 1044 o pow. 0,2956 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00044469/5.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Władysława Węgrzyna s. Antoniego i Wiktorii, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

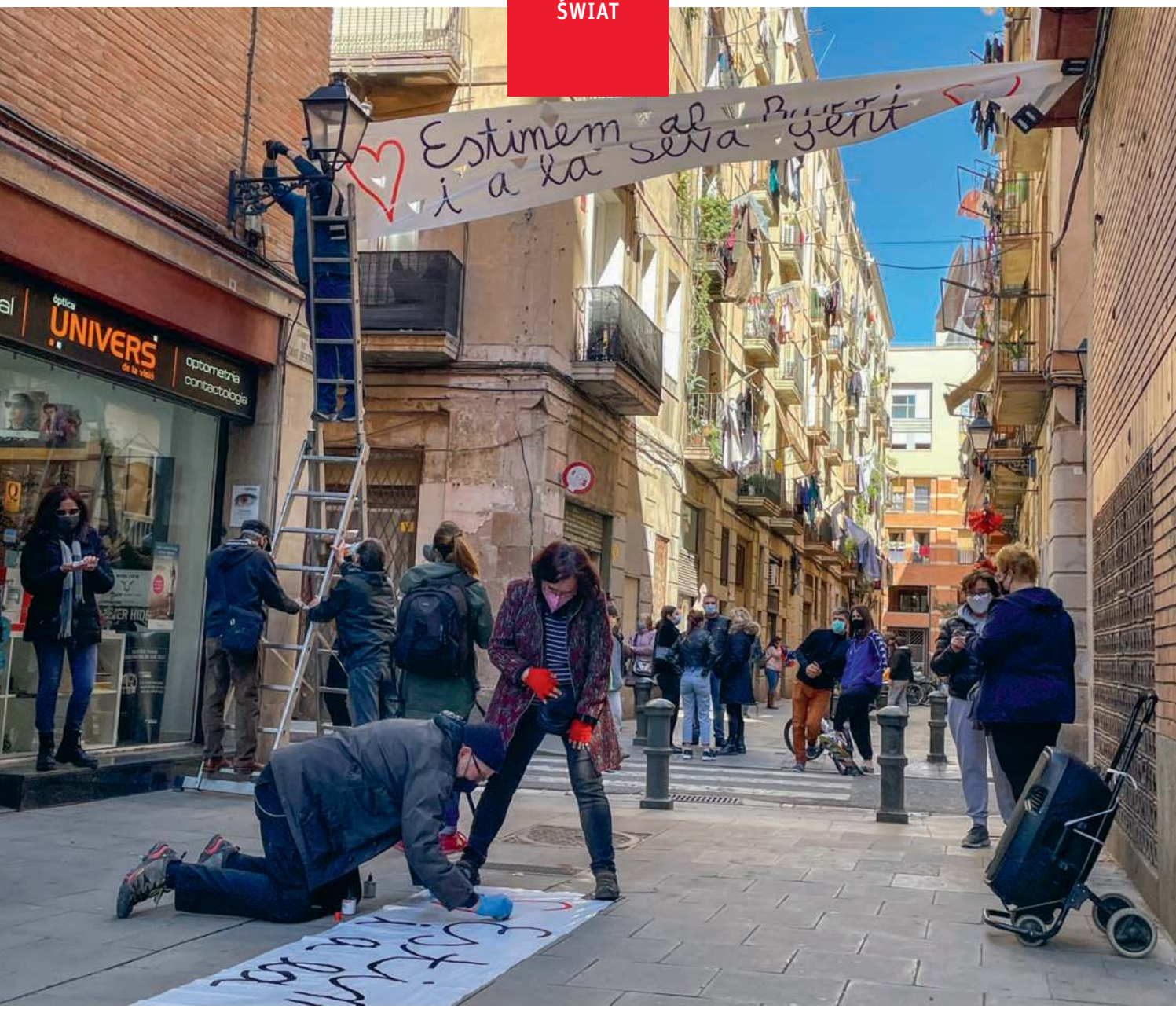


*Rafael, architekt i działacz społeczny, przygotowuje transparent w trakcie sąsiedzkiego protestu na ulicy Om w dzielnicy Raval. Barcelona, 21 marca 2021 r.*

# SĄSIEDZI Z DZIELNICY RAVAL

Epidemia sprawia, że mafie narkotykowe – plaga stolicy Katalonii – panoszą się ze zdwojoną siłą.

**PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY**

Jest czujny. Wie, co się dzieje na klatce schodowej. Interesuje go, kto wprowadza się za ścianą. Regularnie kontaktuje się z innymi, którzy też obserwują: z naprzeciwka, z bloku obok, z sąsiedniej ulicy. Sąsiad z barcelońskiej dzielnicy Raval po prostu musi być czujny. Niektórzy po latach są tak wyszkoleni, że intruzów zatrzymują zaraz przy wejściu do budynku.

Częściej jednak ten moment sąsiadowi umyka. Trudno być na warcie przez 24 godziny na dobę. Wtedy pojawiają się pierwsze znaki.

Znak nr 1: nowe twarze, coraz więcej twarzy. Jednak sąsiad nie zwraca na nie aż takiej uwagi. Bo praca, obowiązki, życie.

Znak nr 2: na schodach rozrzucone futerały po telefonach i porzucone karty SIM. Sąsiad już wie, że może mieć problem.

Znak nr 3: w nocy pod oknem krzyki, mimo że po dwudziestej drugiej obowiązuje godzina policyjna.

Znak nr 4: domofon dzwoni bez przerwy. Wtedy sąsiad po raz pierwszy alarmuje policję.

W tej historii przewinie się wielu sąsiadów, zabraknie za to kogoś innego: właścicieli. Zawsze bardzo poszukiwani, zwykle nieobecni.

Wyjątkiem jest Rysiek. On nigdy nie mieszkał na Ravalu, a mimo to jesienią 2017 r. słyszy w słuchawce telefonu: „Przylatuj szybko, w twoim mieszkaniu zakładają *narcopiso*".

### Mieszkanie na wynajem

Rysiek decyduje się na zakup tego mieszkania, bo wszystko się zgadza: super klimat, jedzenie, ludzie. No i centrum, wszędzie blisko. Kto wie, może kiedyś przeprowadzą się tutaj, żona mówi po hiszpańsku. Ale na razie będzie pod wynajem – długoterminowy, żadne Airbnb. Dzielnicę wybierają trochę ze względu na atrakcyjne ceny, trochę z polecenia: podoba im się, że Raval to multikulturowy tygiel i dużo się dzieje. Widać to w ich kamienicy: na każdym piętrze inna narodowość.

– Telefon dostałem kilka miesięcy po wyprowadzce poprzednich lokatorów – wspomina dziś Rysiek. – Najpierw do mnie dzwoniła koleżanka, później do żony jedna z sąsiadek. Sąsiedzi zareagowali od razu. Bo też wyobraź sobie: na klatce spokój, a tu nagle wbija ci się handlarz narkotyków.

Jeszcze tego samego wieczoru Rysiek leci z Polski do Barcelony. – Jestem człowiekiem, który działa szybko. Wziąłem ze sobą kuzyna, bo jego była dziewczyna jest Katalonką, zna język i miasto. Powiedziała, że pomoże. A kuzyn, wiadomo, nie miał nic przeciwko wycieczce na mój koszt – śmieje się.

Na miejscu są przed północą. Spotykają się z przejętymi sąsiadami, którzy mówią: „Zeznamy przed policją, że mieszkasz w budynku, że jesteś miejscowy". To ważne, bo w przypadku, gdy zajęte zostaje twoje pierwsze lub drugie miejsce zamieszkania, dochodzi do naruszenia miru domowego, a niechciani lokatorzy mogą zostać usunięci przez policję niemal automatycznie – wystarczy, że udowodnisz, że tu żyjesz. Natomiast zajmowanie pustostanów to naruszenie prawa własności, wykroczenie innego typu, które zwykle trafia do sądu.

Sprawa się komplikuje, bo Rysiek na policji nie kłamie, a funkcjonariusze patrzą na niego podejrzliwie: – Powiedzieli mi w końcu, że proces może trwać nawet rok. Już pal sześć z nami, ale jak mają żyć sąsiedzi?

Do hotelu wraca podłamany. Ktoś dzieli się pomysłem: może jednak zadzwonić do tych chłopaków, którzy podobno negocjują z handlarzami? Rysiek protestuje, nie będzie bandytów straszył innymi bandytami. Wspomina: – Rano wróciliśmy. Pomyślałem, że może da się z nimi pogadać. Na wszelki wypadek zadzwoniliśmy po policję, czy nie chcieliby nam zrobić asysty. O dziwo, przyjechali.

Drzwi otwiera mężczyzna. Na pierwszy rzut oka widać, że pod wpływem narkotyków. Zerkają w głąb mieszkania. Jest sam. – Wtedy policjanci nam machnęli i tego typka wyprowadzili, nic nie jarzył. Weszliśmy. Było pusto, bo handlarze nie spodziewali się takiej szybkiej reakcji.

Zaczynają się sąsiedzkie warty pod drzwiami. Rysiek znajduje ludzi do szybkiego zamurowania balkonu i zabicia deskami okien. Chociaż podobno *narcotraficantes*, jeśli raz im się nie udało, już do tego samego mieszkania nie wracają.

### Piękno w kajdankach

Mafie narkotykowe zajmują pierwsze mieszkania w Barcelonie zapewne już w 2012 r. Ale dopiero pięć lat później zjawisko staje się na tyle powszechne, że dziennik „La Vanguardia" nadaje mu nazwę: przedrostek *narco* przyczepiony zostaje do *piso* (mieszkanie) i szybko się w prasie zadomawia. Przez następne miesiące media bombardują czytelników nagłówkami: „Jak przeżyć obok *narcopiso*", „Raval ugina się pod ciężarem *narcopisos*". A także takimi dającymi nadzieję: „Kolejne *narcopiso* znika z mapy miasta".

W październiku 2018 r., po roku śledztwa i przygotowań, policja przeprowadza widowiskową operację: prawie 900 funkcjonariuszy rusza do centrum i wyprowadza 55 osób, a 26 mieszkań zostaje odebranych dominikańskiej mafii, głównemu graczowi podziemia narkotykowego. Na drugi dzień Hiszpanie przy porannej kawie oglądają w gazetach zdjęcia skutego kajdankami szefa gangu o wdzięcznym pseudonimie „Belleza" (Piękno). Sukces: władza zadaje handlarzom cios.

Jednak mieszkańcy Ravalu zdążyli się zorientować, że nawet skuteczne akcje policji oznaczają tylko wymianę graczy: na ich ulicy prędzej czy później będzie sprzedawał ktoś inny. Dlatego w oknach wieszają kawałki czerwonego materiału – cichy znak sprzeciwu wobec zmian, które widzą w swojej dzielnicy. Wieczorem wychodzą na balkony i uderzają w garnki. Robią hałas: w nadziei, że ratusz, w natłoku obowiązków, nie zapomni o Ravalu.

I nie zapomina. Burmistrzyni Ada Colau przeznacza w 2018 r. na walkę z *narcopisos* kwotę 5 mln euro. Pieniądze mają zostać wykorzystane na wzmocnienie policji, na zadbanie o czystość w centrum i na opłacenie dodatkowych pracowników socjalnych, którzy mogliby wesprzeć osoby uzależnione.

Mieszkańcy uczą się operować w *narco*-rzeczywistości. Acció Raval – platforma, która przeciwdziała handlowi narkotykami w dzielnicy – opracowuje protokół działania dla sąsiadów, którzy mieszkają obok *narcopiso*. Najważniejsze punkty to: nie konfrontować się z dilerami; zebrać jak największą liczbę osób do złożenia skargi; informować władze o niezabezpieczonych pustostanach, zanim ktoś się nimi zainteresuje.

### Tintin w Barcelonie

Z Rafaelem i Carmelą – architektami, którzy na Ravalu mieszkają od ponad 10 lat – spotykam się w ich pracowni, w sercu dzielnicy. W drodze na spotkanie mijam zamknięty sklepik z pamiątkami (koszulki Barcelony za 15 euro, małe figurki Sagrady Familii za jedyne 3 euro), pakistańską restaurację, muzułmańskiego rzeźnika i stoliki modnych barów; mimo epidemii siedzi przy nich sporo ludzi. ↦

PAULINA MAŚLONA

↦ Za bramą ogrodzonego patio zostawiam popołudniowy ravalski harmider: głosy przechodniów zlewają się z remontem ulicy.

– Całe szczęście, że udało mu się to załatwić tak szybko! – kiwa głową Rafael, gdy streszczam mu historię Ryśka. On i Carmela mieli bardziej pod górkę. Kiedy po raz pierwszy zauważył rozrzucone na klatce futerały, był rok 2017. Tłumaczy: – Chodziło nie tylko o narkotyki. Skradzione telefony wymieniali na działki. Handlowali, czym popadnie.

Pojawiają się też pierwsze fale klientów. O każdej porze dnia i nocy ktoś wchodzi i wychodzi z klatki, pięć razy zdemolowana zostaje brama wejściowa. Na podłodze leżą igły i ludzie. – Jedna osoba nie ruszała się, musieliśmy dzwonić po karetkę – wspomina Carmela. – Sprawa pogarsza się stopniowo, aż nagle robi się dramatycznie.

Kilka ulic od pracowni Rafaela i Carmeli mieszka Marta, Włoszka. Niedawno kupiła na Ravalu mieszkanie. To pod jej oknem w nocy mafie narkotykowe wyrównują rachunki. Później filmiki z tych starć można obejrzeć w internecie. W ruch idą noże, kije bejbsolowe, maczety. Raz zdarzyła się szpada.

– Dołączyłam do grupy właścicieli mieszkań. Wymieniamy się filmikami, zdjęciami, jedna z osób wysyła to później policji. W teorii coś z tym materiałem robią – mówi Marta.

Grupa się przydaje, ale Marcie nie zawsze po drodze z opiniami innych jej członków. Jako że ponad połowa mieszkańców Ravalu to osoby obcego pochodzenia, niektórzy właściciele problem wiążą z imigracją. – To festiwal rasistowskich komentarzy – Marta przysyła mi jako przykład obrazek z komiksu „Przygody Tintina". Przerażony bohater ucieka przez ulicę pełną ludzi o ciemnej karnacji. Tylko tytuł zmieniony: teraz to „Tintin w Barcelonie".

### Właściciele-widma

W trakcie protestów przeciwko *narcopisos* kwestia imigracji nie pojawia się jednak jako jedno ze źródeł problemu. Przeciwnie: zaangażowani sąsiedzi widzą w różnorodności siłę, która uchroniła centralnie położony Raval przed losem innych dzielnic Starego Miasta. „Gentryfikacja przyszła na Raval z opóźnieniem właśnie dzięki rodzinom imigrantów, które tu zamieszkały, otworzyły lokalne sklepy, nadały okolicy nowego światła i koloru" – mówi w 2018 r. Ángel Cordero, aktywista z Acció Raval (w wypowiedzi dla portalu „Todo por hacer").

Carmela i Rafael wiedzą za to, że w instalowaniu *narcopisos* uczestniczą też Hiszpanie. W ich przypadku była to młoda para z 8-letnim dzieckiem. Wspominają: – On, wielki i silny, dostał się jakoś do tego pustego mieszkania w naszej kamienicy. W środku zostawił córkę i żonę. Kilka miesięcy później zniknęli, a w ich miejsce pojawiła się mafia. Wiemy, że jedni i drudzy są w kontakcie, bo jak tylko jest problem, tamta para wraca i przekonuje policję, że to oni tam mieszkają, bo są w trudnej sytuacji. Taki znaleźli sposób na zarobek.

Rafael informuje policję za każdym razem, gdy na klatce coś się dzieje. Z samym *narcopiso* nie może zrobić wiele, bo sprawę do sądu musi zgłosić właściciel. A w przypadku niemal wszystkich zajętych przez handlarzy mieszkań właścicielami są banki lub fundusze inwestycyjne.

– Nie ma możliwości kontaktu, nie ma osoby, która by z tobą porozmawiała – mówi Carmela. Właściciele-widma wchłaniają skargi i prośby od sfrustrowanych sąsiadów niczym czarna dziura.

### Ludzie bez domów

Gdy na ulicach Barcelony pojawia się więcej osób pod wpływem heroiny, media przypominają o pladze uzależnień od tego narkotyku, o straconym pokoleniu lat 80. XX w. Dane z rządowych raportów jednak uspokajają: zażywanie heroiny w Hiszpanii utrzymuje się na tym samym poziomie od lat 90. Zaledwie 0,6 proc. społeczeństwa spróbowało narkotyku przynajmniej raz w życiu (dla porównania: popularnej marihuany próbowało ponad 30 proc.).

Na fakt, że nagle użytkownicy heroiny stali się widoczni w centrum miasta, składają się dwie rzeczy: nagromadzenie w tym miejscu pustostanów (które szybko zamieniają się w punkty sprzedaży) i sposób, w jaki zwykle zażywana jest heroina. Klienci to często osoby silnie uzależnione – sięgają po nią zaraz po tym, gdy ją kupiły, często na ulicy. Tam znajdują ich sąsiedzi.

Ángel Cordero już w 2018 r. przekonywał, że problem jest strukturalny. Nieruchomości przejęte przez banki i fundusze, które nie interesują się tym, co się w nich dzieje, to jak wysłanie mafii zaproszenia. „Te mieszkania powinny zostać przeznaczone na wynajem socjalny. Wiele osób znajduje się w sytuacji kryzysowej" – taką propozycję rozwiązania problemu Cordero zgłasza na łamach dziennika „El Periódico" w trakcie jednego z dzielnicowych protestów. Rozwiązanie, które w niektórych przypadkach będzie rzeczywiście wprowadzane w życie. Tak samo, jak zobowiązywanie właścicieli mieszkań, które stoją puste od co najmniej dwóch lat, do natychmiastowego przeznaczenia ich na wynajem.

### Domy bez ludzi

Tamtego dnia, w roku 2018, mieszkańcy opowiadają się przeciw spekulacji nieruchomościami. Zamiast aktywów za ścianą chcą mieć prawdziwych sąsiadów. W protestującym tłumie w oczy rzuca się kilkuletni chłopiec, który niesie transparent: „Ludzie bez domów. Domy bez ludzi. Mordercy!".

Wielu sąsiadów nie widzi nic złego w zajmowaniu pustostanów jako takim – ruch *okupa* ma zresztą w Katalonii długą tradycję, a niektóre skłoty, jak choćby legendarna Casa Buenos Aires (na obrzeżach Barcelony), stają się modnymi miejscami spotkań i ośrodkami kultury.

*Okupas* to też alternatywa dla mafii. Jak na ulicy Riereta, gdzie w 2017 r. sąsiedzi wspólnie stanęli na drodze handlarzom narkotyków i nie pozwolili im wrócić do zajętego mieszkania. Mafia próbowała grozić, prowokować sąsiadów do konfrontacji. W końcu odpuściła. W lokalu zamieszkała trójka młodych *okupas*. Przez kilka dni je sprzątali i urządzali. Po jakimś czasie upomniał się o nie właściciel, który przez lata działania *narcopiso* nie był zainteresowany nieruchomością. Do dzisiaj mieszkańcy Riereta bronią młodych przed eksmisją.

– Ach, nam się marzą tacy *okupas*, ludzie – wzdycha Carmela – zamiast pustego mieszkania anonimowego banku, który nawet nie dorzuci się do sąsiedzkich wydatków. My takich kandydatów wręcz szukamy!

Carmela mówi to z uśmiechem, ale jest sfrustrowana. Bo wraz z epidemią problem *narcopisos* – wielokrotnie uznawany przez polityków i policję za przynajmniej częściowo rozwiązany – wraca ze zdwojoną siłą.

MANUEL MEDIR / GETTY IMAGES

*Mieszkańcy dzielnicy Raval protestują przed ratuszem przeciw mafiom narkotykowym. Barcelona, 28 listopada 2020 r.*

### Narcos w lockdownie

Marzec 2020 r., początek lockdownu w Barcelonie. Można odnieść wrażenie, że w domach zostało całe miasto. Z wyjątkiem ulicy Salvador, gdzie żyją Rafael i Carmela.

– Co więcej, wtedy zaczął się jakiś boom zakupowy – wspomina dziś Rafael. – Jakby wszyscy chcieli mieć narkotyki na zapas, bo kto wie, co się wydarzy.

– To był sam początek pandemii – dodaje Carmela. – Nie byliśmy pewni, jak łatwo można się zakazić, jak groźny jest ten wirus. A na korytarzu pełno było ludzi, którzy pchają się po towar. Bez maseczek, bez dystansu. Rodzina z Bangladeszu, która mieszka na parterze, przez ciągły hałas nie mogła spać. Kiedy skończył się tamten lockdown i ich córka wróciła do szkoły, nauczyciele pytali, o co chodzi, bo bez przerwy zasypiała na lekcjach.

Najgorsze w lockdownie jest to, że przed problemem nie ma ucieczki i rośnie frustracja. Najlepsze? Zwykle człowiek ma dużo pracy i mało czasu, a lockdown to sytuacja zupełnie odwrotna. – W czasie lockdownu dzielnica zaczęła żyć na balkonach, tak poznaliśmy lepiej sąsiadów z całej ulicy – tłumaczy Carmela. – Wszyscy mieliśmy ten sam problem, zaczęliśmy rozmawiać, urosła nasza grupa na WhatsAppie.

Pierwszą akcję organizują w dwójkę. Na dół schodzą o siódmej rano – to zwykle moment względnego spokoju – i na ścianę przy drzwiach wejściowych przyczepiają paczkę jednorazowych rękawiczek, obok żel dezynfekujący i kartkę: „Szanowny kliencie, zdezynfekuj ręce, włóż rękawiczki i zachowaj bezpieczną odległość". Na ziemi przed drzwiami wyklejają czerwoną taśmą linie do zachowania odstępów. Przeczuwają, że zabezpieczenia zaraz znikną, dlatego robią zdjęcia i wysyłają do prasy.

Efekt przekracza ich oczekiwania: dzienniki, wcześniej znudzone już tematem *narcopisos*, teraz odżywają. Wywiady z Carmelą i Rafaelem pojawiają się praktycznie we wszystkich mediach.

### Super Salva

– Nagle policja zaczyna się interesować ludźmi na klatce, nawet nie musimy po nią dzwonić – uśmiecha się Carmela. Handlarze z klatki zaczynają się za to interesować nimi. „Donosicielka!" – słyszy Carmela za plecami za każdym razem, gdy wychodzi na zakupy. Dopiero po jakimś czasie zdaje sobie sprawę, że to do niej. Rafaelowi ktoś grozi, że zna jego rodzinę. – Za to sąsiedzi są zachwyceni i mówią: róbmy więcej!

Tym razem większą grupą, także ze względów bezpieczeństwa, zabierają się za dekorowanie ulicy. Temat przewodni: festiwal narkotyków. Między oknami przewieszają ironiczny transparent: „SUPER SALVA. Witamy w narkotykowym supermarkecie". Otwarty 24h! Wokół ulicy zaczyna się robić szum, niemożliwy do zignorowania.

– Co mądrzejsi handlarze sami się ulotnili, niepotrzebna im jest uwaga mediów – tłumaczy Rafael. Tak opróżniły się dwa z trzech *narcopisos*. Ostatnie mieszkanie, którego właścicielem jest miasto, w końcu zostaje odebrane mafii po dwóch latach procesu.

W budynku robi się ciszej, przynajmniej na razie. Wygląda na to, że Rafael i Carmela znaleźli sposób na zapewnienie okolicy względnego spokoju.

Teraz działają tam, gdzie akurat pojawiają się *narcos*.

– Wpadnij w niedzielę, będziemy na ulicy Om. Teraz to tam jest gorąco.

### Zmiany, zmiany...

Nowy program przeciwdziałania *narcopisos*, ogłoszony przez miasto w styczniu tego roku, ma zwrócić dzielnicę jej mieszkańcom.

Oprócz standardowych już metod zapobiegania powstawaniu kolejnych punktów sprzedaży, plan zakłada szereg mikrodziałań, które pomogą odbudować społeczność sąsiedzką. Szczegóły będą omawiane z mieszkańcami, ale socjolog Luis Benvenuty na łamach „La Vanguardii" podkreśla znaczenie nawet takich drobiazgów, jak założenie dzielnicowego ogródka. Projekt, w który mogłyby angażować się również osoby walczące z uzależnieniem.

– My też nie chcemy nikogo stygmatyzować – mówi Carmela o działaniach sąsiadów. – Wszyscy jesteśmy ofiarami systemu. Nie tylko osoby uzależnione. Potrafię sobie wyobrazić, że wielu tych młodych chłopaków, którzy stracili pracę w czasie pandemii, teraz zajmuje się handlem narkotykami.

Sąsiedzi mają własne postulaty: chcą mieć możliwość złożenia skargi na *narcopiso*, mimo że mieszkania nie są ich własnością. Chcą grup dialogu między sąsiadami i miastem, a także przypisania do dzielnicy własnego prokuratora, żeby choć odrobinę przyspieszyć działania sądów.

I ostatni postulat, pewnie najtrudniejszy do zrealizowania: marzy im się, żeby miasto zakazało wielkim inwestorom trzymania pustostanów w centrum. Pustka i bezużyteczność mieszkań razi wyjątkowo w kontekście ogólnokrajowej dyskusji o potrzebie uregulowania wciąż rosnących cen wynajmu (Katalonii udaje się to w 2020 r.) i trwających nawet w trakcie pandemii eksmisji (w 2020 r. ↦

↦ w samej Barcelonie przeprowadzono ich ponad tysiąc).

Miasto raz po raz przypomina o sobie korporacjom. W październiku 2020 r. rządząca Barceloną Ada Colau zaprasza firmę inwestycyjną Cerberus na wycieczkę po zapomnianej własności na ulicy Príncep de Viana – jednym z największych *narcopisos* w dzielnicy Raval, w którym, obok wielu makabrycznych zdarzeń, w 2017 r. doszło też do morderstwa. Wizytę relacjonuje dziennik „El Periódico". Choć właściwie relacjonować nie ma specjalnie czego, bo po krótkim spacerze zapuszczonym korytarzem cała grupa zostaje przez mafię wyproszona z budynku.

Miasto chce, żeby Cerberus zapłacił za szkody poniesione przez mieszkańców, przekazując przynajmniej część mieszkań na cele socjalne.

### A prochy moje

– Nie wyobrażam sobie życia w innym miejscu – mówi Marta, która mieszka nieopodal. Bo sąsiedzi mają jeszcze jedno marzenie: żeby stygmatyzowana przestała być również sama dzielnica Raval, która oprócz *narcopisos* ma przecież wiele do zaoferowania.

Prężnie działające domy kultury, spotkania, muzea i filmoteka to jedno. Drugie – to wielokulturowa społeczność, która razem nad tymi atrakcjami pracuje. O tym wszystkim zapominają pisać media, które skupiają się na narkotykowej sensacji. – A ja tak naprawdę nigdy się tu nie czułam zagrożona. Przemoc jest, ale rzadko wymierzona w sąsiadów – uważa Marta.

Kiedy lokalni aktywiści spotykają się na ulicy Om, oprócz transparentów i dekoracji przynoszą poczęstunek. Część pracuje, inni jedzą i się przyglądają (ci pierwsi tych drugich raz po raz zaganiają do pracy). Po rozwieszeniu wszystkich elementów będą sączyć wermut i rozmawiać pod transparentem „Szanujmy naszą dzielnicę i jej mieszkańców".

Z głośników leci hit lokalnej grupy rockowej. Kilka razy upewniam się, czy dobrze słyszę refren: „A prochy moje rozsypcie na Ravalu".

Sąsiedzi podśpiewują razem z wokalistą. © PAULINA MAŚLONA

# Zamknąć polskość

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

**„Alaksandr Łukaszenko bierze naszą społeczność jako zakładników" – mówi „Tygodnikowi" Andrzej Pisalnik, działacz Związku Polaków na Białorusi.**

Jadę do Lenińskiego ROWD [tj. na komendę milicji]" – zdążyła tylko napisać Andżelika Borys. Była środa, 24 marca. Potem jej telefon przestał odpowiadać. Tydzień wcześniej 47-latka została wybrana – po raz kolejny – na przewodniczącą Związku Polaków na Białorusi.

Andżelika Borys została oskarżona o zorganizowanie w pomieszczeniach Związku tradycyjnego dorocznego jarmarku rzemiosła i rękodzieła „Grodzieńskie Kaziuki 2021".

Andrzej Poczobut, członek zarządu Związku Polaków na Białorusi i dziennikarz „Gazety Wyborczej", napisał na Twitterze, że świadkami oskarżenia w sprawie Borys byli milicjanci, którzy twierdzili, że jarmark jest nielegalny, choć przecież odbywał się on na wewnętrznym podwórku konsulatu polskiego w Grodnie (a więc w miejscu eksterytorialnym). Następnego dnia także Poczobut został aresztowany. Zatrzymano również dwoje innych członków zarządu: Irenę Biernacką i Marię Tiszkowską.

Prokuratura Generalna Białorusi oskarża ich o „umyślne działania mające na celu podżeganie do nienawiści narodowej i religijnej" oraz „rehabilitację nazizmu", za co grozi im od 5 do 12 lat więzienia. Polskie MSZ zażądało „zaprzestania arbitralnych prześladowań przedstawicieli mniejszości polskiej", wskazując, że władza Łukaszenki łamie międzynarodowe zobowiązania dotyczące ochrony mniejszości narodowych.

Eksperci zwracają uwagę, że od kiedy w sierpniu 2020 r. na Białorusi zaczęły się masowe protesty – po tym, jak Alaksandr Łukaszenka sfałszował wybory prezydenckie – białoruskie media co chwila wskazują Polskę jako wrogi kraj, który ma destabilizować Białoruś. Zatrzymanie działaczy polskiej mniejszości wpisuje się w tę propagandę.

### Czy Polak, czy Białorusin

– O ósmej rano do mieszkania weszli funkcjonariusze milicji. Drzwi nie były zamknięte, bo tuż przedtem nasz jedenastoletni synek Jarek wyszedł do szkoły. Zabrali nasze karty płatnicze i cały sprzęt elektroniczny, nawet telefony i komputery dzieci, w tym naszej córki studentki – mówi „Tygodnikowi" Aksana, żona Andrzeja Poczobuta.

Choć Polacy żyjący na Białorusi są stale prześladowani, małżeństwo nigdy nie rozważało wyjazdu z kraju: – Mąż zawsze powtarza, że aresztować mogą każdego. W działaniach aparatu represji nie ma żadnej logiki. Bywa, że ludzie są zatrzymywani, gdy wychodzą po prostu do sklepu w rejonach, gdzie odbywają się protesty obywatelskie. Poza tym to nasz dom, jesteśmy u siebie. Andrzej tu się urodził. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości ucieczki.

Aksana obawia się, że mąż nie wyjdzie szybko na wolność: – Nie śpię od tygodnia. Nie wiem, jak to się rozwinie, działania władz są nieprzewidywalne. W sprawach politycznych wszystko może się zmienić w jeden dzień. Cieszę się, że chociaż synek nie widział aresztowania. Miałam problem, by go znaleźć po lekcjach, bo nie mieliśmy telefonów. Bardzo nie chciałam, by wszedł do mieszkania i zobaczył, że wszystko jest przewrócone do góry nogami przez milicję.

– W pierwszej paczce, którą mieliśmy możliwość przekazać mężowi, Jarek wysłał tacie swój zegarek, który niedawno dostał w prezencie – mówi Aksana i dodaje, że chłopiec na razie nie rozumie jeszcze do końca tego, co się stało z ojcem. – Ale pilnie słucha rozmów dorosłych. Gdy podsłuchał, że rozmawiamy o możliwym 12-letnim wyroku więzienia, zaczął już liczyć, ile lat będzie miał, gdy tata wyjdzie na wolność. Pytał mnie, co tata zrobił, więc starałam się mu wyjaśnić, że przecież widzi, co się dzieje w naszym kraju, że ciągle są jakieś aresztowania – mówi Aksana. – Prawda jest taka, że na Białorusi nikt nie może się dziś czuć bezpieczny, szczególnie jeśli to człowiek, który czuje się wolny. Nieważne, Polak czy Białorusin. Obywatele po prostu nic nie znaczą z punktu widzenia władzy.

KRYSTIAN MAJ / FORUM

*Andrzej Poczobut, członek zarządu Związku Polaków na Białorusi i dziennikarz, grudzień 2013 r.*

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

*Andżelika Borys na briefingu członków Rady Oświaty Polonijnej, Warszawa, 19 września 2018 r.*

### Zarzut i pretekst

– Wśród zarzutów, które przedstawiono przy aresztowaniu Andrzeja, jest paragraf o „rozniecaniu wrogości między narodami" – mówi Aksana Poczobut. – Jak to niby możliwe, jaka wrogość? Przecież ja, jego żona, jestem Białorusinką! A brat męża ma żonę Rosjankę, z Moskwy. To śmieszne, większość małżeństw Polaków na Białorusi jest mieszana, czasem jedno dziecko jest ochrzczone jako katolik, a drugie jako prawosławny. W podejściu miejscowych Polaków do Białorusinów nie ma nawet grama wrogości między narodami! Rzekomo Andrzej propaguje nazizm i wznieca wrogość już od 2018 r. Przy aresztowaniu żartował, pytał milicjantów, czemu w grę wchodzi taki krótki okres, skoro działalność Związku Polaków na Białorusi trwa od wielu lat, a on całe życie poświęca tej sprawie.

Według komunikatu prokuratury generalnej Białorusi zatrzymanych oskarża się o organizowanie w okresie od 2018 r. „szeregu nielegalnych przedsięwzięć masowych z udziałem niepełnoletnich, podczas których czczono uczestników band antysowieckich działających w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i po jej zakończeniu, które okradały i zabijały ludność Białorusi".

– Jest to związane z obchodami Dnia Żołnierzy Wyklętych w Brześciu. Na uroczystości obecny był przedstawiciel polskiego konsulatu Jerzy Timofiejuk. Annę Paniszewą, organizatorkę, aresztowano już kilka tygodni temu. Paniszewa nie jest związana ze ZPB, ma własną organizację zarejestrowaną legalnie przez władze Białorusi, a od nas dawno się odcięła – wyjaśnia Andrzej Pisalnik, sekretarz zarządu głównego ZPB.

Nie przeszkadza to jednak władzom w wykorzystaniu obchodów 1 marca przeciw zatrzymanym członkom organizacji. Ponadto, według państwowej telewizji białoruskiej, podczas uroczystości wychwalano Romualda Rajsa „Burego" – żołnierza polskiej konspiracji wojennej i powojennej, którego oddział w 1946 r. zamordował na Podlasiu kilkudziesięciu białoruskich cywilów.

Pisalnik: – Według moich informacji nie było tam nic na temat „Burego". Przecież nawet terytorialnie nie miał on nic wspólnego z Polakami na Białorusi. Jedyny rzekomy dowód na to, zaprezentowany przez media białoruskie, to było krótkie nagranie, jak harcerze śpiewają „Rotę".

### Czekając na ciąg dalszy

Według spisu powszechnego Białorusi z 2009 r. w kraju tym żyje 295 tys. Polaków; stanowią nieco ponad 3 proc. ludności. Jednak według nieoficjalnych szacunków faktyczna ich liczba może być większa – różne źródła podają od pół miliona do ponad miliona. Mieszkają głównie na terenie Grodzieńszczyzny.

Systematyczne prześladowania Związku Polaków na Białorusi, założonego w 1990 r., trwają już od 2005 r., kiedy to władze uznały organizację za nielegalną, a jej członków poddano rozmaitym represjom, grożąc aresztowaniami czy zwolnieniami z pracy. Wydawana przez Związek prasa została przejęta przez władze, a w mediach zaczęła się kampania szkalowania polskich działaczy.

– Pomimo że nasz związek nie jest uznawany przez władze Białorusi za legalny, mogliśmy się dotychczas rozwijać i realizować zadania statutowe zgodnie z potrzebami miejscowych Polaków – mówi Andrzej Pisalnik. – Mamy już wieloletnie doświadczenia z prześladowaniami. Cieszy nas zainteresowanie opinii publicznej obecną sytuacją, to daje szansę naszym działaczom na powrót na wolność. Zawsze, kiedy sądzono Polaków na Białorusi, nagłaśnianie sprawy pomagało. Mamy nadzieję, że i teraz tak będzie.

Pisalnik dodaje, że podczas rewizji w siedzibach Związku zarekwirowano cały sprzęt komputerowy, więc jego działalność została sparaliżowana.

– Czekamy na kolejne kroki ze strony władz. W tym momencie trwają inspekcje we wszystkich szkołach nauczających języka polskiego, nawet tych prywatnych, nienależących do naszych struktur. Ponadto prokuratorzy żądają od dyrektorów szkół, aby podawali im listy wszystkich uczniów uczęszczających na zajęcia. Czyli każdy, kto się chce uczyć języka ojczystego, jest zagrożony – stwierdza Pisalnik.

■■■

– Można powiedzieć, że w tym momencie Alaksandr Łukaszenko bierze naszą społeczność jako zakładników – mówi „Tygodnikowi" Andrzej Pisalnik. – Wszyscy czujemy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Tak, liczę się z tym, że mogę zostać aresztowany. Czy jestem na to gotowy? Na coś takiego jak aresztowanie pod absurdalnymi zarzutami, z groźbą wieloletniego wyroku, nie można być gotowym... ©

# Miriam odlicza czas

ULA IDZIKOWSKA

**Nadal nie wie, gdzie przyjdzie jej rodzić. Ale przynajmniej nie będzie to Lesbos.**

Na twoim miejscu też bym się pociął – sąsiad Miriam nie patrzy jej w oczy, spogląda na Abdula. Ten leży odwrócony do nich plecami. Śpi. Albo udaje. I tak całymi dniami. Miriam też przestała wychodzić, woli zostać w namiocie. Dlaczego? Nie wie. Po prostu.

Próbuje namówić męża na ponowną rozmowę z psychologiem. Był tylko raz. Teraz odmawia. Dlaczego? Miriam nie wie. Przestała już pytać.

Miriam odlicza czas. Termin porodu ma wyznaczony na 12 maja. Latać samolotem może do 12 kwietnia: ta data widnieje na zaświadczeniu od lekarza, które jest teraz jednym z najważniejszych dokumentów. To przepustka, aby opuścić Grecję, zanim narodzi się jej dziecko.

**POZNAŁYŚMY SIĘ** 10 września 2020 r. na Lesbos, na ulicy przed Lidlem. Było późno, dochodziła jedenasta wieczorem. Miriam rozmawiała z innymi kobietami. Jej czarny szalik i tunika zlewały się z nocą, widziałam tylko rysy jej twarzy. Tłumy wokół nas nie spały: ludzie chodzili, rozmawiali, zataczali się ze zmęczenia i głodu lub wskutek zażytych narkotyków. Przecierali oczy, jakby nie mogli uwierzyć, że obóz dla uchodźców Moria, ich dom, naprawdę spłonął.

Dzień wcześniej 13 tys. ludzi ubiegających się o azyl straciło dach nad głową po tym, jak kilku mieszkańców Morii podłożyło ogień z powodu narastającej frustracji – przepełniony obóz od lat był miejscem, gdzie ludzie spędzali miesiące w fatalnych warunkach.

To było nasze pierwsze i ostatnie spotkanie *face to face*. Po otwarciu nowego obozu na Lesbos, 12 września, dziennikarzom utrudniano dostęp do miejsc, gdzie przebywali byli mieszkańcy Morii. Wyjechałam bez pożegnania. Także 28-letnia Afganka Miriam trafiła do nowego obozu. Przez ostatnie miesiące utrzymywałyśmy kontakt przez komunikator WhatsApp.

Pierwsza wiadomość przyszła 17 września. „Spaliśmy wczoraj na dworze. Sąsiedzi nie wpuścili nas do naszego wspólnego namiotu. Powiedzieli, że go spalą, jeśli spróbujemy wejść do środka" – pisała Miriam.

Rano, gdy zwróciła się do jednej z nielicznych organizacji pozarządowych, która wciąż oferowała pomoc na wyspie, usłyszała: to nie nasz problem. Płakała i błagała kierownictwo obozu o przeniesienie do innego namiotu. Zgodzili się po ośmiu próbach.

**MIRIAM PRZESYŁA SERIĘ ZDJĘĆ.** Na pierwszym widzę młodą kobietę z burzą długich, kruczoczarnych, wyprostowanych włosów, ustami pociągniętymi różową szminką i błyszczącymi oczami podkreślonymi czarną kreską. To selfie zrobione jeszcze w Afganistanie. Obok zdjęcie sprzed kilku dni: opuchnięta, poszarzała twarz, siwe wysuszone loki wystające spod chusty, niepewny uśmiech.

Kolejne zdjęcia, ich obojga: ona w czapce z daszkiem, Abdul ze zmarszczonymi brwiami, jak model z magazynów mody. Na kolejnym selfie siedzą obok siebie w namiocie, z tortem. To urodziny Miriam, już w Morii. „Patrz, jak wcześniej wyglądałam. Czuję, jakby przybyło mi kilka lat. Mam nadzieję, że niedługo będę mogła stąd wyjechać" – Miriam wysłała tę wiadomość sześć miesięcy temu.

Jest marzec 2021 r., a ona i Abdul nadal przebywają w obozie na Lesbos. Podobnie jak ponad 8 tys. ludzi. Część wciąż czeka na decyzję. Pozostali, którym przyznano już status uchodźcy, czekają na dokumenty i termin opuszczenia wyspy.

Agencja ONZ ds. Uchodźców (UNHCR) od początku wyrażała obawy co do położenia nowego ośrodka. Jeszcze do początku 2020 r. greckie wojsko prowadziło tam ćwiczenia. Wiadomo, że tereny strzelnic są często zanieczyszczone ołowiem pochodzącym z amunicji. Część namiotów w obozie – jak się później okazało – rozstawiono na skażonej ziemi. Ołów jest niebezpieczny, u dorosłych może powodować uszkodzenie mózgu i nerek oraz wywoływać poronienia, a u dzieci prowadzi do opóźnień rozwoju. Poza tym ołów rozkłada się powoli – obszar pozostaje zanieczyszczony przez dekady.

Już w październiku toksykolodzy wzywali do przeprowadzenia testów. Grecki rząd zlecił badania gleby w listopadzie. Wyniki potwierdziły zanieczyszczenie ołowiem niektórych obszarów obozu. Ale zostały opublikowane dopiero w styczniu, pod naciskiem organizacji pozarządowych. W lutym Human Rights Watch zarzuciła greckiemu rządowi, że bagatelizuje ryzyko, i wezwała do przeprowadzenia dodatkowych testów oraz informowania mieszkańców obozu o zagrożeniu dla zdrowia. Zwłaszcza rodziców, kobiet w ciąży i karmiących piersią.

**MIRIAM ZDAJE SOBIE SPRAWĘ** ze szkodliwości ołowiu. Musi uważać – jest w ciąży. Dowiedziała się o tym 21 września.

„Źle się czułam, więc poszłam do lekarza – pisze mi. – Zrobiłam test ciążowy. Wyszedł pozytywny. Nie wiem, czy mam się cieszyć. Naprawdę nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość. Moja siostra, która mieszka w Niemczech, rozpłakała się, jak jej powiedziałam. »Jak możesz być teraz w ciąży – mówiła. – W takich warunkach?«".

Miriam i inni mieszkańcy obozu, których poznałam, regularnie przysyłają mi zdjęcia wszechobecnego błota, zalanych namiotów, obskurnych toalet. Proszą, żeby przesłać je dalej. Żeby Europejczycy zobaczyli, w jakich oni żyją warunkach. „Policja nie wpuszcza tu reporterów. Informacje o obozie nie docierają do świata" – pisze Miriam.

Opowiadam jej o grupie pięciu dziennikarzy obywatelskich przebywających w obozie. Zostali wyszkoleni w zakresie fotografii i kinematografii przez NGO ReFOCUS Media Lab. Teraz są jedynymi reporterami relacjonującymi wydarzenia z miejsca, które miało być tymczasowe. Współpracują z mediami międzynarodowymi.

Czasem wydaje się, że od momentu otwarcia obozu czas stanął w miejscu. Nagrania reporterów ReFOCUS z września i lutego za bardzo się nie różnią. Wciąż nie ma pryszniców i bieżącej wody.

ARCHIWUM PRYWATNE

*Miriam i Abdul już na pokładzie statku w drodze z Lesbos do Aten, 23 marca 2021 r.*

**MIJAJĄ DNI.** „Nie jadłam nic, od dwóch tygodni nie zjadłam normalnego posiłku. Boli mnie brzuch" – pisze Miriam 23 września. Nie służy jej obozowe jedzenie. Je tylko ciastko dziennie. Czasami jabłko.

Dwa tygodnie później: „Przepraszam, że nie odpisywałam. Źle się ostatnio czuję. Ciąża mnie męczy. Nadal nie jestem w stanie nic przełknąć. W ciągu ostatniego miesiąca zjadłam może sześć posiłków. Jestem zmęczona tym wszystkim. Wszystko mnie denerwuje. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Patrz, to mój namiot. Pada do środka".

„8 października 2020 r. po raz pierwszy w tym sezonie padał deszcz. Obóz został poważnie zalany. Ani grecki rząd, ani UNHCR nie kiwnęły palcem, aby przygotować obóz na następną ulewę" – czytam na facebookowej stronie ReFOCUS. „Niecały tydzień później przeszła kolejna burza i zalała obóz w ciągu 30 minut". Parominutowy materiał, nakręcony przez reporterów ReFOCUS pokazuje, jak mieszkańcy obozu przymocowują namioty, które trzepoczą na silnym wietrze. Tworzą minitamy z kamieni przed wejściem do swoich schronień, aby brunatne strugi nie dostały się do środka. Kopią rowki, aby deszcz nie tworzył rozległych kałuż, ale spływał poza obóz.

**MIRIAM DOTARŁA NA LESBOS** w styczniu 2020 r., tuż przed wybuchem pandemii. Nie wiem, dlaczego opuściła Afganistan. Wiem tylko, że przez pięć miesięcy próbowała przedostać się z Turcji na tę wyspę na Morzu Egejskim. „Potrzebowaliśmy trzynastu podejść – pisze, używając angielskiego słowa *games* (gry); tak migranci nazywają próbę przekroczenia granicy. – Za każdym razem aresztowała nas turecka straż przybrzeżna. W końcu się udało, ale jakieś 40 metrów od lądu łódź się zepsuła. W czwórkę, razem z dwojgiem przyjaciół, zaczęliśmy wiosłować, czym się dało, żeby dotrzeć do brzegu".

Ostatnie 15 miesięcy upłynęły Miriam na czekaniu: na przesłuchanie, decyzję, dokumenty. „W Grecji wszystko trwa w nieskończoność" – pisze. A po pożarze Morii sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały, bo wiele dokumentów spłonęło. Także dokument tożsamości Miriam, wydawany osobom ubiegającym się o azyl. Martwiła się, że odmówią jej przez to azylu.

Czekanie się dłuży. Miriam wciąż odlicza dni, kiedy opuści Lesbos. Wtedy ściągnie chustę, już na zawsze. Na wszystkich zdjęciach, które mi przysyła, ma odsłonięte włosy. Zakrywa je tylko w obozie. „Niektórzy Afgańczycy podnoszą rwetes, gdy widzą mnie bez chusty. Podobnie, gdy rozmawiam z greckimi żołnierzami. W Morii prawie za to oberwałam. Dlaczego? Wiesz, gdy ludzie w Iranie i w Afganistanie widzą, że rozmawiasz z mężczyzną, to zaraz zaczynają gadać. To kwestia kultury. Nie odpowiada mi to".

W styczniu 2021 r. na wyspie pada śnieg. „Straszny mróz, ludzie są w szoku" – Miriam przesyła selfie w żółtym polarze, z wyraźnie zaokrąglonym brzuchem. Jeszcze trochę, a jej długie loki sięgną pępka. Na jej twarzy widać zmęczenie. Pisze: „Nie mam zdjęcia mojego dziecka, nie znam płci. Kiedy idę do szpitala, dostaję tylko papier. Lekarz nie pokazuje mi nic na ekranie. Mówi, że nie ma czasu".

Jeszcze we wrześniu na parkingu przed Lidlem liczne kobiety w ciąży pokazywały mi zdjęcia USG swoich nienarodzonych dzieci.

**ABDUL NIE WYTRZYMUJE.** 17 stycznia Miriam pisze: „Strasznie mi ciężko. Mój mąż próbował się zabić".

Pytam, kiedy. „W zeszłym miesiącu. Zemdlałam, więc zabrali mnie do szpitala. Nie pozwolili mu jechać ze mną. Siedział sam przez całą noc. Na szczęście nasz sąsiad zobaczył, że Abdul próbuje podciąć sobie żyły. To jego krew" – na zdjęciu widać kilka plam krwi na białej plandece namiotu UNHCR.

Abdul nie jest odosobniony: lockdown odciska piętno. W grudniu 2020 r. International Rescue Commitee (organizacja pomagająca ofiarom wojen i klęsk żywiołowych) podaje, że stan psychiczny mieszkańców obozów na wyspach Morza Egejskiego uległ znacznemu pogorszeniu. Co czwarty wykazuje objawy psychotyczne (wcześniej występowały u co ↦

↦ siódmego), liczba samookaleczeń wzrosła o 66 proc.

19 lutego Miriam otrzymuje wiadomość. „Dostaliśmy status uchodźcy! Może, może, może pozwolą nam niedługo wyjechać. Zarejestrowali nas w kolejce po paszport!" – donosi.

Dobrej wiadomości towarzyszą złe. Co i rusz wybuchają pożary. Także 9 marca płoną dwa namioty. „Bardzo blisko nas. Uciekliśmy. Musiałam zabrać ciężarną sąsiadkę do lekarza, nie mogła się uspokoić. Cały czas płakała" – pisze Miriam, która podejrzewa, że to wina przeciążeń instalacji elektrycznej (z powodu zakłóceń w obozie często nie ma prądu).

Wcześniej, 26 lutego, płonie namiot nr 959. Nie z powodu wadliwej instalacji: ogień wznieca 27-letnia ciężarna Nasrin. W akcie desperacji: także ona nie chce tu rodzić. Jej rodzina ma być przesiedlona do Niemiec, formalności są dopięte, ale wyjazd jest odkładany. W ostatnich tygodniach Nasrin widziała, jak inni mieszkańcy opuszczają obóz. Pod koniec lutego puściły jej nerwy. Gdy jej mąż i siedmioletni syn wyszli rano, aby wziąć prysznic, została sama z dwójką pozostałych dzieci. Szukała sznura, ale nie mogła znaleźć. Zostawiła dzieci u sąsiadów, wróciła do namiotu, podpaliła płótno zapalniczką. Trafiła do szpitala z poważnymi poparzeniami rąk, pleców i nogi.

Miriam się trzyma. Jakoś. „Jestem kłębkiem nerwów – pisze. – Czekam na paszport".

**PRZEZ DWA TYGODNIE MILCZY.** Zaczynam się martwić. W końcu 23 marca przychodzi wiadomość: „Przepraszam, że nie odpisywałam. Wiesz, mamy z mężem jeden telefon. Pewnie widział, że pisałaś, ale zapomniał mi o tym powiedzieć. Zgadnij, gdzie jestem?".

Na ekranie pojawia się zdjęcie: Miriam i Abdul na statku. Jutro będą w Atenach. Nie wiadomo, jak długo tam zostaną. Miriam nie wie, gdzie przyjdzie jej rodzić. Ale przynajmniej nie będzie to Lesbos.

© ULA IDZIKOWSKA

Wszystkie imiona zostały zmienione.

# Trzy dni, które zmieniły wszystko

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z KABULU

**Afgańczycy, którzy byli świadkami zamachów lub stracili bliskich, nie potrafią zapomnieć o tym, co ich spotkało.**

Z POGRZEBU WRACALI SAMOCHODEM w szóstkę. Mudżibullah Dastiar wraz z dwójką kolegów wysiedli wcześniej. Musieli wrócić do Ministerstwa Rehabilitacji i Rozwoju Obszarów Wiejskich, gdzie pracowali.

Szli więc we trzech ulicą, która uchodzi za raczej spokojną. Po drodze musieli minąć budynek Niezależnej Komisji Wyborczej. To było na kilka dni przed wyborami prezydenckimi w 2014 r., więc ruch był większy niż zwykle.

Za trójką kolegów szedł powolnym krokiem korpulentny mężczyzna w tradycyjnym afgańskim ubraniu. Miał na sobie kamizelkę. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Był spokojny. Jak wspomina dziś 32-letni Mudżibullah, może nawet był spokojniejszy niż inni przechodnie, dlatego nie zwrócił na niego uwagi.

– Zobacz, to zamachowiec samobójca! – wykrzyknął jego kolega.

– Co ty gadasz? To jakiś facet idzie do komisji wyborczej – odparł Mudżibullah.

– Nie, to zamachowiec – orzekł drugi.

Koledzy Mudżibullaha pobiegli co tchu.

■■■

W Kabulu pełno jest lokali gastronomicznych, gdzie przed wejściem stoi rożen. Żarzący się węgiel przypieka nabite na pręty kawałki mięsa. Wokół unosi się dym i intensywny, lekko duszący zapach pieczonego drobiu, baraniny lub wołowiny.

29-letni Dżalil Salahi nie potrafi minąć takich miejsc bez wzdrygnięcia.

Jeszcze gorzej jest w domu, gdy coś się przypali w kuchni. Nie jest w stanie tego znieść, od razu wychodzi złapać świeżego powietrza i powstrzymać napływ wspomnień.

■■■

To był ciepły letni poranek. Choć jeszcze nie wybiła siódma, Mariam Hussajni już siedziała na zajęciach o bazach danych. Poszła na te studia także dlatego, bo chciała, by jeszcze więcej łączyło ją ze starszą siostrą Nadżibą. Nadżiba ukończyła ten sam kierunek. Mariam robiła notatki, gdy usłyszała huk i poczuła lekki wstrząs. Coś musiało wybuchnąć bardzo blisko. Wykładowca myślał, że uczelnia została zaatakowana.

– Bądźcie cicho, sprawdzę, co się dzieje – powiedział.

Uczelnia była bezpieczna. W mediach społecznościowych od razu pojawiła się informacja, że do eksplozji doszło dwie ulice dalej. Studenci wraz z wykładowcą poszli na dach dwupiętrowego budynku zobaczyć, co się dzieje. Unosił się czarny dym.

W takich sytuacjach każdy dzwoni do bliskich, by upewnić się, że u nich w porządku. Mariam dzwoniła do Nadżiby na każdy z trzech numerów. Były wyłączone. Jej ręce i ciało się trzęsły. Miała złe przeczucia.

– Nie bój się, twojej siostrze nic się nie stało – uspokajał ją wykładowca.

## I.

Jego przyjaciele już biegli, Mudżibullah stał chwilę dłużej. Miał wątpliwość, czy to zamachowiec. Wreszcie dostrzegł, że mężczyzna trzyma detonator. „O mój Boże!" – dotarło do niego. Zaczął biec w stronę ministerstwa. Zza zakrętu wyłonił się drugi mężczyzna, także z kamizelką. Mudżibullah był w potrzasku. Zawrócił, chciał wyminąć tego korpulentnego, gdy ogarnęła go fala wybuchu. – Wzniósł się tuman kurzu. To było jak w hollywoodzkim filmie. Piszczenie w uszach, mózg się zatrzymuje, jakby był w trybie *slow motion* – wspomina.

Zamachowiec, który wyszedł zza zakrętu, wysadził bramę Niezależnej Komisji Wyborczej. Potem wysadził się drugi, a następnie na teren Komisji wtargnęło kilku uzbrojonych mężczyzn. W ataku, do którego przyznali się talibowie, zginęło przynajmniej dziewięć osób.

Przeraźliwe krzyki mieszały się z odgłosami walki. Mudżibullah pamięta kierowcę taksówki, który dostał odłamkiem, krew lała mu się z szyi jak z fontanny.

Mudżibullah był w szoku. Nie wiedział, co się dzieje, co ma robić. Myślał tylko, czy nie stracił portfela ani telefonów (zgubił jeden), czy nie krwawi. Był cały.

Z opresji wyratował go ochroniarz z terenu naprzeciwko Komisji Wyborczej. Uchylił drzwi na teren posesji, krzyczał do Mudżibullaha i innych, by pobiegli do niego się schronić. Ukryli się w stróżówce, w bezpiecznej odległości. Przez godzinę, a może dwie (Mudżibullah stracił rachubę czasu) ukrywali się tam, nasłuchując odgłosów walk.

■■■

To było trzy i pół roku temu.

W pobliskim szyickim meczecie trwała wieczorna modlitwa. Dżalil bawił się z córką w dużym pokoju. Siedzieli na podłodze i rysowali. Córka miała trochę ponad rok, niepewnie trzymała ołówek. Kolejne kółka i kreski miały przedstawiać jej rodzinę.

Zabawę przerwał huk i dźwięk pękającego szkła. Do wybuchu doszło w meczecie. Zginęło przynajmniej 39 osób, a 45 raniono. Odpowiedzialność za atak wzięła lokalna filia Państwa Islamskiego.

Rodzina Salahich wybiegła na zewnątrz z obawy, że po pierwszej eksplozji może nastąpić kolejna, która dosięgnie ich mieszkania. Po chwili jednak wrócili do środka.

Dżalil chciał tam iść. Nie pamięta, co nim powodowało. Rzucił żonie jakąś wymówkę w stylu „idę do sklepu" i ruszył do meczetu.

■■■

Mariam dzwoniła co rusz, bezskutecznie. Telefony Nadżiby milczały. Dodzwoniła się do jej koleżanki z pracy, a ta powiedziała, że minibus należący do Ministerstwa Kopalń i Ropy Naftowej był celem ataku zamachowcy samobójcy. Nadżiba, pracownica tej instytucji, prawdopodobnie się w nim znajdowała.

*32-letni Mudżibullah był w miejscu, które zaatakowali talibowie. Odtąd lęk nigdy go nie opuścił.*

*26-letnia Mariam długo nie mogła pogodzić się ze stratą siostry. Zamykała oczy i znów widziała ciała.*

*29-letni Dżalil wciąż wzdryga się, gdy czuje zapach spalenizny. Nie ma złudzeń, że kiedyś zapomni.*

Mariam poszła tam, gdzie to się stało. Widziała płonące pojazdy. Wszystko przysłaniał dym i ogień. Dwóch policjantów zabraniało podchodzić bliżej. Jacyś mężczyźni w cywilnych ubraniach powiedzieli, że rannych zabrano do pobliskiego szpitala.

W zamachu zginęły przynajmniej 24 osoby, a ponad 40 raniono. Do ataku przyznali się talibowie.

## II.

Gdy przycichło, Mudżibullah wraz z innymi wymknął się. Złapał autobus. Nie był do końca świadomy, co robi. Musiał wyglądać dziwnie: cały brudny, wyglądający na przerażonego. Współpasażerowie pytali, czy wszystko z nim w porządku.

Pojechał do domu kuzyna. Tamten otworzył drzwi. Zobaczył krewnego, który wyglądał, jakby z twarzy odpłynęła mu krew. Mudżibullah poprosił o szklankę wody i zasnął. Spał ponad trzy godziny. Dziś mówi, że jakby zapadł w śpiączkę.

■■■

Z zewnątrz meczetu nie było widać wielu uszkodzeń. Zamachowiec wysadził się w środku podczas modlitwy. Z meczetu wybiegali ludzie, wielu z nich rannych. Dopiero wtedy Dżalil zdał sobie sprawę, że stało się coś strasznego.

Wszedł do meczetu i wryło go w ziemię. Dosłownie. Przez chwilę nie mógł się ruszyć, jakby stracił kontrolę nad ciałem. Budynek wypełniał dym, a przez niego przebijały się światła latarek. To ludzie pomagali rannym i szukali bliskich. Ranni błagali o pomoc, ale trudno było ich dostrzec w dymie. Dżalil czuł charakterystyczny zapach po wybuchu przemieszany ze swądem spalonych ciał. Stąd wstręt do szaszłyków i przypalonego jedzenia.

– Stałem, patrzyłem i płakałem – wspomina. – Nie wiedziałem, co robić ani co się ze mną dzieje.

Wreszcie wszedł w chmurę dymu. Kaszlał, dusił się. – Gdy stałem obok, dym był cały czarny. Zdawało mi się, że wewnątrz nic nie będzie widać. Jak w niego wkroczyłem, to było jasno i wyraźnie widziałem ludzi na ziemi – mówi.

Pierwszym, co dostrzegł, była oderwana głowa.

■■■

Mariam weszła do szpitala.

– Nawet w powieściach nie czytałam o takich rzeczach. Schody przed wejściem były we krwi. W środku zobaczyłam leżące ciała i zemdlałam – wspomina 26-latka.

Nie znalazła siostry. Na spisie poszkodowanych wywieszonym w szpitalu podali, że Nadżiba jest lekko ranna w twarz i rękę. Wraz z bratem, krewnymi, przyjaciółmi i kolegami Nadżiby z pracy próbowali ustalić, co się z nią stało. Szukali w kolejnych szpitalach. ↦

↦ W drugim także pełno było krwi, ciał i ludzi, którzy, tak jak Mariam, chcieli dowiedzieć się o losach bliskich. Na liście znalazła Nadżibę. Poszła do sali, w której miała się znajdować. Okazało się, że to inna osoba o tym samym imieniu.

Stres, lęk i wycieńczenie dawały o sobie znać. W ciągu dnia Mariam mdlała jeszcze kilka razy. W kolejnych szpitalach oglądała zmasakrowane ciała, spodziewając się, że w którymś z nich dojrzy siostrę.

### III.

Koszmary we śnie i na jawie nękały Mudżibullaha przez pół roku. Najgorzej, gdy zostawał sam, wtedy wspomnienia nie dawały mu spokoju.

Przez miesiąc po zamachu się jąkał. Bał się też ludzi. Każdy, kto wyglądał jak tamten zamachowiec, wzbudzał w nim lęk. A mężczyzn noszących tradycyjne stroje w Afganistanie jest multum. Poza ojcem Mudżibullah nie chciał widzieć nikogo innego (reszta ich rodziny była już wtedy w Niemczech). Próbował ciągle czymś się zajmować. Wieczorem po pracy czytał książki lub grał na telefonie, byle myśli nie wędrowały ku tamtym przeżyciom.

Z dołka wyciągali go krewni i przyjaciele. Zabierali go z domu, zaciągnęli do amatorskiej drużyny piłkarskiej, a raz zabrali na wakacje do Dubaju, choć i tam wspomnienie o spokojnie sunącym po ulicy mężczyznie w samobójczej kamizelce nie dawało mu spokoju. Powoli dochodził do siebie.

■■■

Okoliczni mieszkańcy, sklepikarze, kierowcy: kto mógł, wynosił rannych z meczetu. Prywatnymi autami wieziono ich do szpitali. Taka samoorganizacja daje rannemu większe szanse na przeżycie, gdy służba ratunkowa nie radzi sobie najlepiej. Karetki przyjechały jakieś pół godziny po wybuchu, policja jeszcze później.

W tym czasie udało się wynieść wielu rannych, zabitych, a także pozbierać oderwane kończyny, które wybuch porozrzucał po świątyni.

Dżalil nie miał doświadczenia w takiej pomocy. Musiał się przemóc, by dotykać ludzi, którzy czasami wyglądali jak jedna wielka rana. Pamięta, że jednemu noga dyndała na kawałku skóry.

■■■

Mijały godziny. Mariam trafiła do czwartego szpitala. Lekarz dał jej maseczkę i rękawiczki. Znowu oglądała ciała. Podnosiła prześcieradła i patrzyła na kolejne okaleczone zwłoki. Cała się trzęsła i czuła się słaba, ale już nie płakała. Nie była w stanie.

W końcu zobaczyła Nadżibę. Choć z trudem ją rozpoznała. Twarz była spalona. Ręka oderwana, ale przez to lepiej się zachowała. Na dłoni siostry Mariam dostrzegła trzy pierścionki: jeden od narzeczonego, drugi od babci i ten trzeci, który był prezentem od niej.

Po teście DNA można było zabrać ciało. Mariam umieściła siostrę w trumnie. Wraz z bratem i krewnymi udali się w 400-kilometrową podróż do prowincji Daikundi, z której pochodzą. Trumnę przywiązali do dachu samochodu. Letnie słońce grzało, zapach rozkładu wkradał się do auta.

Droga zajęła im 20 godzin. Na miejscu udali się prosto na cmentarz, by pochować Nadżibę. Mariam zabroniła otwierać rodzinie trumnę. Tylko ona i brat widzieli ciało po zamachu.

### IV.

– Rok 2014 był najgorszym w moim życiu. Byłem młody, w pośpiechu, pełen energii, a ten atak mnie zniszczył od wewnątrz. W tym czasie człowiek powinien cieszyć się życiem. Straciłem rok, nim w pełni doszedłem do siebie – przyznaje Mudżibullah.

Lęk jednak nigdy go nie opuścił. Daje o sobie znać zwłaszcza, gdy bezpieczeństwo w Kabulu się pogarsza. Jak w ostatnich miesiącach, gdy stolicą Afganistanu wstrząsnęła fala zamachów z użyciem tzw. lepkich bomb i zabójstw [patrz „TP" nr 10 – red.]. Celem stali się dziennikarze, aktywiści, obrońcy praw człowieka i pracownicy administracji państwowej.

Mudżibullah i jego koledzy proszą ciągle taksówkarza, który wozi ich do pracy, by sprawdzał podwozie, czy nie umieszczono tam ładunku. Po pracy niemal zawsze od razu wraca do domu. Nie chce przebywać na ruchliwych ulicach, gdzie nie wiadomo, skąd może oczekiwać zagrożenia. Gdy dociera do pracy, wysyła wiadomość żonie. Zamach, nawet w innej części miasta, oznacza zawsze wiadomość od niej z pytaniem, czy nic mu się nie stało. Jeśli Mudżibullah wraca do domu z kierowcą, którego nie zna, prosi, by zatrzymał się kilka przecznic od domu – tak aby nie wiedział, gdzie mieszka. Teraz obcym nie można zaufać.

Gdy dochodzi do eksplozji gdzieś w pobliżu, a Mudżibullah słyszy wrzaski rannych, od razu przed oczami widzi wydarzenia z 2014 r. Skronie pulsują, a obrazy w głowie nabierają tempa: kurz, wrzawa, huk, pisk, ofiary, rozerwane ciała, zniszczony samochód. Wszystko to od razu przychodzi mu na myśl.

■■■

Przed wejściem do domu Dżalil zobaczył, że do buta przykleiły mu się kawałki ludzkiego mięsa i krew. – Do dzisiaj, gdy nadepnę na coś miękkiego, przypominam sobie to wydarzenie – stwierdza.

Wślizgnął się, bo nie chciał pokazywać się żonie i córce. Ubranie zapakował w plastikową torbę i wyrzucił.

Żona od razu na niego nakrzyczała, bo nie mogła zrozumieć, po co poszedł do meczetu.

W mieszkaniu panowała ponura atmosfera. Dżalil włączył telewizor, puszczał muzykę z telefonu. Był przerażony, ale nie chciał dać po sobie tego poznać. Gdy położyli się do łóżka, nie mógł zasnąć.

Wspomnienia nie opuściły go do dzisiaj. Każdy huk wzbudza jego lęk. Od razu przypominają mu się zapachy i sceny. Czasami się wtedy intensywnie poci. – W takich sytuacjach czuję to samo, co czułem, będąc w meczecie – mówi.

Dżalil potrzebuje wówczas godziny lub dwóch, aby się uspokoić. Nie ma złudzeń, że kiedyś uda mu się zapomnieć.

■■■

Po tygodniu Mariam wróciła do Kabulu. Nie mogła spać. Wystarczyło, by na chwilę zamknęła oczy, i znów widziała szpital, krew, ciała.

Odcięła się od znajomych i przyjaciół, długo nie potrafiła nikomu zaufać. Odseparowała się nawet od rodziny. Chciała być sama, a jednocześnie czuła się samotna jak nigdy.

Mijały miesiące od śmierci siostry. Mariam otrzymała wsparcie psychologiczne i z czasem czuła się lepiej. Zmieniła otoczenie. Postanowiła zacząć życie na nowo.

– Za każdym razem to był mały krok. Pytałam siebie: moja siostra odeszła, ale dlaczego teraz ja mam niszczyć samą siebie? – mówi dziś.

Mariam ma nadzieję, że złe wspomnienia uda się w końcu przezwyciężyć.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca ALISHER SHAHIR

# Niemiecki plan B

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

**Niezadowoleni z niedoboru szczepionek, Niemcy stawiają na masowe i regularne testy. Negatywny wynik otwiera drzwi do normalności znanej sprzed epidemii.**

THOMAS KIENZLE / AFP

*W Tybindze negatywny test pozwala usiąść w restauracyjnym ogródku. 20 marca 2021 r.*

Michał Frost co poniedziałek z powodu pandemii roni kilka łez. Na szczęście obok jest zawsze pracownik apteki z chusteczką w ręku. Aby prawidłowo przeprowadzić tzw. szybki test na obecność koronawirusa, pałeczka musi zostać włożona do każdej z dziurek nosa na głębokość ok. 2 cm. Frost, Polak mieszkający i pracujący od lat w Lipsku, nie ukrywa, że pobieranie wymazu to nic przyjemnego. – Podczas testu ściskam rękoma mocno czapkę – zdradza w rozmowie z „Tygodnikiem".

Po otarciu łez idzie do biura. Po wpisaniu otrzymanego kodu, na ekranie komputera widzi wynik swojego testu. Jak dotąd zawsze negatywny. Do stałego testowania zachęcił go właściciel studia architektonicznego, w którym pracuje. Szef również co tydzień poddaje się testowi. W ramach obowiązków wizytuje place budowy, na których przewija się dużo osób. Michał Frost termin testu ustala wcześniej online, tym samym unika kolejek. Po miesiącach przepracowanych w domu, cieszy się z powrotu do biura.

**PREWENCYJNE TESTY** to niemiecki plan B na walkę z epidemią. Plan A, czyli akcja szczepień, idzie bowiem jak po grudzie. Negocjacje i zamówienia szczepionek prowadzi Bruksela. Jak na gust niemiecki (i nie tylko niemiecki), za wolno. Dopóki zatem producenci nie zapewnią wystarczającej ilości preparatów, Niemcy chcą powiązać znoszenie niektórych obostrzeń z obowiązkiem wykonania testu.

Jak może wyglądać taka nowa normalność, doświadczają mieszkańcy Tybingi, miasta w Badenii-Wirtembergii. Od połowy marca każdy mieszkaniec może bezpłatnie przetestować się w jednym z dziewięciu punktów ulokowanych w centrum. Po odczekaniu kilkunastu minut i uzyskaniu negatywnego wyniku, pracownik punktu wręcza szczęśliwcowi „dzienny bilet". To nie lada gratka, bo daje dostęp na 24 godziny do większości atrakcji miejskich znanych sprzed pandemii. Można zrobić zakupy, usiąść w restauracji (choć tylko w ogródkach), a wieczorem zasiąść w fotelu w kinie, teatrze lub sali koncertowej.

Bilet nie zwalnia z reguł takich jak noszenie maski. Ale wieść o dostępie do tak wielu usług po zrobieniu bezpłatnego testu stała się momentalnie hitem w kraju, który od listopada 2020 r. jest pogrążony w lockdownie. Jak wyliczyli dziennikarze publicznej telewizji ARD, ponad 120 miast i powiatów już poszło w ślady Tybingi lub to planuje. A od wtorku 6 kwietnia podobne regulacje miały zacząć obejmować Kraj Saary, jeden z landów.

**ZAINTERESOWANIE TESTAMI** znacznie wzrosło przed Wielkanocą. Gatien Luginsland, 30-latek z Lipska, nabył je w supermarkecie. O tym, że partia testów do własnego użytku będzie dostępna rano tego dnia, dowiedział się od koleżanki. Tej z kolei informację podszepnęła kasjerka. Luginsland stanął przed wejściem jeszcze przed siódmą rano, dzięki czemu udało mu się kupić pięć zestawów po 4,95 euro za sztukę. Testy w supermarketach i drogeriach pojawiają się wciąż nieregularnie i są od razu wykupywane.

Pierwsze dwa zestawy mężczyzna wykorzystał, aby przetestować siebie i 3-letnią córkę. Miała katar, a chciał być pewien, że podczas Wielkanocy mogą odwiedzić rodzinę. – Oczywiście, że płakała – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem". Ale negatywny wynik pojawił się już po paru minutach. Kolejne trzy zestawy Luginsland zostawił dla siebie, żony i dziecka na czas świąteczny. Przydadzą się, by znów przetestować się między odwiedzinami. – Dla wielu znajomych to już rutyna. Przed odwiedzinami idą się przetestować – podkreśla. W Lipsku jest już ok. 60 punktów, które oferują taką usługę, większość z nich bezpłatnie. Bogata sieć takich miejsc to już standard w każdym większym niemieckim mieście.

**W KWIETNIU TESTOWANIE** upowszechni się jeszcze bardziej. Wdrożenie własnych procedur testowych planuje 20 z 30 największych koncernów. Część landów wprowadza obowiązek regularnego badania pracowników szkół i przedszkoli. W okresie świątecznym możliwość przetestowania się na godzinę przed udziałem w nabożeństwie wprowadziły pierwsze parafie ewangelickie. Jeszcze w tym miesiącu setki nowych bezpłatnych punktów powstaną przy sieciach supermarketów i drogeriach.

Starania te nie uchronią kraju przed trzecią falą – wciąż odnotowuje się tu przeciętnie kilkanaście tysięcy nowych infekcji na dobę. Ale pomagają łagodzić jej skutki i jako półśrodek koją nastroje, nadszarpnięte przez dłużące się oczekiwanie na szczepionki. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

# Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

## Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

## #DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

## Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

## Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

## Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

## Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

**weź, słuchaj!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

## „Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

ANDRZEJ

# Stasiuk:
## *Nisko, Rzeszów*

Byłem akurat na podwórku, gdy M. zaczęła wołać. Wołała głośno, jakby coś się stało. Psy się pogryzły albo barany na śmierć pobodły. Idę szybko z odsieczą, ale inwentarz zachowuje się spokojnie, natomiast już z daleka M. pyta: „Gdzie jest nisko?". Nic nie rozumiem, więc na wszelki wypadek odpowiadam: „To zależy...". „Miejscowość!". „Aaa, miasto. Za Rzeszowem. Na północ. W latach 70. był tam pułk kolejowy". „A skąd ty to wiesz?". „W Rzeszowie w wojsku byłem i koledzy opowiadali". „W latach 70. ubiegłego wieku" – uzupełnia M., a potem dodaje: „Jest miejsce. Jutro".

Bo nie wiadomo kiedy, ale staliśmy się starszym państwem po sześćdziesiątce. I w związku z tym wpisaliśmy się jakiś czas temu na listę szczepienną. Parę dni temu przyszło zawiadomienie, że M. ma się szczepić w Książu Wielkim, a ja w Rzeszowie. W dodatku w parodniowym odstępie. Ona na zachód, ja na wschód. Do Książa Wielkiego 160 km, do Rzeszowa jakieś 120. W przeciwne strony. Dziwne, bo jesteśmy małżeństwem od 30 lat, rząd bez przerwy trąbi o polityce prorodzinnej, a tutaj system próbuje nas rozdzielić. Na odległość 280 km plus strata dwóch dni oraz zwiększony ślad węglowy.

M. czuje się w sieci jak ryba w wodzie. W odróżnieniu ode mnie. Przeczesywała ją w poszukiwaniu wolnych miejsc i terminów. Musiało to przypominać jakąś perwersyjną odmianę *last minute*. I w końcu – bingo, Nisko, ten sam dzień i tylko dwie godziny przed moim terminem. No i podkarpackie. Dobrze jest się wyrwać z małopolskiego w podkarpackie. Zawsze to robiłem i zamiast do Nowego Sącza wolałem pojechać do Krosna. Do granicy owych dwóch światów mam raptem 10 km. No i pojechaliśmy. Z ulgą.

Bo niby izolacja, koniec świata, droga się kończy, dalej tylko park narodowy i całe dnie można nikogo nie spotkać. Można chodzić bez maseczki, bo po swoim albo po lesie. Raz na parę dni wyskoczyć do wiejskiego sklepiku po najprostsze rzeczy. Ostatnio mają nawet porządne wino. Właściwie od dawna tak żyliśmy przyzwyczajeni do samotności. Teraz ta samotność jest tylko trochę większa, bo przestali przyjeżdżać goście, a i my nigdzie nie wyjeżdżamy. No ale jednak ulga, bo mimo spokoju następujących po sobie dni i pór, świat jednak zgęstniał. Stężał i jakby znieruchomiał. I jakby trochę chwytał za gardło. Delikatnie, a nieustępliwie.

Więc pomyślałem: „Zaszczepię się, to puści". Pojechaliśmy. Przez marcowy kraj do Niska. Z jednym postojem na stacji benzynowej. Trzydziestoletni adonis, pięknie wystrzyżony po bokach i rzecz jasna z brodą, kupował latte. Bez maseczki. Jakbym co dwa tygodnie chodził „do barbera" i zostawiał stówę, to też bym nie nosił. Ale noszę. Czarną. W kolekcji mam nawet jedną z trupią czachą. „Zaszczep się i będziesz miał spokój z brodatymi adonisami" – pomyślałem.

Jakiś przygaszony był kraj. Przez marzec i przez chyłkowość na ulicach. Obywatele się obchodzili. Jakiś ukradkowy kraj był. W Nisku ludzi ledwo, ledwo, chociaż popołudnie ciepłe. Pani chowała plastikowe kwiaty do kwiaciarni. Jak prawdziwe przed przymrozkiem. Udręczony własną chemią pan szedł noga za nogą, na niebieskiej maseczce osiadł mu ciemny ślad oddechu. Przed szpitalem było pusto. Stały trzy karetki. Wchodziło się jakoś z boku pod betonowym nawisem. Pomyślałem o prosektorium, bo widziałem to w jednym krakowskim szpitalu, gdzie szczepienia i nieboszczycy sąsiadowali ze sobą, a starsi ludzie byli nieco zdezorientowani i rozglądali się bezradnie. Ale M. weszła bez trwogi i nie było jej może ze 20 minut. „Szybko" – powiedziałem. „Szybko, bardzo uprzejmie i w ogóle". „Nie było ludzi?". „Trochę facetów w twoim wieku". Od jakiegoś czasu przyzwyczajałem się do myśli, że należę już do „facetów w moim wieku".

W Rzeszowie było inaczej. Świecił Media Markt, świeciła Castorama, świeciła Galeria Nova, świecił Full Market, świeciła Plaza Rzeszów. Tyle że świeciły na darmo, bo były pozamykane. Ale i tak kochałem to miasto. Służyłem tutaj w wojsku i siedziałem w więzieniu, ponieważ z tego wojska zdezerterowałem. Wielkie dni. Parafrazując Hrabala: jak ktoś jest młody, głupi i odważny, to i w Rzeszowie może być Kilimandżaro. Robi się różne rzeczy i czeka, co będzie. To się nazywa „rozpoznanie bojem". No a teraz, po tych wszystkich latach mój Rzeszów miał ocalić moje zdrowie, a może i życie. A już na pewno sprawić, że będę miał gdzieś brodatych adonisów.

Szczepili w częściowo zamkniętym centrum handlowym. Opustoszyli całe piętro. Postawili kilkadziesiąt szarych boksów i poczekalnie z pleksiglasu. Nie było tłumu. Co drugie krzesło zajęte. Dostałem kwity do wypełnienia oraz ankietę na temat raka. Pewnie dla skrócenia oczekiwania. Napisałem, że w ogóle nie jem mięsa, tylko jarzyny i owoce. Co mi tam. Trochę się porozglądałem i wydawało mi się, że jestem najmłodszy i że przyjechałem tutaj z daleka i trochę jednak dla zabawy. Nikt nie rozmawiał. Ludzie wyglądający na stare małżeństwa coś szeptali. No ale znowu większość to byli faceci. Światło odbijało się od pleksiglasu, od plastikowych ścian i siedzieliśmy w cichej i szarej zawiesinie. W akwarium wypełnionym bezruchem. A jak tak będzie wyglądał czyściec? Takie siedzenie i czekanie. Że może jednak nie umrzemy. Że jak zrobią nam zastrzyk, to pożyjemy, może nie wieczność, ale chociaż jeszcze trochę. Takie miałem myśli w tej nieco nadprzyrodzonej ciszy i nieruchomości. Przypomniała mi się wieczność w swidrygajłowskiej łaźni. Tylko pająków nie było i więcej miejsca oraz higieny. Wstałem i zaraz jakiś facet, powiedzmy, że w moim wieku, bo przecież miał maskę, wysyczał: „Proszę się nie pchać, proszę się odsunąć". Cisza i strach na tym opróżnionym piętrze panowały. Trochę udawałem, że mnie tam nie ma. Że wpadłem sobie popatrzeć w ramach nawiązania reporterskiego kontaktu z rzeczywistością. Pani doktor w małym boksie zrobiła szybki wywiad. Miała piękne oczy. Panie pielęgniarki w następnej kajutce pocieszały mnie, że nie będzie bolało. Odpowiedziałem, że spoko, bo jak trzeba, to sam sobie robię zastrzyki, nie mdleję. Jak już zrobiły, to powiedziały, żebym przez piętnaście minut posiedział na krzesełku za pleksiglasem. Ale umknąłem jak ostatni tchórz. Nie miałem już tej odwagi, co niegdyś w tym mieście. Tak samo bałem się śmierci, jak i wieczności. ©

ARCHIWUM PRYWATNE AUTORA x6

*Roman Korzeniewski na wycieczce w górach, zdjęcie niedatowane.*

# ZUCHWALEC

Międzynarodowe grupy szmuglerskie w okupowanej Europie to temat tyleż fascynujący, co słabo znany. A jakby tego było mało, mamy tu też brawurowe uwolnienie więźnia z obozu pod Hamburgiem.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Był człowiekiem o silnym charakterze. Trudno jednak było mi uwierzyć, że w czasach owładniętych grozą terroru III Rzeszy, jako 21-letni chłopak wyprawił się do położonego pod Hamburgiem Konzentrationslager Neuengamme, by uwolnić stamtąd ojca.

Dopytywany o szczegóły, wyjaśniał niewiele. Rzucał tylko, że miał dobre papiery, był przebrany w niemiecki mundur i udawał, że ma kłopoty z wymową, bo bolą go zęby.

Inne jego wspomnienia z czasu wojny były równie zdawkowe. Brzmiały podobnie: sensacyjnie, wręcz fantastycznie. Napomykał, że bywał w różnych miejscach Europy, że we Włoszech miał dziewczynę, że parę razy groziła mu kara śmierci, ale udało mu się wywinąć.

Nigdy nie zdołałem go nakłonić, by opowiedział więcej. Zbywał obietnicą, że zostawi wspomnienia. Podobno je przygotowywał. Ale po jego śmierci zapisków tych nie odnaleziono.

Okazało się za to, że w rodzinnych archiwach oraz w Archiwum IPN zachowały się dokumenty, które potwierdzają tamte skąpo wydzielane informacje. Z ich pomocą można zanurzyć się w wydarzenia, które wydają się aż niewiarygodne.

## ŚLAD PIERWSZY: trzy listy

Pierwszym tropem, na jaki trafiam, są trzy kartki pocztowe.

Jedna pochodzi z 3 listopada 1944 r., a jej adresatem jest Zofia Grześkowiak z Poznania (wówczas Posen w prowincji Warthegau). Nadawca pisze: „Kochana Ciociu, 1-go dostałem od Janinki list od tatusia, noc nie spałem, ale wykombinowałem, że 2-go z rana miałem papiery na Hamburg do tatusia. Co będzie to nie wiem, czasu nie tracę, głowa pracuje, obecnie siedzę w pociągu Berlin-Hamburg. Jestem trochę chory, ale to nieważne, na chorowanie w łóżku nie ma czasu. Od wczorajszego dnia postarzałem się o jakieś 10 lat, wszystko nerwy (...), co u mnie na porządku dziennym" (pisownia oryginalna).

Druga kartka trafia do Marianny Chmielewskiej, zamieszkałej w Mogilnie (także Warthegau): „Kochana Babciu, (...) 2-go jechałem już (...) ratować ojca. Czy mi się uda, nie wiem, popróbuję – jeżeli się uda, będzie to mym ostatnim wyczynem – tak mam poszarpane nerwy. Daj Boże, żeby się udało".

Trzecia zostaje wysłana z Drezna 8 listopada 1944 r., a adresatką znów jest Zofia: „Hurra! Tatuś wolny – jedzie ze mną do Wiednia. Zdrowia i strachu kosz-

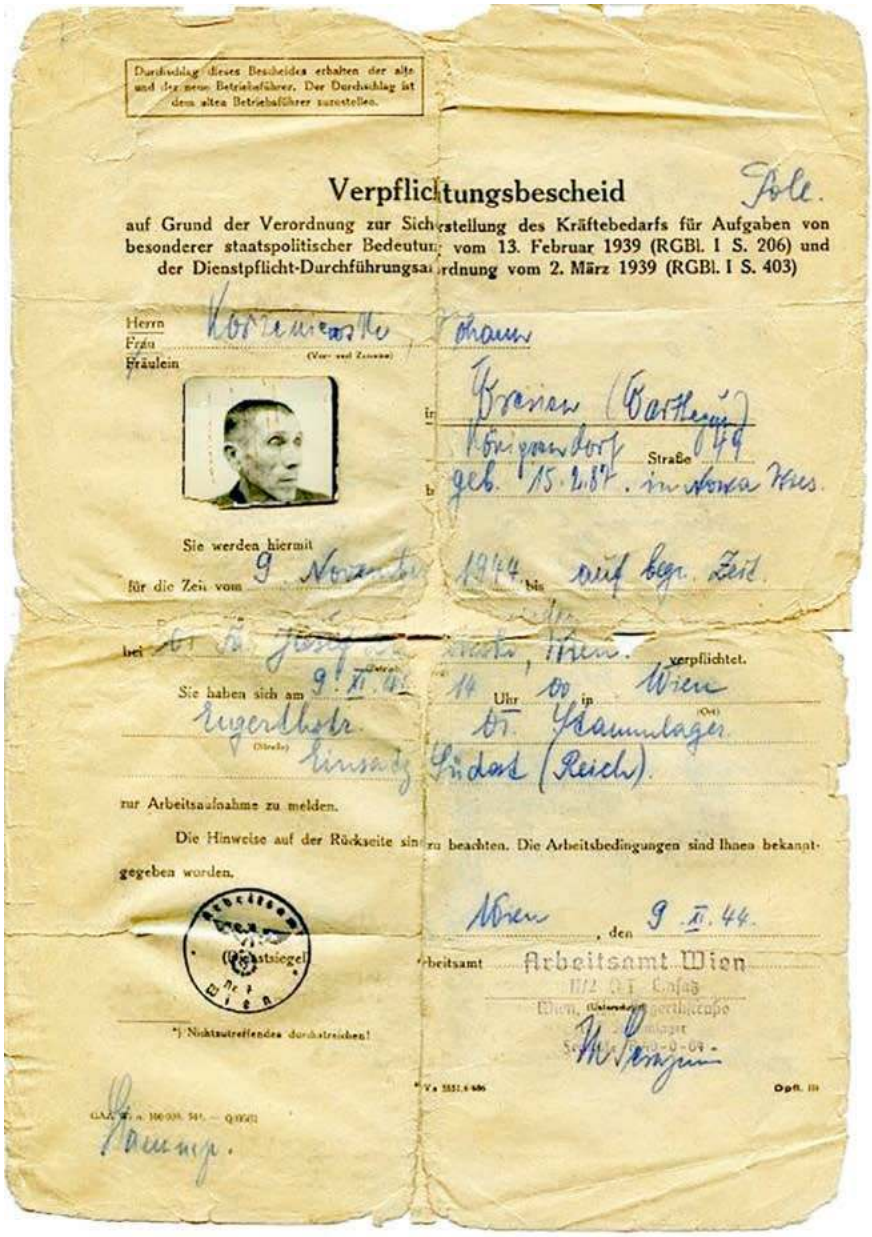

Durchschlag dieses Bescheides erhalten der alte und der neue Betriebsführer. Der Durchschlag ist dem alten Betriebsführer zuzustellen.

**Verpflichtungsbescheid**

auf Grund der Verordnung zur Sicherstellung des Kräftebedarfs für Aufgaben von besonderer staatspolitischer Bedeutung vom 13. Februar 1939 (RGBl. I S. 206) und der Dienstpflicht-Durchführungsanordnung vom 2. März 1939 (RGBl. I S. 403)

Herrn / Frau / Fräulein

Sie werden hiermit für die Zeit vom 9 November 1944 bis auf begr. Zeit bei Dr. Fr. Josef [illegible], Wien verpflichtet.

Sie haben sich am 9. XI. 44 14 Uhr 00 in Wien Eugenthstr. Dr. Stammlager Einsatz Südost (Reich) zur Arbeitsaufnahme zu melden.

Die Hinweise auf der Rückseite sind zu beachten. Die Arbeitsbedingungen sind Ihnen bekanntgegeben worden.

Wien, den 9. XI. 44.

Arbeitsamt Wien

*) Nichtzutreffendes durchstreichen!

*Dokument legalizujący pobyt Jana Korzeniewskiego (ojca Romana) w Wiedniu, 9 listopada 1944 r.*

towało, ale się zrobiło. Kończę – piszę z drogi – już z Dresden – jutro będziemy w Wiedniu. W Wiedniu resztę załatwię już sam – tam mam plecy".

Nadawca kartek to bohater tej opowieści: Roman Korzeniewski, sprawca uwolnienia więźnia z KL Neuengamme. Zofia Grześkowiak to siostra jego matki, a wspomniana w pierwszym liście Janinka – to jedna z trójki jego rodzeństwa.

## ŚLAD DRUGI: Wiedeń

Z kolejnych dokumentów, jakie odnajduję, można się dowiedzieć, co działo się dalej, już w Wiedniu.

Na 9 listopada 1944 r. datowany jest wystawiony tam dokument, potwierdzający, że ojciec Romana, Jan, jest zatrudniony w Organisation Todt (to paramilitarna organizacja budowlana). Dokument prawdopodobnie jest fałszywy – miał być legalizacyjną przykrywką.

Natomiast w dotyczącym Romana oświadczeniu, złożonym już po wojnie przez Irenę Wieloszewską (przebywającą w tym samym czasie w Wiedniu), czytamy: „Zawdzięczam [mu] życie przez wyratowanie mnie z obozu w Strashofie z Wiednia, gdzie przebywałam po aresztowaniu we Lwowie za udzieloną pomoc Żydom przy likwidacji obozu Janowskiego [w tym obozie, we Lwowie, więziono Żydów – red.]. (...) Ukrył mnie i dwie Polki pochodzenia żydowskiego w obozie pracy w Gumtramsdorfie koło Wiednia, gdzie znajdowało się szereg osób jemu zawdzięczających życie. Pamiętam, że (...) zdobył fałszywe papiery, na podstawie których udało mu się wydobyć ojca (...) z obozu k/Hamburga. Ojciec jego przebywał ukryty w tym samym pomieszczeniu, w którym przebywałam ja i (...) Żydówka ze Lwowa. Równocześnie zaznaczam, że sama byłam świadkiem uratowania życia rodzinie polskiej z powstania warszawskiego (...), którą to rodzinę (...) nieprzeciętnym sprytem wyciągnął od niechybnej śmierci, ukrywając ich w starych grobowcach przed frontowymi oddziałami SS".

Cytowane oświadczenie pochodzi z akt sprawy (zachowanych fragmentarycznie w rodzinnym archiwum), którą w czasach stalinowskich prowadzono przeciwko Romanowi w Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Obwiniono go i usunięto z szeregów PZPR za, jak to ujęto, łamanie dyscypliny i etyki partyjnej.

Jednym z zarzutów był „udział w międzynarodowej szajce przemytniczej w czasie okupacji".

### Szmuglerski biznes po okupowanej Europie

Zaintrygowany tym zarzutem, szukam informacji o czarnym rynku w okupowanej Europie. Temat nie doczekał się dotąd solidnego opracowania, gdzieniegdzie można trafić na śladowe o nim wzmianki. Np. Ferdynand Goetel we wspomnieniach „Czasy wojny" notuje: „Przemyt (...) sięgał do Rzeszy, Belgii i Francji (...). Przetok złota i klejnotów przestawał również być wewnętrzną sprawą Warszawy. Waluciarze warszawscy obracali dewizami i złotem w całej zajętej przez Niemców Europie i twierdzili, może i słusznie, że ceny i kursy »dyktuje« Warszawa, a nie Paryż czy Bruksela".

Ciekawe źródło to także artykuł Jacka Szczerby o Jerzym Lipmanie, polskim operatorze filmowym (w „Gazecie Wyborczej" z 12 lutego 1999 r.). W przebraniu członka Organisation Todt lub Luftwaffenbau (formacji budowlanej sił powietrznych), wyprawiał się on w celach handlowych na okupowany Wschód, a także do Berlina, Francji, Austrii, Włoch i Węgier. „Lipman, który od 1942 należał do podziemnych struktur PPS [Polskiej Partii Socjalistycznej – red.], zajmuje się w tym ↦

↦ czasie dostarczaniem broni dla Podziemia. Wiemy o jakichś transakcjach z Jugosłowianami i Bułgarami" – pisze autor artykułu. I dalej: „W drugą podróż do Mediolanu Lipman wyruszył (...) z sześcioma chłopakami z Grochowa. Oficjalnie mieli skierowanie na budowę w Piacenzie. W rzeczywistości handlowali, rozbrajali Włochów i Niemców, zyskując papiery i broń".

Z kolei we wspomnieniach Bernarda Konrada Świerczyńskiego „Przemytnicy życia" czytamy: „Tu [przy warszawskiej knajpie „U Antka"] zatrzymywały się wielotonowe cysterny z melasą (...). Część produkcji [tj. już bimbru] rozlana w butelki Monopolu Spirytusowego, a nawet w oryginalnych flaszkach niemieckich, wędrowała (...) do Rzeszy, stamtąd szły aparaty fotograficzne Leica i Exakta, chemikalia, a jak dobrze poszło, to amunicja i broń".

Świerczyński przytacza nacechowany warszawskim fasonem dialog:

„– Potrzeba sześć mundurów organizacji Todta, auswajsy, karty urlopowe, marszbefele [rozkazy podróży] i wojskowe karty na żarcie. Kierunek Włochy.

– A na cholerę że im taka wycieczka?

– Mają świnki [złote monety pięciorublowe], chcą przywieźć trochę jedwabiu, pończochy. (...)

– Samobójcy.

– Jacy samobójcy? To odczajniaki [cwaniacy] z Marymontu, już trzeci kurs robią.

– I wszyscy żywe wracają?

– Czasami".

## ŚLAD TRZECI: ankiety, życiorys, wspomnienie

Relacje na temat międzynarodowego szmuglu po Europie idą w parze z dalszym pozyskiwaniem informacji o losach Romana. Cenne źródło to odnalezione ankiety personalne (w rozproszonych rodzinnych archiwach) i spisany przez niego na brudno życiorys (zachowany również w rodzinnych zbiorach, wśród dokumentów dotyczących sprawy prowadzonej przez Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej).

Wedle tych źródeł, przychodzi na świat w 1923 r. w rodzinie robotniczej na warszawskiej Ochocie. W 1939 r. fałszuje datę urodzenia (na rok 1921) i zgłasza się na ochotnika do wojska. Skierowany do Modlina, służy w łączności, trafia do niewoli, ale ucieka i wraca do Warszawy. Tu dwukrotnie zatrzymany w łapankach, zostaje wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. Udaje mu się zbiec, a po drugim razie musi ukrywać się przed Gestapo. „Ukrywając się i nie mając żadnych środków do życia – napisze potem w życiorysie – przyłączyłem się do zespołów zajmujących się szmuglem międzynarodowym. Po kilku wyjazdach zostałem aresztowany i osadzony w ciężkim więzieniu w Kielcach, gdzie przebywałem do 1.8.1944. Likwidacja więzienia przed zbliżającym się frontem ułatwiła wykupienie mnie oraz kilku innych kolegów".

Po uwolnieniu podąża ku objętej powstaniem Warszawie. Zatrzymuje się w Raszynie, gdzie kontaktuje się z oddziałem niewielkiej konspiracyjnej organizacji Polska Armia Ludowa (nie mylić z komunistyczną Armią Ludową). Znów ujęty przez Niemców, zostaje wywieziony na przymusowe roboty do Wiednia. To stąd udaje się do Neuengamme, by uwolnić ojca. Gdy w kwietniu 1945 r. Armia Czerwona zajmuje Wiedeń, organizuje powrót ocalonych przez siebie osób do Polski.

Kolejny ślad, na jaki udaje mi się trafić, to urywkowo omówione wspomnienia siostry Romana, Janiny Korzeniewskiej Clark, dostępne w internecie na stronach amerykańskich mediów. W jednym z omówień zapisano: „Kiedy ojciec Janiny został wysłany do obozu pracy, (...) brat i partyzanci ukradli niemiecki samochód służbowy, udali się do obozu i zażądali jego uwolnienia. W innym przytoczono słowa Janiny: Mój młodszy brat podszył się pod wysokiego rangą niemieckiego oficera. Kiedy ojciec rozpoznał, że oficerem (...) był jego syn w przebraniu, krzyknął »Roman«. Mój brat wrzasnął »Jak śmiesz« i uderzył ojca w twarz. Brat był rosłym człowiekiem".

## ŚLAD CZWARTY: powojenne archiwa

Ostatnim etapem poszukiwań jest Archiwum IPN. Prowadzi mnie tam przypuszczenie, że tajne służby PRL musiały interesować się kimś, kto od połowy lat 50. zajmował się handlem zagranicznym.

*Kartka z Drezna do Zofii Grześkowiak z informacją o uwolnieniu Jana*

*Dokument potwierdzający zwolnienie Romana Korzeniewskiego z niemieckiego więzienia w Kielcach, datowany na 1 sierpnia 1944 r.*

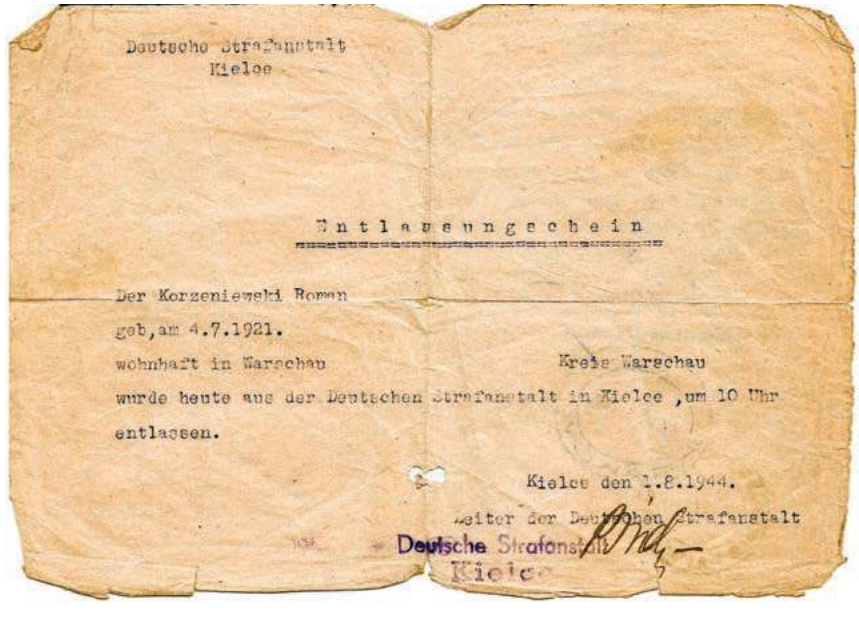

Deutsche Strafanstalt
Kielce

Entlassungschein

Der Korzeniewski Roman
geb, am 4.7.1921.
wohnhaft in Warschau Kreis Warschau
wurde heute aus der Deutschen Strafanstalt in Kielce, um 10 Uhr
entlassen.

Kielce den 1.8.1944.
Leiter der Deutschen Strafanstalt
Deutsche Strafanstalt
Kielce

*Roman Korzeniewski, 1947 r.*

*Roman z żoną Dominiką, pierwsza połowa lat 50.*

W przypadku Romana chodzi o kontakty z przedstawicielami firm z Niemiec Zachodnich.

Czy ma skrupuły, gdy jest werbowany jako tajny współpracownik tych służb? Odpowiedź może kryć się w parokrotnie zasłyszanym od niego zdaniu, że za to, co Niemcy wyrządzili Polsce podczas wojny, należy ich wykorzystywać, ile się da i jak się da. Z kolei o jego nastawieniu do PRL wiele mówią być może jego słowa, jakie przytacza w donosie jeden z otaczających go konfidentów: „Nie jestem komunistą, powiedział. Z przekonania byłem i pozostanę nadal pepeesowcem".

Z dokumentów w Archiwum IPN wynika, że pierwszy raz na przymusowe roboty Roman zostaje wywieziony w 1940 r., do fabryki maszyn w Essen, skąd ucieka po czterech miesiącach. Kolejny raz trafia w 1941 r. do Lipska i musi pracować w fabryce aluminium. Przed Komisją Kontroli Partyjnej zezna: „Brat tam zrobił sabotaż i uciekł, a ja zostałem aresztowany i uciekłem". Po powrocie do Warszawy znów zostaje aresztowany i zwolniony (przyczyny zwolnienia nie podaje; zaznacza, że musiał się ukrywać).

Przyłączywszy się do międzynarodowych przemytników, ma zostać szefem jednej z ich kilkuosobowych grup. Ma pseudonim „Czarny Wariat". Posiadają fałszywe zaświadczenia i mundury, a także podrobione dowody tożsamości folksdojcza albo rajchsdojcza. W jego grupie mają być Polacy i Żydzi. Jak zeznaje, wyprawia się z nimi do Niemiec, Włoch, Austrii, Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii, Litwy i Francji (w tym do Mediolanu i Werony „około 6 razy"). Z okupowanej Polski wywożą złom srebra, a przywożą złoto, biżuterię, jedwabie i szyfony. W drodze powrotnej, na stacji w Skierniewicach, grupa przebiera się w stroje cywilne i koleją towarową przyjeżdża do Warszawy.

W swoich zeznaniach Roman wspomina, że poza przemytem towarów przerzucał też obywateli polskich narodowości żydowskiej, których miał odstawiać na granicę szwajcarską.

W pierwszej połowie 1944 r. dwie grupy, w tym i jego, na skutek denuncjacji narzeczonej jednego z członków, zostają aresztowane na stacji w Kielcach. Wszyscy trafiają do tamtejszego więzienia. Romanem interesują się podobno gestapowcy z Berlina.

Z więzienia ma go wybawić kobieta, która w swym powojennym oświadczeniu poda, że w Kielcach zjawiła się na polecenie przełożonego swojej organizacji konspiracyjnej z zadaniem uwolnienia „czterech bojowców". Przez przekupionego żandarma nawiązała kontakt z niemieckim sędzią sądu doraźnego, który za wysoką sumę dał się skorumpować. Podczas pertraktacji okazało się, że w celi z owymi bojowcami jest jeszcze dwóch Polaków. Postanowiono uwolnić także ich. Jednym z nich był Roman. Na jego pytanie, jakim sposobem się to udało, kobieta miała oświadczyć, że zdobyła druki zwolnień *in blanco*. Pozostali członkowie obu grup, wedle zachowanych świadectw, zostali zamordowani przez Gestapo.

### Człowiek, istota żywotna

Odnośnie do zuchwałego uwolnienia ojca z KL Neuengamme, w materiałach z Archiwum IPN jest niewiele informacji. W jednym z dokumentów Roman zeznaje: „Po ojca udałem się w mundurze wyższego oficera hitlerowskiego z niemieckimi papierami, które kupiłem na czarnym rynku. W Hamburgu byłem w obozie u komendanta, w dowodach miałem pismo, że jestem z Warthegau". W innym zanotowano: „W przebraniu sztabowego oficera udał się do obozu Neuengamme i przedstawił, że ojciec jego został niewinnie wzięty do niewoli i matka jego jest Niemką i na podstawie jego interwencji (...) ojca jego zwolniono z obozu".

Zachwycony warszawską żywotnością w czasie okupacji, Ferdynand Goetel pisał we wspomnieniach: „Człowiek, istota nieznana, jest równie nieuchwytny indywidualnie, jak i zbiorowo. Polak jest podobno najmniej uchwytnym z ludzi, warszawiak – jeszcze mniej od przeciętnego Polaka. Warszawiak, podrażniony przymusem regulaminowym, wyłamuje się w ogóle spod oceny".

Roman Korzeniewski często podkreślał – z apaszowskim błyskiem w oku – że jest z krwi i kości warszawiakiem, wyrosłym w żywiole targowisk i bazarów. Przyswoił sobie ich wdzięk i spryt. Wojenne przeżycia przydały tym cechom jedną jeszcze: zuchwałość wobec ryzyka. W rodzinie zapamiętano, że wobec zagrożenia nie upadał na duchu i zagrzewał się słowami: „Romciu, jeszcze Polska nie zginęła".

Być może takie słowa powtarzał sobie również w duchu, gdy mając 21 lat, w przebraniu niemieckiego oficera, zmierzał do KL Neuengamme, aby uwolnić ojca.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

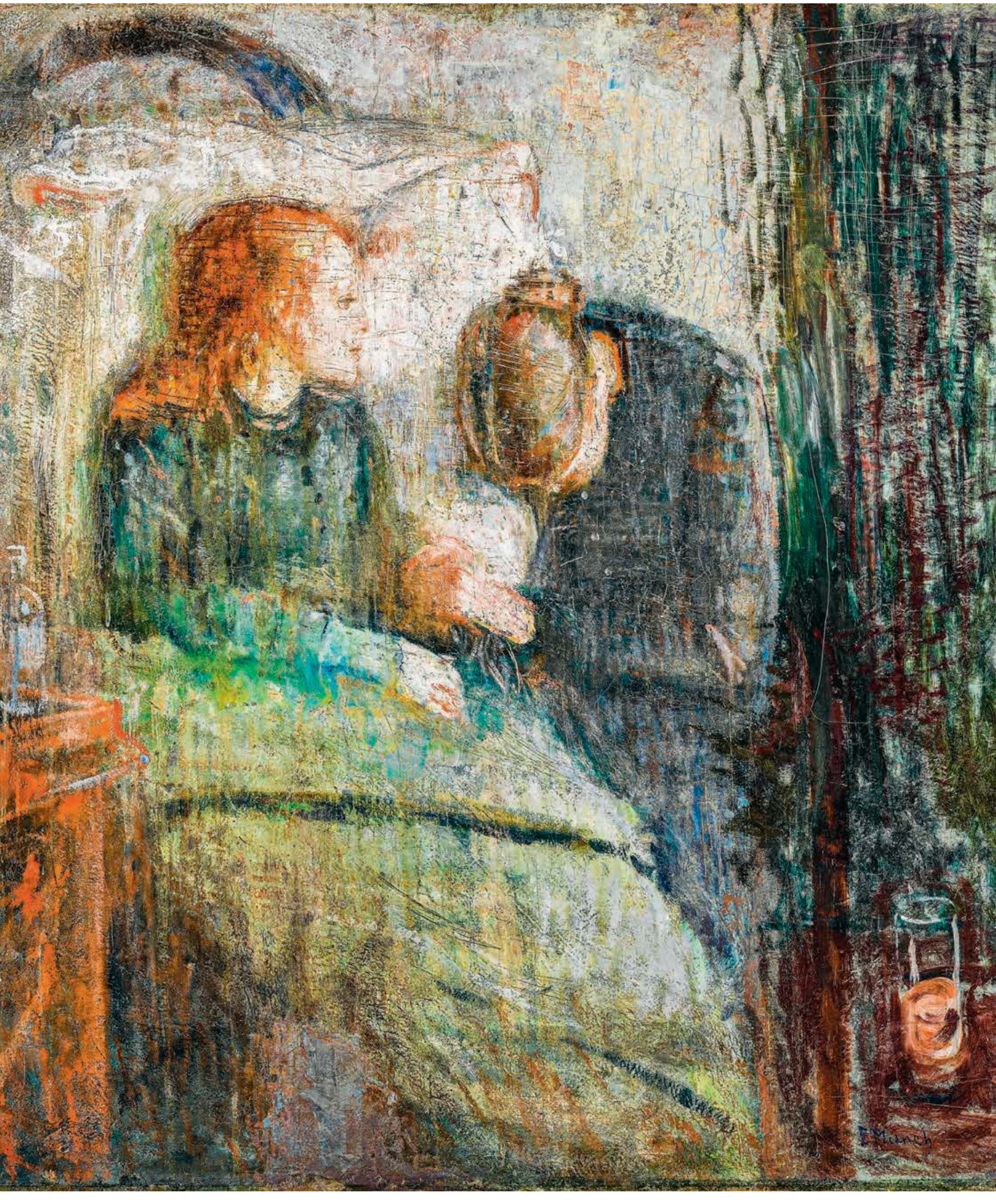
E Munch

NAUKA

# ROZKOSZNY KASZEL CHOPINA

Niektóre patogeny towarzyszą nam od tysięcy lat, zbierają ogromne żniwo i zmieniają pulę naszych genów. Tak wyglądają relacje człowieka z prątkiem gruźlicy.

BARTOSZ KABAŁA

NATIONAL MUSEUM OSLO / DOMENA PUBLICZNA

Choć dziś mało kto pamięta, jak groźna i podstępna jest to choroba, szacuje się, że w ciągu ostatnich 2 tysięcy lat gruźlica była przyczyną zgonu ponad miliarda ludzi. Do zakażenia dochodzi, gdy bakteria prątka gruźlicy (*Mycobacterium tuberculosis*) dostanie się do dróg oddechowych. Bakteria może unosić się w powietrzu przez długi czas, a jej źródłem jest prątkujący chory, który kaszląc, kichając i mówiąc, rozsiewa drobne krople wydzieliny z płuc. Gdy prątek dostanie się do pęcherzyków płucnych, ludzki układ immunologiczny próbuje stłamsić zakażenie jak najszybciej. Odpowiednie komórki pożerają więc bakterię (co ładniej nazywane jest fagocytozą), ale to nie robi na niej wrażenia i zupełnie nie przeszkadza w namnażaniu się wewnątrz komórki żernej.

W zainfekowanym płucu powstaje ognisko pierwotne, w którego centrum pojawia się martwica. Prątek znajdujący się w obrębie takiej martwiczej zmiany przejść może w stan uśpienia i obudzić się, gdy pojawi się właściwy moment – np. spadek odporności wywołany inną chorobą. U osób, których układ odpornościowy jest osłabiony (np. chorujący na AIDS), komórki wypełnione po brzegi prątkami mogą pękać, a bakterie rozsiewać się po całym organizmie i atakować właściwie wszystkie narządy. Co ważne, 90 proc. zarażonych nie będzie miało żadnych objawów, a jedynie latentną, uśpioną infekcję.

*Edvard Munch, Chore dziecko, 1885–1886 r.*

### W ciepłej jaskini

Klinicznie gruźlicę dzieli się na pierwotną, gdy chory zostanie zarażony bakterią, i popierwotną, gdy uśpiony prątek znów się uaktywni albo nastąpi zakażenie innym szczepem. Zmiany w płucach prowadzą do duszności, kaszlu i odpluwania krwi, a różnorakie skutki rozwoju prątków w innych organach doprowadziły do powstania wielu nazw na tę chorobę. Jeszcze w połowie XX w. popularne było określenie suchoty pospolite, bo choroba „wysuszała" i wyniszczała pacjentów. Skrofuły to z kolei przestarzała nazwa na gruźlicę węzłów chłonnych. W Wielkiej Brytanii mówiono na nią „biała plaga" ze względu na bladość skóry chorych. Mogły się na niej pojawiać poważne zmiany – tuberkulidy i wypryski zołzowe. Gdy choroba atakowała kości i stawy kręgosłupa, u pacjentów obserwowano garb gruźliczy. Gdy zaś prątek rozsieje się drogą krwionośną po wielu organach, może dojść do gruźlicy prosówkowej – małe guzki obecne w narządach i na ich powierzchni przypominają rozsypane proso.

Niektóre choroby, jak COVID-19, są zupełnie nowe, inne, np. trąd i gruźlica, obecne są prawie od początku istnienia naszego gatunku, razem z nami migrują i ewoluują. Cristina Gutiérrez z paryskiego Instytutu Pasteura sugeruje, że bakterie z rodzaju *Mycobacterium*, wywołujące szereg chorób, m.in. trąd, mogły zarażać wczesnych hominidów już 3 miliony lat temu na terenie Afryki Wschodniej. Sam prątek gruźlicy, *M. tuberculosis*, miałby z kolei wydzielić się ok. 73 tys. lat p.n.e. – a przynajmniej na wtedy datuje się pojawienie się wspólnego przodka wszystkich znanych nauce szczepów tej bakterii.

Rebecca Chisholm z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Australii wraz ze współpracownikami postawili hipotezę, że głównym czynnikiem, który pozwolił prątkowi gruźlicy rozprzestrzeniać się między ludźmi, było opanowanie ognia w okresie paleolitu. Nie dość, że ogień zaczął gromadzić duże grupy ludzi przy jednym palenisku, czyniąc bakterii dogodne warunki do zarażania kolejnych osobników, to jeszcze rozpalany najczęściej w jaskiniach mógł powodować przewlekłe zapalenie dróg oddechowych, co tylko ułatwiało prątkowi robotę.

Współczesne linie *M. tuberculosis* pojawiły się około 50 tys. lat p.n.e. Różnią się od starożytnych brakiem genu TbD1, co powoduje, że prątki, które z natury preferują dobrze napowietrzone miejsca, mogą dłużej wytrzymywać bez tlenu. Choroba pozostaje przez to dłużej aktywna i łatwiej się rozprzestrzenia, jest ↦

↦ jednak również mniej zabójcza. Według badaczy to właśnie ta mutacja stoi za sukcesem współczesnych linii, które występują na wszystkich kontynentach. Gruźlica z choroby endemicznej stała się chorobą globalną.

### Królewski dotyk

Bakterie, jak wszystkie organizmy, podlegają doborowi naturalnemu – zatem kluczową kwestią jest dla nich rozmnażanie się. Aby było efektywne, bakteria musi zarazić jak największą liczbę gospodarzy – wywołując jako skutek uboczny objawy choroby pomagające w rozprzestrzenianiu się. Te nie mogą być jednak zbyt gwałtowne, bo szybkie zlikwidowanie populacji gospodarzy spowodowałoby również zniknięcie populacji patogenu. Dlatego współczesne linie *M. tuberculosis* powodują mniej agresywną odpowiedź organizmu człowieka na infekcję i częściej przechodzą w formę latentną. Prątek gruźlicy w toku ewolucji nauczył się manipulować naszym układem immunologicznym i utrzymywać się przy życiu.

Wraz z rozwojem rolnictwa i osadnictwa gruźlica stawała się coraz powszechniejszą chorobą. Pierwsze pisemne dowody na jej istnienie w świadomości starożytnych społeczeństw pochodzą z Chin i Indii sprzed ponad 3 tys. lat. Wzmianki pojawiają się też w Starym Testamencie (PwP 28, 22). Gruźlica została opisana w starożytnej Grecji i Rzymie. Galen, lekarz cesarzy Marka Aureliusza i Kommodusa, podejmował się nawet terapii, jednak zalecane przez niego mleko, świeże powietrze i wycieczki morskie mogły nie być wystarczająco skuteczne.

Jedna ze średniowiecznych teorii mówiła, że gruźlica jest objawem „królewskiej złości", a wyleczyć skrofuły może wyłącznie królewski dotyk. Taka magiczna metoda leczenia gruźlicy węzłów chłonnych była szczególnie popularna we Francji i Anglii. W obu krajach proces leczenia poddanych, niezależnie od ich przynależności do klasy społecznej ze względu na zapotrzebowanie, został sformalizowany. Ostatnim władcą, który leczył gruźlicę swoim dotykiem, był Karol X, król Francji do 1830 r.

Przełom w myśleniu o gruźlicy przyszedł w epoce Oświecenia. Brytyjski lekarz Benjamin Marten zasugerował, że chorobę miało roznosić mikroskopijnych rozmiarów żyjątko. Teoria ta nie była powszechnie akceptowana, aż do czasu odkrycia prątków w 1882 r. przez Roberta Kocha. Koch pobierał wycinek gruzełków z płuc zmarłych pacjentów. Część barwił odpowiednimi substancjami, by były lepiej widzialne w mikroskopie, a część wszczepiał pod skórę królików i świnek morskich. Opracował także technikę hodowli prątków *in vitro*. Fragmenty wszczepione pod skórę zwierząt po jakimś czasie tworzyły takie same gruzełki jak te obecne w płucach chorych. Materiał dowodowy był wystarczająco silny, by stwierdzić, że gruźlica to choroba zakaźna i to właśnie prątek, zwany wówczas lasecznikiem Kocha, odpowiada za infekcję.

Ostatnim władcą, który **leczył gruźlicę swoim dotykiem,** był Karol X, król Francji do 1830 r.

Niemiecki naukowiec zajął się gruźlicą nie bez powodu. Choroba od XVIII w. stawała się jedną z głównych przyczyn zgonów w populacji zachodniego świata: przez cały XIX w. zabiła 25 proc. osób dorosłych w Europie. Atakując głównie osoby młode, zyskała nową nazwę – „złodziej młodości". Chociaż Koch odkrył również bakterie cholery i wąglika, to właśnie za badania nad gruźlicą otrzymał w 1905 r. Nagrodę Nobla.

### Lecznica doktora Brehmera

Wpływ szalejącej epidemii na społeczeństwo widoczny jest nie tylko w statystykach. Wprawdzie gruźlica przeważała w środowiskach miejskiej biedoty (marne warunki życia, wilgoć i głód sprzyjały rozwojowi jej aktywnej formy), była jednak chorobą pokonującą bariery klasowe. Na gruźlicę zapadli królowie Henryk VII i Ludwik XIII, a także Napoleon II i cesarz Brazylii Piotr I. Na suchoty zmarli kardynał Richelieu i Molière. Zaraza dopadła też malarzy (Delacroix, Gauguin) i pisarzy (Czechow czy Słowacki). O chorującym na gruźlicę Chopinie w ostatnich dniach jego życia jedna z francuskich dam miała powiedzieć „ach, jak on rozkosznie kaszle". Taka romantyzacja nieuleczalnej choroby pojawiała się u wielu artystów. Lord Byron żałował nawet, że nie cierpi na suchoty, bowiem „wszystkie kobiety mówiłyby »widzisz tego biednego Byrona – jakże interesująco wygląda umierając«", a Edgarowi Allanowi Poe jego żona wydała się piękna jak nigdy przedtem, gdy w trakcie obiadu zaatakował ją napad kaszlu: „złapała się za gardło i fala szkarłatnej krwi spłynęła po jej piersi (...) To uczyniło ją jeszcze bardziej eteryczną".

Odkrycie przyczyny gruźlicy przez Kocha wcale nie zatrzymało jej mitologizacji przez sztukę. Powolna utrata zdrowia, osłabienie i krwioplucie – ten nieustępliwy marsz objawów po młodym i zdrowym wcześniej ciele wciąż był źródłem wielkiej artystycznej inspiracji. Sprzyjały temu wyjątkowe metody leczenia gruźlicy. W połowie XIX w. pośród różnych prób kuracji pojawiła się metoda młodego wówczas niemieckiego studenta botaniki Hermanna Brehmera, który przebywając na Śląsku, zachorował na gruźlicę. Po powrocie z wyprawy w Himalaje, gdzie kontynuował swoje badania, zauważył u siebie poprawę. W ten sposób zrodził się pomysł terapii sanatoryjnej.

Brehmer skończył medycynę i w 1854 r. w Görbersdorfie w Sudetach Środkowych otworzył pierwsze w Europie górskie sanatorium gruźlicze. Do wsi, znanej dziś jako Sokołowsko, przyjeżdżali chorzy z całego kontynentu. Dwie dekady wcześniej podobny ośrodek, choć nie w górach, a na przedmieściach Birmingham stworzył angielski lekarz George Bodington, który twierdził, że najsłuszniejszą terapią gruźlicy jest świeże powietrze i dobre jedzenie. Jego praca spotkała się jednak ze sporą krytyką i szybko zmienił zainteresowania. Lecznica dr. Brehmera zaś okazała się sukcesem i na jej podobieństwo stworzono sanatoria w Davos i innych wysokogórskich miejscowościach. Odosobnienie, mroźne powietrze, spacery, odpowiednia dieta i odpoczynek, ale też romanse, zabawy i wystawne bale – terapia sanatoryjna stała się dla zamożnych ważnym przeżyciem.

Piętno gruźlicy nie dotyczy jednak wyłącznie stylu życia i sztuki. Jej wpływ odkrywamy także w zmianach sekwencji DNA, głównie w europejskiej populacji. Pewien wariant genu TYK2, jeśli ktoś odziedziczy dwie jego kopie, odpowiada za wyższe ryzyko ciężkiego przebiegu gruźlicy. Gaspard Kerner oraz Lluis Quintana-Murci postanowili przebadać genomy ponad tysiąca Europejczyków, których szczątki pochodziły z różnych epok. Okazuje się, że nagły spadek występowania tego wariantu genu nastąpił około

3 tys. lat temu, co świadczy o dużym narażeniu na gruźlicę ówczesnej populacji Europy. Z czasem ten wariant w niej niemal zupełnie zanikł – jego nosiciele w końcu wymarli bezpotomnie.

### Ewolucja prątka

Koch bezskutecznie próbował stworzyć lek na gruźlicę. Odkrył m.in. tuberkulinę, białko uzyskiwane z kolonii *M. tuberculosis*. Jednak jej skuteczność nie została potwierdzona i dziś służy jedynie w celach diagnostycznych. Nowa era w leczeniu gruźlicy zaczyna się wraz z pojawieniem się nowych antybiotyków. Pierwszym skutecznym wobec prątków gruźlicy okazała się streptomycyna, odkryta w 1944 r. w USA. Później pojawiły się również inne leki – izoniazyd i ryfampicyna. Już sama streptomycyna zredukowała śmiertelność w wyniku gruźlicy o 50 proc. Z około 75 na 100 tys. przypadków w 1950 r. śmiertelność spadła do 1 na 100 tys. w 1980 r.

Równoległa ewolucja – czyli koewolucja – człowieka i prątka gruźlicy powoduje, że nowe chemioterapeutyki nie staną się wybawieniem. Z każdym nowym lekiem pojawia się nań bakteryjna oporność. O prątkach niewrażliwych na działanie streptomycyny dwaj brytyjscy lekarze Denis Mitchison i John Crofton informowali już cztery lata po jej odkryciu.

Oporność na antybiotyki wśród bakterii występuje powszechnie. Najczęściej powstaje w wyniku mutacji genomu bakterii. W zależności od rodzaju antybiotyku, oporność może mieć różne mechanizmy. Zmiana może dotyczyć budowy ściany bakteryjnej, która przestaje przepuszczać lek do wnętrza, albo struktury enzymów, odgrywających ważną rolę w metabolizmie bakterii, w które antybiotyki są wycelowane. Istnieją również specjalne białka na powierzchni bakterii, które wypompowują niepożądane przez nią substancje. Dla bakterii antybiotyki są czynnikiem selekcyjnym – promują te szczepy, które posiadają gen oporności. Zatem stosowanie tych leków musi spowodować wzrost występowania form opornych. I to widoczne jest w badaniach.

Już w latach 60. XX w. częstość występowania takich szczepów wzrosła. WHO szacuje, że obecnie gruźlica wielolekooporna stanowi około 4 proc. wszystkich nowych przypadków gruźlicy. To wciąż nie tak dużo, jeśli porównamy z innymi bakteriami. *M. tuberculosis* nie ma zdolności poziomego transferu genów – prątek posiadający gen odporności może go przekazać wyłącznie swojemu potomstwu; w przypadku innych gatunków bakterii poszczególne mikroby mogą wymieniać się genami między sobą. Brak tej zdolności u prątka gruźlicy sprawia, że tempo rozprzestrzeniania się mutacji jest ograniczone. Ale to wcale nie oznacza, że sytuacja nie jest poważna. W krajach byłego ZSRR gruźlica wielolekooporna stanowi nawet 20 proc. nowych przypadków, a w 2007 r. w RPA pojawiło się ognisko gruźlicy o rozszerzonej lekooporności. Z 53 zakażonych osób zmarły 52.

Gruźlica mimo wszystko zdaje się doskwierać dziś ludzkości mniej niż kilkadziesiąt lat temu. Poza antybiotykami odpowiadają za to m.in. poprawa warunków sanitarnych oraz szczepienia. Wciąż powszechnie stosowana jest szczepionka BCG stworzona na początku ubiegłego wieku. Dwaj Francuzi Albert Calmette i Camille Guérin, zainspirowani szczepionką przeciwko ospie prawdziwej, postanowili wykorzystać bakterię, która wywołuje gruźlicę u bydła i za jej pomocą uodparniać na ludzką gruźlicę. W ciągu 13 lat wykonali prawie 240 hodowli bakteryjnych, by uzyskać jak najsłabszy i jak najmniej groźny dla człowieka szczep *M. bovis*. BCG to żywa, ale znacznie osłabiona (atenuowana) bakteria, której podanie zapewnia ochronę przed groźniejszymi szczepami. Pierwsze szczepienia zostały przeprowadzone równo sto lat temu.

### Odporność wytrenowana

Współczesne badania mówią o ograniczonej skuteczności tej szczepionki u dorosłych, jednak jej ochronny wpływ u dzieci pozostaje znaczący. Przede wszystkim zmniejsza występowanie gruźliczego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, dlatego podawana jest jak najwcześniej po urodzeniu. Na świecie wykorzystuje się 100 milionów dawek BCG rocznie, głównie w krajach z wysokim ryzykiem infekcji gruźlicy, ale nie tylko. Wciąż obowiązkowa jest m.in. w Polsce, Portugalii, Estonii i Chorwacji.

Prątek jest jednak bakterią zupełnie niezwykłą, czego dowodem są również szczepionki. Efekty szczepień wykraczają daleko poza nabywanie odporności na gruźlicę. Kilkanaście lat temu ukazał się szereg prac, w których naukowcy zauważali, że w krajach Afryki Zachodniej śmiertelność wśród dzieci zaszczepionych preparatem BCG spadła o połowę. To znacznie przekraczało skutki nabycia odporności przeciwko *M. tuberculosis*. Dodatkowe efekty szczepionki wiąże się głównie ze spadkiem ryzyka sepsy i infekcji układu oddechowego oraz tzw. odpornością wytrenowaną. Jest to pojęcie całkiem nowe. Odporność ta polega na zmianach epigenetycznych, czyli niedotyczących samego zapisu genetycznego w DNA, a raczej polegających na chemicznym doklejaniu do DNA dodatkowych „etykietek". Tego typu modyfikacja nie wpływa na „treść" danego genu, jednak może wpłynąć na to, czy będzie on odczytywany bardziej czy mniej intensywnie.

Jeśli gen oznaczony w ów epigenetyczny sposób ma związek z naszym układem odpornościowym, komórki naszego ciała staną się wówczas bardziej skore do szybkiego reagowania na każdy inny patogen, który pojawi się w organizmie. Ta „nieswoista pamięć immunologiczna" trwa jednak dużo krócej niż pamięć swoista (oparta na produkcji przeciwciał), która może utrzymywać się całe życie. Prątek obecny w szczepionce jest czynnikiem tak silnie modulującym układ odpornościowy, że z powodzeniem stosowany jest nawet w leczeniu raka pęcherza moczowego. Podanie szczepionki bezpośrednio do pęcherza wzmaga reakcję układu immunologicznego, który zaczyna atakować nowotwór.

Ten wpływ szczepionki przeciwko gruźlicy na układ immunologiczny był również rozważany jako przyczyna łagodniejszego przebiegu pandemii SARS-CoV-2 w krajach, gdzie wciąż jest ona obowiązkowa. Badania na ten temat jeszcze trwają, ale wstępne prace przeczą tej zależności.

Choć od czasu zidentyfikowania bakterii wywołującej gruźlicę poczyniliśmy wielkie kroki na drodze do jej opanowania, w niektórych rejonach świata, zwłaszcza objętych kryzysem humanitarnym i działaniami wojennymi, choroba wciąż sieje spustoszenie. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia w 2019 r. zmarło na nią 1,7 mln osób, a zachorowało ponad 10 mln. W Europie liczba nowych przypadków w 2017 r. przekroczyła 250 tys., z czego większość dotyczy Rosji i krajów byłego ZSRR. Gruźlica nie została więc, wraz z górskimi sanatoriami i kuracją na mrozie, zamknięta na kartach powieści i podręczników historii.

© BARTOSZ KABAŁA

BARTEK SADOWSKI / FORUM

*Studenci wydziału lalkarskiego podczas próby, Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, filia we Wrocławiu, lipiec 2004 r.*

# ROZBITE TWARZE

DARIUSZ KOSIŃSKI

Proces ujawniania mechanizmów przemocy i poniżenia działających w teatrze i na uczelniach jest konieczny i nie da się go zatrzymać. Na końcu drogi będziemy patrzeć na teatr jako na opuszczony z żalem i ulgą rodzinny dom zły.

To się musiało stać. Prawdziwa powódź świadectw, jaka zalała dzięki mediom społecznościowym polski światek teatralny po opublikowaniu przez Annę Paligę oskarżeń pod adresem wykładowców Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, potwierdza, że pojawiające się wcześniej pokątnie relacje dotyczące poszczególnych dyrektorów i reżyserów nie są opowieściami o wyjątkowych patologiach, lecz symptomami powszechnej, wpisanej w system praktyki używania przemocy i poniżania jako narzędzi pracy. Tę systemowość trzeba przemyśleć, by nie popaść w pocieszające złudzenie, że tylko ci, którzy dopuszczali się opisywanych ekscesów, są winni.

Poniżanie, naruszanie granic intymności i prywatności, groźne operacje na psychice i karmienie własnego ego kosztem bezpieczeństwa i godności innych to nie zjawiska wprowadzane przez wyjątkowo patologiczne osobowości do systemu pracy teatralnej, ale wpisane weń możliwości, znajdujące się cały czas pod ręką i kuszące, by z nich skorzystać. Użycie przemocy i naruszanie intymności nie są w obecnym systemie teatralnym czymś, o co trzeba się „postarać". Przeciwnie: wysiłku i świadomości wymaga niekorzystanie z nich, ewentualnie – niezwykle trudne – korzystanie w sposób kontrolowany i za obopólną zgodą.

Zdaję sobie sprawę, że mówienie o systemowości przemocy jest dwuznaczne i ryzykowne, bo może wszak zafunkcjonować i jako usprawiedliwienie („to nie ja, to system"), i jako sposób na zatarcie różnicy między tymi, którzy nie ulegli fali lub ulegli jej chwilowo, a tymi, którzy z pasją na niej surfowali, upajając się władzą i pozycją. Ale sądzę, że mimo tego ryzyka trzeba o niej myśleć i mówić, niezależnie od postępowań prawnych, koniecznych zmian instytucjonalnych i bolesnych procesów osobistego mierzenia się z własną winą. Systemowość przemocy nie usprawiedliwia nikogo. Mnie też nie. Ale właśnie dlatego ten argument trzeba teraz domyśleć do końca.

## Królowa i uzurpator

Ponieważ dzisiejsza walka z przemocą odbywa się przede wszystkim na linii ↦

↦ aktorka–reżyser, warto wrócić do tego momentu, gdy ten ostatni zdobył obecną pozycję hegemona, czyli do początków XX wieku. Oczywiście i wcześniej w zespołach oraz instytucjach teatralnych istniały ścisłe hierarchie, na których szczycie znajdowali się zazwyczaj mężczyźni pełniący funkcje dyrektorów i prezesów. I wcześniej, w zasadzie od czasów Wojciecha Bogusławskiego, można też śledzić linię mizoginistycznej przemocy, usuwania kobiet i przejmowania ich zasług przez mężczyzn.

Wokół teatru działał też cały przemysł seksualnego wykorzystywania atrakcyjnych i wystawionych na spojrzenie ciał (nie tylko kobiecych zresztą). Ale sama scena była miejscem o wielkim potencjale emancypacyjnym, pozwalającym kobietom zaistnieć jako podmiotowym twórczyniom wywierającym wielki wpływ na publiczność. Kiedyś napisałem tekst o „matkach polskiej sceny", dowodząc, że rozwój aktorstwa w Polsce (a pewnie nie tylko w Polsce), od końca wieku XVIII do początków XIX zależał przede wszystkim od kobiet. Prawdziwa sztuka aktorska była sztuką kobiecą. W epoce tak właśnie o niej mówiono, umieszczając wprawdzie to twierdzenie w kontekście seksistowskim (kobiety jako te, które „z natury" umizgują się i chcą przypodobać), ale nie zmienia to faktu, że sztuka dramatyczna była wówczas domeną kobiet.

Na pytanie, kto jest najważniejszą postacią polskiego teatru tej epoki, odpowiedź jest jedna: Helena Modrzejewska. Jej historia powinna być studiowana właśnie jako historia skutecznej politycznie emancypacji: wykorzystania, a następnie przekroczenia mechanizmów patriarchalnego podporządkowania dla wywalczenia sobie prawa do samodzielnego tworzenia siebie i swojej pozycji.

W tym momencie kwestią kluczową jest to, że Modrzejewska mogła to osiągnąć, ponieważ zachwyt, jaki wzbudzała na scenie, przynależał tylko do niej. Oczywiście trwały – interesujące dziś garstkę specjalistów – spory na temat tego, jak ma się sztuka aktorska do dramatu, i byli tacy literaci, którzy uważali, że aktorka to jedynie wykonawczyni tekstów napisanych przez nich. Ale nawet oni przyznawali jej pełną sprawczość w obrębie sceny. Modrzejewska zaś, jej wielka i szlachetna rywalka krakowska Antonina Hoffman (twórczyni nowoczesnego aktorstwa w Polsce), a przed nimi Józefa Ledóchowska, Leontyna Halpertowa czy Teresa Palczewska przekonywały naocznie, że ta sprawczość nie ogranicza się tylko do wykonywania literackich projektów. Niezależnie od panującego wokół całkowicie patriarchalnego systemu władzy opartego na przemocy wobec kobiet, scena była dla nich miejscem – dwuznacznej, ale jednak – wolności.

**Uznano, że „przekroczenie siebie" stanowi sedno zawodu aktorskiego,** samo jądro profesjonalizmu. Zawodowiec zagra przecież wszystko, co każe reżyser. Od tego jest.

To zmieniło się radykalnie po pojawieniu się reżysera. Nie tu miejsce, by wyjaśniać przyczyny, dla których było to nieuniknione i które sprawiły, że w ciągu dosłownie kilkunastu lat niebędący aktorem „artysta teatru", wcześniej niemający żadnego autorytetu i obdarzany pogardliwym mianem „literata", zdobył całkowitą władzę nad sceną. Dość, że stało się to niezwykle szybko i niezwykle skutecznie. Gdy najważniejszy polski reżyser, Leon Schiller, zaczynał około roku 1912 karierę teatralną, był krytykiem i teatrologiem, a ówczesnej wielkiej gwieździe sceny Irenie Solskiej nawet do głowy by nie przyszło, że miałaby go słuchać.

Dosłownie kilkanaście lat później to Schiller był gwiazdą, to jego inscenizacyjnymi pomysłami się zachwycano, a choć Solską chwalono za rolę Żony, to twórcą nowatorskiej inscenizacji „Nie-Boskiej komedii" był już tylko on. Minęło kilka lat i gdy Schiller na chwilę zawitał do prowadzonego przez Solską eksperymentalnego Teatru im. Żeromskiego na Żoliborzu, to nie jej uporczywa i konsekwentna praca, ale jego gościnna i okazjonalna współpraca nadawała scenie znaczenie.

### Sedno zawodu, dno zawodu

Pojawienie się reżysera oznaczało zasadniczy przeskok: rozdwojenie sprawcy. Niezależnie od wszystkich motywacji i zabezpieczeń, przejęcie władzy przez reżysera powodowało, że aktorka mogła zostać zmuszona do zrobienia lub powiedzenia czegoś, czego nie chciała, z czym się nie utożsamiała, co było wbrew niej. Więcej: szybko uznano, że właśnie „przekroczenie siebie" stanowi sedno zawodu, samo jądro profesjonalizmu. Zawodowiec zagra przecież wszystko. Od tego jest.

Aktor miał być nauczony gotowości do całkowitej przemiany, do pozbycia się codziennej tożsamości, którą każdy z nas sobie tworzy i której strzeże w imię podstawowego poczucia bezpieczeństwa. Proces świadomego pozbywania, utraty tej „twarzy" jest w teatrze uznawany za podstawowy i konieczny. Jeśli za cechę wielkiego aktorstwa uznajemy zdolność do przeobrażenia, jeśli chwalimy aktorkę za to, że nie grała, ale „była postacią", to oznacza, że wynagradzamy ją za umiejętność pozbycia się codziennego „ja". Zasada koniecznej „utraty twarzy" i naruszania bezpieczeństwa, by uzyskać gotowość zaświadczenia sobą o tym, co nie swoje, należy do reguł r z e m i o s ł a od czasów, gdy upadł system „wydziałów ról", a zmienność repertuaru sprawiła, że najważniejszą zaletą aktorek i aktorów stała się wielość i różnorodność.

Sam ten mechanizm nie oznacza jeszcze wystawienia się na przemoc. Ta pojawia się dopiero wraz z rozdzieleniem sprawczości między osobę działającą na scenie a osobę przypisującą sobie autorstwo powstającego w ten sposób „dzieła". Można uznać, że skoro to reżyser jest owym autorem, to on ponosi odpowiedzialność za całość i dlatego ma prawo do władzy. Tyle tylko, że ostatecznie to aktorka staje ogołocona na scenie pod spojrzeniami widzów, wystawiając się na spotęgowane ryzyko utraty twarzy, podczas gdy reżyser ukryty za kulisami nie ryzykuje bezpośrednio, a tylko powiększa zagrożenie siłą swojego oceniającego spojrzenia.

Oczywiście wariantów relacji wpisanych w ten podstawowy układ może być wiele. Także takie, które dzielą sprawczość, opierają się na dialogu i współpracy, wzajemnym przekonywaniu się. A jednak system wydaje się zdążać raczej ku podporządkowaniu. Wielokrotnie słyszeliśmy przecież aktorki i aktorów, które i którzy domagają się reżyse-

rowania, nie chcą „gadać", ale grać. I cenią reżyserów, którzy jasno i zdecydowanie mówią im, co robić. Czy to znaczy, że uwewnętrznili władzę i związaną z nią przemoc, o czym często mówi się w obecnych dyskusjach, gdzie powraca wątek „nic nie mówiłam, bo uważałam, że tak się właśnie pracuje"? Niekoniecznie, choć taki mechanizm też rzecz jasna działa. I niekoniecznie chodzi tylko o nagrodę za podporządkowanie: uznanie środowiskowe czy możliwość zdobycia rozpoznawalnego wizerunku, stanowiącego w dzisiejszym świecie kapitał o ogromnej mocy.

Stawką w tej grze może być też poznanie takiej prawdy o sobie i życiu, jakiej nie da się uzyskać przy zachowaniu zwykłej twarzy. Mityczne „przekroczenie siebie", do którego jesteśmy wciąż zachęcani i którego, zmęczeni „sobą", tak często sami pragniemy, wymaga często oddania się w ręce innego, podporządkowania władzy kogoś, kto wydaje się mieć wiedzę dla nas (jeszcze?) nie dostępną. To też mechanizm podstawowy – działający nie tylko w ezoterycznych laboratoriach, ale również w zwykłych szkołach i na warsztatach teatralnych.

### Na drugi brzeg

Wątpię, czy ktokolwiek jest w stanie ustalić tu jakąkolwiek granicę dającą się ująć w system zabezpieczających reguł. Słyszę co chwila, że przemoc w teatrze i wspierające ją hierarchiczne stosunki władzy to tylko kwestia regulacji, bo „teatr to takie samo miejsce pracy jak każde inne". Otóż nie.

Inne miejsca pracy pozwalają bowiem zbudować przekonanie o własnym sprawstwie w zakresie tożsamości osobistej. Oczywiście jest to fikcyjne i oczywiście możemy zaraz zacząć dywagacje na temat złudności przekonania, że w różnych naszych rolach życiowych jesteśmy „sobą". Ale nawet kiedy ulegamy Formie, to ulegamy jej m y s a m i.

W dzisiejszym teatrze dochodzi do ujawnienia i zarazem przełożenia tego ukrytego mechanizmu na relacje władzy: istnieje ktoś, kto każe przestać być „sobą". Twierdzenie, że granicę wyraża obopólna zgoda, jest – obawiam się – naiwne. To, co dzieje się między ludźmi, nie jest przewidywalne, a okoliczności zgody i odmowy są niezwykle złożone. Za koncepcją ustalenia zasad, procedur i reguł opartych na obopólnej zgodzie stoi zaskakujące w czasach po Freudzie i Lacanie przekonanie o pełnej racjonalności i wolicjonalności ludzkiego działania. Do podjęcia decyzji, która mogłaby – jak marzą o tym zwolennicy całkowitego odejścia od przemocy – rzeczywiście pozwolić na zachowanie obowiązujących obecnie mechanizmów pracy, konieczny byłby niezależny i nieulegający zmianom podmiot w pełni świadomy nie tylko tego, co chce osiągnąć, ale też będący w stanie przewidzieć wszystkie konsekwencje i przebieg całego procesu. Sądzę, że to po prostu niemożliwe.

Nie mamy takiej kontroli nad sobą i światem. Już bardzo młode adeptki i adepci poddawani są w szkołach aktorskich tresurze, która ma ich przygotować na to, że nie będą mieli kontroli nad tym, co się z nimi dzieje. To właśnie znaczy systemowa przemoc teatralna: ona nie jest aspektem jakiejś formuły organizacyjnej, którą łatwo można zmienić. Jest zakorzeniona o wiele głębiej: w podstawowej sytuacji, w której siedzący na fotelu reżyser mówi do aktorki: „wyjdź na scenę". I dopiero tam tak naprawdę okaże się, co trzeba będzie przeżyć, z czym się zmierzyć. „Do teatru nie wchodzi się bezkarnie" – chętnie cytowane słowa Tadeusza Kantora znaczą też: nie wiesz, co cię na scenie spotka, więc nigdy nie możesz się na niej czuć do końca bezpiecznie.

Dlatego uważam, że zachodzący obecnie proces ujawniania i oczyszczania teatru z mechanizmów przemocowych nie jest tylko reformą stosunków pracy w zespołach i instytucjach teatralnych, ale całościową rewolucją, która może ostatecznie obalić obecny system teatralny. Podstawą tej rewolucji jest bolesna konfrontacja wszystkich nas, którzy w systemie tym na różne sposoby uczestniczyliśmy (także zwykłych widzów), z sytuacją wspierania (w większości zapewne nieświadomego) mechanizmów przemocowych, skutkujących wieloma ludzkimi krzywdami. Nauczono nas i sami w to głęboko wierzyliśmy, że bierzemy udział w procesie poznawania złożoności i wielości ludzkich doświadczeń oraz diagnozowania niewypowiadalnych inaczej zmian społecznych. I że ten cel jest ważniejszy niż bezpieczeństwo czy godność tych, których wynajmujemy, by zastępowali nas w procesie poznania. Każdy z nas musi się teraz zmierzyć na własną rękę i we własnym imieniu z prawdą o swoim miejscu w systemie, w który wbudowane były/są mechanizmy przemocy.

Nie jest to ani przyjemne, ani proste, więc oczywiste są reakcje ucieczkowe. Oczywisty też lęk, że konsekwencją ujawnienia wzbudzających moralne potępienie praktyk będzie polityczna (ze strony władzy) i społeczna (ze strony publiczności) odmowa dalszego wspierania istnienia obecnego systemu, bez czego rozbudowana sieć teatrów publicznych po prostu przestanie istnieć. Oczywiste też wątpliwości własne: czy i w jaki sposób mogę jeszcze w ogóle przekonywać do potrzeby istnienia teatru, dowodzić jego wagi, czym wszak zajmuję się od lat, także na tych łamach?

Myślę o tym sporo i przychodzą mi do głowy różne odpowiedzi, w większości takie, które wskazują na możliwe przyszłości tego, co nazywamy dziś teatrem, a co wcale nie jest uniwersalnym wyrazem odwiecznych ludzkich potrzeb, lecz co najwyżej historycznie ukształtowaną formą ich zaspokajania. Jedna z możliwych odpowiedzi odnosi się jednak do tego, co właśnie się dzieje. Paradoksalnie bowiem obecny kryzys potwierdza, że teatr wciąż pełni funkcję ważnego narzędzia diagnostycznego. Z tej perspektywy nabierająca rozpędu antyprzemocowa rewolucja teatralna może być widziana jako symptom zachodzących w społeczeństwie głębokich zmian, związanych przede wszystkim z obalaniem centralnej i wywyższonej pozycji „wzorców normalności", których upostaciowaniem są biali heteroseksualni mężczyźni objaśniający innym świat według własnych sposobów jego doświadczania. To proces długofalowy, który zapewne przejdzie przez niejedną jeszcze fazę reakcji. Ale wygląda na to, że nie da się go już zatrzymać.

Teatr jest jego niewielką cząstką, strużką. Ale zarazem – ważnym poligonem doświadczalnym i sceną zapowiedzi. I tak jak elżbietańskie areny walk niedźwiedzi na południowym brzegu Tamizy już u początku nowożytności rozbrzmiewały pytaniami, którymi nowożytność zaczęła naprawdę żyć ćwierć tysiąclecia później, tak i dzisiejsze pytania teatralne mogą zabrzmieć z pełną mocą dopiero w uszach naszych bardzo późnych wnuczek. Z niczego nas to nie zwalnia i niczego nie ułatwia. Ale dobrze czasem zobaczyć naszą przygodność w szerszej perspektywie.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

# Okrutna melancholia Czirokezów

BARTOSZ HLEBOWICZ

**Gdzieś w zakątku Oklahomy powstaje niezwykła literatura o zagubionych współczesnych Indianach, szukających ratunku w plemiennym folklorze i więziach rodzinnych.**

Brandon Hobson, pisarz czirokeski, wydał do tej pory cztery powieści. Po polsku wyszła właśnie „Tam, gdzie rozmawiają umarli" (finalistka National Book Award w 2018 r.), a w Stanach Zjednoczonych najnowsza – „The Removed" („Usunięci"). Obie można określić jako opowieści o utracie pamięci i próbach jej odzyskania. Pamięć – czytaj: indiańską tożsamość i kulturę – tracą wykorzenieni bohaterowie i bardzo nieudolnie jej poszukują. Hobson, który od niedawna wykłada *creative writing* (twórcze pisanie) na Uniwersytecie Nowego Meksyku oraz w słynnym Institute of American Indian Arts w Santa Fe, przez siedem lat pracował w systemie opieki zastępczej w Oklahomie (urodził się i wychował we wschodniej części tego stanu) i zapewne stamtąd czerpał pisarską inspirację.

„Miałem do czynienia nie tylko z indiańskimi dziećmi, ale i z dziećmi różnych ras" – odpowiedział, gdy zapytałem, na ile przypadki z jego książek odzwierciedlają doświadczenie młodych Indian w USA. „Ale chciałem przede wszystkim zwrócić uwagę na przemoc i rasizm wobec rdzennych mieszkańców. Staram się też zawsze pisać o idei »domu«, czy to w odniesieniu do tubylców wyganianych z ich ziemi, czy nastolatków w domach zastępczych. Wyjmowanych ze swoich środowisk i zmuszanych do ciągłego przenoszenia się z jednego domu do drugiego".

### Usunięcie

W maju 1838 r. amerykańscy żołnierze i lokalna milicja wkroczyli na ziemie Czirokezów. Chodzili od drzwi do drzwi, wywlekając mieszkańców. Spędzono ich do specjalnie w tym celu zbudowanych fortów, a stamtąd do obozów internowania. Jedynym dobytkiem Indian były ubrania, które mieli na sobie. „Jeden głuchoniemy mężczyzna, zaskoczony nadejściem żołnierzy, próbował uciec. Nie mógł usłyszeć wezwań, by się zatrzymał. Zastrzelili go" – zapisał w dzienniku pastor Daniel S. Butrick, który towarzyszył Indianom. Potem popędzono ich na zachód, za Missisipi, na tzw. Terytorium Indiańskie. W czasie pobytu w obozach i przymusowej tułaczki, nazwanej potem Szlakiem Łez, zginęły co najmniej cztery tysiące Czirokezów, jedna czwarta narodu. Tę drogę przeszli też przodkowie Hobsona.

Dlaczego rdzenna ludność tej części Stanów Zjednoczonych musiała odejść? Prezydent Andrew Jackson i politycy z Georgii, ówcześnie największego po Florydzie stanu, przekonywali, że chcą uchronić Indian przed tragicznym losem, jaki zwykle spotyka istoty znajdujące się na „etapie wędrowców", żyjące w stanie „dzikości". Jackson twierdził, że Indianie i biali „mieszkają zbyt blisko siebie, by żyć w harmonii i pokoju".

„Indianie, tak jak wolni negrzy, są obywatelami gorszego gatunku" – obwieszczał w 1825 r. „Georgia Journal". Gazeta, jedna z dwóch wydawanych wtedy w stanie, roztaczała przed białymi obywatelami apokaliptyczną wizję tego, co by się działo, gdyby Indianie pozostali. Kongres mógłby np. nadać im obywatelstwo, a byłaby to „niebezpieczna tendencja. Jeśli naturalizowaliby Indian, co by ich powstrzymało od nadania obywatelstwa wolnym negrom, a potem negrom-niewolnikom?". W owym czasie w Georgii było 240 tys. białych, 180 tys. czarnych i kilkanaście tysięcy Indian, głównie Czirokezów i Krików. Autor artykułu, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, konkludował: „Kiedy mówimy »my, obywatele Georgii«, mamy na myśli »my, biali obywatele Georgii«. Nie znam i nie chcę znać innych".

Prezydent Andrew Jackson, który w 1830 r. podpisał Ustawę o usunięciu Indian (Indian Removal Act), uzasadniał, że odtąd Indianie „będą mogli dążyć do szczęścia na swój własny sposób, w ramach swoich własnych prymitywnych instytucji" oraz że nie są oni w stanie istnieć „otoczeni przez nasze osadnictwo i w stałym kontakcie z naszym narodem". Zdaniem Jacksona tubylczy Amerykanie nie mieli „ani inteligencji, ani środków, ani moralnych nawyków, ani pragnienia poprawy". I wreszcie: byli oni odrębnym narodem, „żyjącym pośród wyższej rasy, niezdającym sobie sprawy z przyczyn swej ułomności i niepróbującym ich usu-

HELEN H. RICHARDSON / DENVER POST / GETTY IMAGES

*Graffiti na przystanku autobusowym na Cherokee Street w Denver, USA, kwiecień 2018 r.*

nąć". Klasa polityczna bezwstydną deportację całej grupy etnicznej przedstawiała jako akt filantropii, a nieliczni, którzy próbowali występować w obronie praw mniejszości, nazywani byli „negrofilami" i „indianitami".

### Cywilizacja

Stan Georgia i rząd USA zorganizowały jedną z większych masowych deportacji w dziejach nowożytnych. O czymś podobnym marzyli już poprzednicy Jacksona. Prezydenci Thomas Jefferson i James Monroe imaginowali sobie „terytorium indiańskie", do którego będzie można „zepchnąć prymitywne ludy, robiąc miejsce cywilizacji". Na krystalizację planów Jeffersona pozwoliła Pierwsza Wielka Podróż Amerykańska, czyli ekspedycja Lewisa i Clarka z lat 1803-1806 i zakup Luizjany w 1803 r. Dzięki nim terytorium Stanów Zjednoczonych, do tej pory skupione na wschodnim wybrzeżu kontynentu, błyskawicznie rozpięło się aż do Pacyfiku. Znalazło się miejsce dla dzikusów, którzy nie chcieli przyjąć cywilizacji.

Problemem nie była jednak niechęć Indian do „cywilizacji" (czyli świata urządzonego przez białego człowieka), lecz rasizm, na którym ugruntowana została najstarsza nowożytna demokracja świata. O tym, że cała ta argumentacja była nic nie warta, świadczy właśnie przykład Czirokezów i ich „sukces cywilizacyjny". W dekadach poprzedzających deportację zbudowali w Georgii republikę na wzór systemu stworzonego przez białych na Południu. Bardzo szybko przestawili się na uprawę bawełny – tak jak ich biali sąsiedzi mieli własne plantacje i czarnych niewolników, a bawełnę zbywali np. w Nowym Orleanie, konkurując z białymi. Hodowali bydło, owce, świnie i konie, uprawiali kukurydzę, ziemniaki, tytoń. Na kołowrotkach przędli wełnę i bawełnę, potem tkali je na krosnach, uzyskując materiał do wyrobu ubrań i na sprzedaż. Wytyczyli publiczne drogi, przy których postawili tawerny dla podróżnych. Urządzili szkoły, w których nauczycielami zostali misjonarze. Najzdolniejszych uczniów posyłali do szkół w Nowej Anglii – wracali jako prawnicy, lekarze, kaznodzieje.

Na początku XIX w. Sekwoja, z zawodu złotnik i kowal, stworzył sylabariusz w języku czirokeskim. Wielu Czirokezów umiało już przedtem czytać i pisać po angielsku – teraz tysiące z nich w ciągu zaledwie paru miesięcy nauczyło się tego samego w ojczystym języku. Tymczasem wielu ich białych sąsiadów ↦

↦ pozostawało analfabetami. W 1828 r. Czirokezi zaczęli wydawać dwujęzyczny tygodnik „Cherokee Phoenix". Jedenaście lat wcześniej powołali do życia własny dwuizbowy parlament, prezydenta, władze sądownicze i niewielką armię. W 1827 r. przyjęli nową konstytucję, w której stwierdzono, że „naród Czirokezów jest suwerenny i niezależny".

Tego już białym plantatorom na Południu było za wiele. Trzeba się było Czirokezów pozbyć, a żeby to osiągnąć, należało uczynić ich „dzikusami", niegotowymi do przyjęcia „cywilizacji". Sprawa została przesądzona, kiedy w górach Georgii odkryto złoto. A gdy sędzia Sądu Najwyższego orzekł, że stan Georgia nie ma prawa decydować o losie Indian, Jackson miał powiedzieć: „Sędzia Marshall wydał werdykt, niech go teraz wprowadzi w życie". Po czym zabrano się za przesiedlanie Czirokezów, tak jak kilka lat wcześniej ich sąsiadów: Krików, Czoktawów i Czikasawów.

Z całej stutysięcznej tubylczej populacji regionu na Południowym Wschodzie zostało zaledwie 15 tysięcy.

### Rozbita wspólnota

Na Terytorium Indiańskim, czyli w dzisiejszej Oklahomie, Czirokezi szybko zabrali się za odbudowę swoich instytucji. Stworzyli pierwszy system szkolny w USA na zachód od Missisipi. Dziś są drugim co do wielkości – po Nawahach z Arizony – ludem indiańskim w Stanach. Na ich miejsce na Południowym Wschodzie sprowadzono czarnoskórych niewolników, którzy pomnażali dobrobyt swoich cywilizowanych właścicieli. Okazało się, że różne rasy mogą istnieć na tym samym terytorium, byle jedna panowała nad drugą.

Czirokezi przynieśli ze sobą podziały ze wschodu przejawiające się w krwawych porachunkach między frakcją, która dobrowolnie zgodziła się na deportację i podpisała z białymi traktat, a tymi, którzy do samego końca się jej opierali. A gdy wybuchła wojna secesyjna, rozłam ten pogłębił się jeszcze bardziej. Część wojowników walczyła po stronie Północy, część wsparła Konfederację. Stand Watie, przywódca czirokeskiej frakcji konfederackiej, został jedynym indiańskim generałem armii Południa i ostatnim dowódcą, który złożył broń.

Jeszcze do czerwca zeszłego roku na głównym placu w Tahlequah, stolicy Czirokezów we wschodniej Oklahomie, stały naprzeciw siebie pomniki Watiego i Johna Rossa, wodza odłamu, który opowiedział się po stronie Północy. Władze plemienia uznały, że czas najwyższy usunąć pomnik Watiego, bo „przeszkadzał on w mówieniu o naszej historii i jedności, której pragniemy dzisiaj", jak wyjaśnił wódz Chuck Hoskin Jr. Dodał, nawiązując do obecnych protestów Black Lives Matter, że „nasz kraj pogrążony jest w walce rasowej i Naród Czirokezów (Cherokee Nation of Oklahoma) ma do odegrania rolę w procesie uzdrowienia".

U zarania głębokiej zbiorowej traumy, powiada Brandon Hobson, jest wcześniejszy przymusowy eksodus narodu. Deportacja całego ludu to sposób na usunięcie jego kultury, wymazanie tożsamości.

**Według dawnych wierzeń Czirokezów choroba albo śmierć mogły być rezultatem porwania duszy.**

Utrata duszy manifestowała się psychopatologicznym stanem skrajnej melancholii. Była ekstatycznym pragnieniem, podobnym do depresyjnej formy beznadziejnego zakochania.

Bohaterami jego „Tam, gdzie rozmawiają umarli" są więc dzieci okaleczone przez życie, osierocone, wtłoczone w system opieki zastępczej, po omacku szukające punktu oparcia i miłości, podejmujące próby samobójcze. Są tu alkohol, narkotyki i nieumiejętność znalezienia miejsca w świecie. W jakimś stopniu to także książka o doświadczeniu innych tubylczych ludów w Stanach Zjednoczonych – los Czirokezów podzieliło kilkadziesiąt innych grup z całej Ameryki Północnej, zepchniętych na terytorium, które miało pozostać indiańskie „dopóki rośnie trawa i płyną rzeki". Szybko się okazało, że i ta obietnica została złamana, a tubylcze grupy, które zaczęły się organizować na nowej ziemi, musiały stawić czoło napływowi białych osadników, a także innych plemion pozbawianych swych ziem.

W opublikowanym w sieci krótkim eseju Hobson tłumaczy jeszcze: „Szczególnie smutne jest poczucie przemieszczenia, wykorzenienia wśród tubylczej młodzieży: statystyki porwanych i zaginionych każdego roku tubylczych kobiet są zastraszające, podobnie jak tubylczych dzieci umieszczanych w systemie rodzin zastępczych. Wykorzenienie i poczucie utraty i zdrady przez system sięga Szlaku Łez". U Hobsona wspólnoty indiańskiej właściwie już nie ma: są błąkające się bezradnie jednostki i rozdzierane traumą rodziny.

Istnieją współcześni Czirokezi, którzy mogliby sięgnąć po zupełnie inną narrację i opowiadać historię sukcesu XXI-wiecznej indiańskiej „republiki" we wschodniej Oklahomie, z szeregiem dochodowych kasyn, narodu kierowanego przez rzutkich przedsiębiorców robiących kariery w administracji federalnej, na który sąsiednie tubylcze ludy mogą spoglądać z zazdrością. Hobsona nie interesuje jednak historia sukcesu – przydarza się on tak naprawdę nielicznym. Jego opowieści należy czytać jako kontrnarracje wobec opowieści o osadnikach i eksploratorach realizujących „wielki amerykański sen", takich jak wydane niedawno po polsku „W poszukiwaniu granic Ameryki" Stephena Ambrose'a czy „Pionierzy" Davida McCullougha.

### Umieranie

Według dawnych wierzeń Czirokezów choroba albo śmierć mogły być rezultatem porwania duszy. Utrata duszy manifestowała się, jak pisze czirokeski antropolog Alan Kilpatrick, psychopatologicznym stanem skrajnej melancholii. Była ekstatycznym pragnieniem, podobnym do depresyjnej formy beznadziejnego zakochania; ten stan określano jako „błękit". Wyrwaniem z ostrej melancholii, czyli odzyskaniem duszy, musiał zająć się szaman. Jednym ze sposobów było odesłanie ukradzionej duszy do „krainy na zachodzie". W „The Removed" Hobsona to właśnie czyni Tsala, duch mężczyzny rozstrzelanego przez żołnierzy podczas próby buntu na Szlaku Łez. Duch Tsali zajmuje się ratowaniem dusz

MATERIAŁY PRASOWE

*Brandon Hobson*

zbłąkanych Czirokezów, próbującym uciec ze świata urządzonego przez białych ludzi i wrócić do swych cierpiących rodzin.

Bohaterowie obu książek Hobsona znajdują się właśnie w takim stanie permanentnej okrutnej melancholii – nie przypadkiem powtarza się powracający motyw niebieskiego światła wypełniającego pomieszczenia, w których znajdują się bohaterowie. Nastolatkowie z „Tam, gdzie..." są ofiarami własnych rodziców i niedoskonałego systemu, oddającego ich do schronisk, sierocińców i rodzin zastępczych, które w każdej chwili mogą z nich zrezygnować, gdy podopieczni nie będą przestrzegać ustalonego przez opiekunów regulaminu. Albo trafią do takiej rodziny jak powieściowi Trouttowie, w której z kolei nie ustala się żadnych zasad, a dzieci są tu sposobem na łatwe uzyskiwanie federalnych funduszy na opiekę. Narrator zaś, 15-letni Sequoyah (Sekwoja), noszący imię słynnego Czirokeza, ocknie się ze swej okrutnej melancholii, ustawi tipi na podwórku przed domem Trouttów i zabierze się za „spisywanie własnych opowiadań: o Indianach i potworach, o zabójcach, którym wyprano mózgi, o tajemniczych śmierciach w zmyślonym miasteczku w Oklahomie".

Trudno tu nie myśleć o samym Hobsonie, który właśnie opowiedział historię umierania w wyimaginowanym miasteczku w Oklahomie. A zatem terapią byłaby sama literatura i opowiadanie – na nowo – czirokeskich legend, takich jak te, w których ludzie toczą boje z wężami-potworami albo usiłują wyrwać się z Ciemniejącej Ziemi, czyli zaświatów, jak Edgar, bohater „The Removed". Sequoyah przynajmniej postanawia znaleźć równowagę: „Szykowałem się na to, co miała mi przynieść przyszłość".

Zapowiedź spisywania opowiadań o Indianach i potworach zostaje także zrealizowana w najnowszej książce Hobsona. „Tam, gdzie..." i „The Removed" się przenikają, chociażby poprzez powtarzanie wątków, motywów i scenografii: bohaterowie niezdarnie szukający swoich rodzin, wymyślone małe miasteczka pełne dziwaków i pomyleńców, nieustanne rozmyślanie bohaterów o śmierci i ocieranie się o nią, obecność zwierząt-posłańców z zaświatów, duchy i wizje senne. „Możecie odczytywać »Tam, gdzie rozmawiają umarli« jako horror, ale możecie też czytać tę powieść jako realistyczne przedstawienie zranionego umysłu" – mówi w jednym z wywiadów sam autor.

Zakończenia obu powieści są jednak uzdrawiające. Cienie przodków zasiadają wśród żywych, a współcześni bohaterowie, którym udało się wymknąć śmierci, gotowi są ze spokojem przyjąć to, co przyniesie przyszłość. Najważniejsze jest to, co dobrze oddaje angielskie słowo *„healing"* – wylizywanie się z duchowych ran. Szukają nie szczęścia, lecz złagodzenia bólu, nie chcą wybaczać, bo krzywd im wyrządzonych nie sposób wybaczyć, ale chcą znaleźć sposób, żeby z nimi żyć. W pierwszej powieści *healing* dotyczy tylko bohatera-narratora, który podejmuje próbę odnalezienia się po samobójczej śmierci przyjaciółki; w „The Removed" obejmuje zarówno jednostki, jak i cały naród, nie wyłączając przodków.

Literatura w przypadku Hobsona jest schronieniem – miejscem, gdzie można jeszcze raz wypróbować czirokeską magię i przywrócić rzeczy do porządku.

### Co dalej?

W jakim kierunku podąży sam autor, eksplorujący czirokeską duszę i usiłujący leczyć ją ze zbiorowej i jednostkowej traumy? Czy w przyszłości spróbuje ukazać Czirokezów nie tylko jako ofiary? Czy w jego literackim świecie znajdzie się miejsce na mniej chlubną wersję ich historii?

Parę lat przed deportacją z Georgii Czirokezi pomagali generałowi Jacksonowi (temu samemu, który potem został prezydentem) ujarzmić zbuntowanych Krików. Od białych przejęli system niewolnictwa, ich czarni niewolnicy wraz z nimi przeszli Szlak Łez, a Najwyższy Sąd Czirokezów dopiero teraz, 22 lutego tego roku, 183 lata po deportacji, uznał, że potomkowie czirokeskich czarnych niewolników mają pełne prawo być obywatelami Narodu Czirokezów.

Rząd Narodu Czirokezów skutecznie tłamsi aspiracje polityczne mniejszych grup tubylczych, które w drugiej połowie XIX w. sprowadzono na ziemie Czirokezów w Oklahomie. Czy bez pochylenia się nad traumą innych Czirokezi będą w stanie odnaleźć swoją tożsamość? Będą mogli uznać, że wiedzą, kim są?

© BARTOSZ HLEBOWICZ

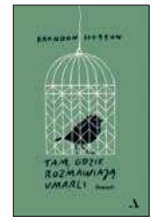


*Brandon Hobson,*
**„TAM, GDZIE ROZMAWIAJĄ UMARLI"**
*Przełożył Jarek Westermark, Agora, Warszawa 2021 r.*

# Trzymani na muszce

ANITA PIOTROWSKA

**Choć „Prime Time" przenosi nas do odległej epoki, kiedy byliśmy gorzej ubrani i dzwoniło się z oldskulowych nokii, to pewne mechanizmy, jak te związane z przemocą, wyglądają znajomo.**

Miała być milenijna pluskwa, mała apokalipsa lub nowy wspaniały świat. Tymczasem, niezależnie od oczekiwań i obaw, większość Polaków spędziła sylwestra 1999 roku dość banalnie, a większość z tych, którzy pozostali w domach, witała nowe tysiąclecie przed telewizorem – z prezydentem Kwaśniewskim, Janem Pawłem II, Marylą Rodowicz czy rodziną Kiepskich. Jednakże tej nocy słowa wypowiadane na ekranie miały szczególną moc. Dlatego bohater filmu „Prime Time", zagrany przez Bartosza Bielenię, wtedy właśnie podejmuje desperacką walkę o swój prywatny czas ekranowy.

Fabularny debiut Jakuba Piątka, znanego z dokumentu „One Man Show" i etiudy „Users", moment rytualnego przejścia pokazuje z perspektywy studia telewizyjnego, skąd transmituje się sylwestrowe widowisko. Kiedy na plan wpada uzbrojony napastnik, program zostaje przerwany, rzekomo z powodu „drobnych problemów technicznych", ale Sebastian jest gotów na wszystko, żeby znów dostać się na wizję i wyrzucić z siebie przekaz spisany na wyświechtanych kartkach. Zakładnikami stają się popularna prezenterka Mira (Magdalena Popławska) i ochroniarz Grzegorz (Andrzej Kłak), przybyli zaś na miejsce antyterroryści i negocjatorzy próbują zażegnać kryzys. Najbezpieczniej byłoby oczywiście spełnić warunki intruza: włączyć kamery i pozwolić mu na publiczną wypowiedź, lecz na to wydawczyni programu (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) nie może się zgodzić. Co by było, gdyby miliony polskich telewidzów usłyszały w noworocznym orędziu jakieś niecenzuralne przesłanie? Zresztą i tak o wszystkim musi zadecydować prezes i wiele wskazuje na to, iż rzecz dzieje się w siedzibie publicznej stacji telewizyjnej.

Piątek i jego współscenarzysta Łukasz Czapski unikają podpowiedzi, jakiej sprawy rzecznikiem mógłby stać się ich bohater – noszący bejsbolówkę, nabuzowany gniewem, na pierwszy rzut oka typowy „Seba" z ulicy. Na monitorach w tle migają obrazki z Polski lat 90. – protestujący górnicy, rolnicy i pielęgniarki, przygotowana do rychłej emigracji młodzież, a ze znanych twarzy: młodsi o dwadzieścia lat Leszek Balcerowicz i Janusz Korwin-Mikke. Ale wątek transformacyjny czy socjologiczny pozostaje gdzieś na dalekim planie, bo twórców najbardziej interesuje sam Sebastian – czyli to, co dzieje się z nim i w nim, oraz to, co wydarza się między głównym bohaterem a innymi postaciami dramatu. Zamknięci w gmachu telewizji, prowadzą ze sobą nawzajem rozmaite gry: o przeżycie, o władzę, o uwagę. Gdy w pewnej chwili dołącza do nich ojciec Sebastiana (Juliusz Chrząstowski), nakręca się jeszcze bardziej ryzykowna drama, złożona z wstydliwie osobistych szczegółów i traum przeszłości. Emocjonalna temperatura tego „widowiska" sięga wtedy punktów krytycznych. Pojawia się także sugestia, skąd bierze się w bohaterze poczucie wykluczenia i dlaczego rozgorączkowany chłopak z pistoletem, domagający się udzielenia mu głosu, w niektórych okolicznościach zacina się i jąka.

Choć tego rodzaju dreszczowce chciałyby przez cały czas trzymać widza na muszce, w „Prime Time" konwencjonalne napięcie podporządkowane zostaje siłom odśrodkowym: rządzącemu w studiu chaosowi i nieprzewidywalnej dynamice spięć międzyludzkich. Sebastiana wściekłość i rozpacz zaczynają wyzwalać w innych tłumione dotychczas emocje. Na przykład u Miry – gwiazdy telewizyjnej, która mimo splendorów czuje się osobą wewnętrznie zdegradowaną, albo u wrażliwej negocjatorki Leny (Monika Frajczyk). Pomiędzy Sebastianem a nimi wytwarza się nawet pewien rodzaj bliskości, aczkolwiek przyznać trzeba, że nasza wiedza o tych postaciach do końca pozostaje nader znikoma. I wynika raczej z domyślnej psychologii niż ze stosunków panujących w instytucjach typu telewizja czy policja, jakkolwiek można dopatrzyć się paru znaczących drobiazgów, związanych z tamtejszymi zależnościami i hierarchiami.

Przypomnijmy, iż jesteśmy w czasach, kiedy telewizja była bogiem, jako że internet dopiero się rozkręcał. Bohaterowi Bieleni daleko jednak do atencjusza z prze-

RADIO KRAKÓW
**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".** Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

WATCHOUTSTUDIO / MATERIAŁY PRASOWE

*Bartosz Bielenia (Sebastian) i Andrzej Kłak (ochroniarz) w filmie Jakuba Piątka „Prime Time”*

możnym parciem na szkło – to człowiek na krawędzi. Występ w porze największej oglądalności daje mu widzialność i słyszalność, której najwyraźniej odmawiano mu dotychczas w dosłownym bądź symbolicznym wymiarze, na gruncie rodziny, uczelni, życia osobistego i społecznego.

Jednakże na pytanie, co właściwie Sebastian chciał przekazać swoim rodakom na przełomie mileniów, „Prime Time” nie daje odpowiedzi. Albo podsuwa taką, która redukuje frustrację Sebastiana do jednego tylko aspektu. Czy takie uogólnienie lub zawężenie rzeczywiście filmowi służy? Z pewnością nie zamyka go w kapsule czasu. Choć Piątek przenosi nas do odległej epoki, kiedy byliśmy gorzej ubrani, kiedy jeszcze bez obawy korzystało się z solariów i dzwoniło z oldskulowych nokii, to pewne mechanizmy, na przykład związane z przemocą, w gruncie rzeczy wyglądają znajomo. Z jednej strony mamy bowiem akt bezradności i desperacji, w którym ktoś chwyta się ekstremalnych środków, z drugiej zaś tępą przemoc sankcjonowaną przez władzę.

Kamera Michała Łuki filmuje ludzi w potrzasku – telewizyjnie, ciasno, płasko, w maksymalnych zbliżeniach – i nie tylko w związku z sytuacją napadu. Głuche, depresyjno-industrialne dźwięki zakomponowane przez Teoniki Rożynek pogłębiają wyobcowanie i klaustrofobiczność. Paliwem tej historii są niewątpliwie aktorzy, przez wielu z nas kojarzeni głównie z zamkniętych obecnie teatrów – tym większa jest przyjemność oglądania ich i słuchania. Bielenia, który w jakimś sensie gra tu przedłużenie swej roli z „Bożego Ciała” Jana Komasy, czyli „złego chłopaka” niosącego światu ważne przesłanie, magnetyzuje podwójnym wcieleniem agresora i ofiary. Film „Prime Time”, nakręcony w warunkach covidowych i pokazany w konkursie Sundance, nie serwuje milenijnych fajerwerków czy ostatecznych proroctw. Zamiast tego skupia się na zaszczutej jednostce, dla której każda chwila może mieć ciężar ostatecznej. ©

**PRIME TIME** – *reż. Jakub Piątek. Prod. Polska 2021. Dostępny na Netfliksie od 14 kwietnia.*

## WARTO ZOBACZYĆ

### 1. Siedzący słoń

*Dramat, reż. Hu Bo, Chiny 2018, Nowe Horyzonty VOD*

**Jeden dzień z życia, prawie cztery godziny projekcji, ale jakże warto. Przed nami zaplątana w czasie, gęsta psychologicznie opowieść, której zalążkiem jest szkolny incydent, determinujący i łączący ze sobą losy czworga bohaterów. A do tego współczesne Chiny z całą specyfiką lokalnych realiów i zarazem bliższe niż kiedykolwiek.**

### 2. Dramatyczny rok

*Dokumentalny, reż. Marta Pulk, Estonia 2019, mdag.vod*

**W czasach kulturalnego lockdownu przygody Alissiji mogą wyglądać cokolwiek surrealistycznie. Jest to bowiem historia dziewczyny, która wygrała casting na recenzentkę teatralną, i jednocześnie eksperyment społeczny – czy regularne bywanie w teatrze jest w stanie zmienić czyjeś życie? W przypadku bohaterki to istny maraton (200 spektakli w ciągu roku), który niewątpliwie ma swoje konsekwencje.**

### 3. Etos

*Serial, reż. Berkun Oya, Turcja 2020, Netflix*

**Między turecką telenowelą, społeczną panoramą i egzystencjalnym dramatem z psychoterapią w roli głównej rozgrywa się historia kilku kobiet z dzisiejszego Stambułu. Niezależnie od tego, z jakich środowisk pochodzą, ich ścieżki przecinają się w zaskakujących momentach. Tworzą obraz świata radykalnie podzielonego, a zarazem pełnego punktów wspólnych i zanurzonego w tamtejszej kulturze.**

### 4. Jeszcze jest czas

*Dramat, reż. Viggo Mortensen, Kanada/ Wielka Brytania 2018, Mojeekino.pl*

**Znany aktor debiutuje za kamerą i od razu z sukcesem. Mortensen gra postać dojrzałego mężczyzny, który przyjmuje pod swój dach zniedołężniałego ojca, mimo skomplikowanej wspólnej przeszłości i licznych różnic nie do pogodzenia. Najtrudniej jest poradzić sobie z ojcowską homofobią, ale bohater próbuje jakoś posklejać to, co zrazu wydaje się tak bardzo odległe – światopoglądowo i emocjonalnie.**

JAN

# Klata:
## *U rodziny*

Obchodzenie. Urodziny. Co to znaczy „mieć urodziny". Osoba, która mnie urodziła, wpajała mi. Wpajała mi, żeby urodzin jakoś szczególnie nie obchodzić, bo i co to za okazja. Jakby z góry zaplanowała, że moja osiemnastka przypadnie w Wielki Piątek. Nie to, żebym miał pretensje, broń Boże, po prostu konstatuję. Zaiste, człowiek „przychodzi na świat", a raczej na świat wychodzi, niepytany – jak trafnie zauważyła Laurie Anderson, konsekwentnie bezdzietna. Przychodzimy z płaczem – co zaobserwował nieco poniewczasie pewien stary tytułowy król w tragedii. Pierwszy raz smakując powietrze, kwilimy, natomiast cmentarne powietrze czyni wolnym, przeto postanowiłem obejść urodziny u Mamy.

Jeszcze się dobrze nie rozgościła, takie przynajmniej moje wrażenie, subiektywne, bo co tu może być obiektywne, z wyjątkiem działki na cmentarzu – było nie było, nieruchomość *sensu stricto*. I tak patrzy jubilat na bolesną wyrwę w Matce Ziemi, a rany jeszcze świeże, ziejące, niezabliźnione, perspektywa nieodgadła. Metafizyczna dziwność nie-istnienia. No i tak, w jakimś przypadkowym dniu moich akurat urodzin, przyszedłem do wielce nieprzypadkowej osoby, niebywale wspaniałej osoby, która mnie urodziła, rodziła w bólach, gdyż wyjść nie chciałem, się zapierałem, żeby tylko nie zawitać na tym łez padole. Pierwsze takie urodziny, pierwszy marzec nasz z Mamą wspólny, dwuwektorowy, a może kolisty, kto go tam wie, też już zdążył przeminąć. Ale jeszcze pamiętam. Dopóki pamiętam – zapiszę.

Osoba, która mnie urodziła, nauczyła mnie czytać – nic ważniejszego i równie niebezpiecznego już mi się w życiu nie przydarzy. Reszta to przypisy, petitem.

Urodziny. Zobowiązanie. Nie ma się z czego cieszyć. Jest za co dziękować nad grobem. I dorosnąć. ©

# Lektor:
## *Artysta, czyli potwór*

▪ *Sylwia Frołow*
**ANTONÓWKI. KOBIETY I CZECHOW**
*Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, ss. 248.*

Najpierw zdjęcie. Dwie wspaniałe stare damy w długich kwiecistych sukniach siedzą na parkowej ławce. Jedna narzuciła na ramiona wzorzystą chustę, drugą chroni od chłodu kardigan, patrzą na fotografa z wyrozumiałym uśmiechem. Pierwsza to aktorka Olga Knipper-Czechowa, wdowa po autorze „Wiśniowego sadu", druga – jego ukochana siostra Masza. Jest połowa lat 50., Anton Czechow umarł pół wieku wcześniej na gruźlicę, ale przyjaźń Olgi i Maszy wciąż trwa, mimo że Masza była kiedyś przeciwna małżeństwu brata. Korespondencja przyjaciółek zajmie dwa grube tomy.

To dla mnie główne bohaterki tej książki, arcyciekawej, choć czytelnikowi radzę podczas lektury szkicować drzewo genealogiczne, by się nie pogubić w gąszczu postaci noszących często te same imiona. Bo obok Michaiła Czechowa – brata Antona – jest Michaił Czechow – jego bratanek, aktor, który wyjechał do Ameryki, był nominowany do Oscara i uczył techniki gry, między innymi Marilyn Monroe. Jest też Olga Knipper-Czechowa młodsza – bratanica żony Antona i pierwsza żona Michaiła juniora, gwiazda filmu niemieckiego i ulubienica Hitlera, zapewne też współpracownica radzieckich służb (dla służb pracował na pewno jej brat, kompozytor Lew Knipper). Olga-juniorka zmarła w 1980 r., a przed śmiercią, jak Anton Czechow, wypiła lampkę szampana. Szampana podała jej wnuczka, Vera Tschechowa, która kiedyś romansowała z Elvisem Presleyem i – inaczej niż Elvis – naprawdę wciąż żyje...

Wszystko to dla zachęty, więc teraz zastrzeżenie, że „Antonówki" nie są tanią sensacją, ale solidnie udokumentowaną opowieścią o zdumiewających czasem relacjach pomiędzy genialnym (i bardzo przystojnym) pisarzem a licznym gronem otaczających go kobiet. Autorka patrzy właśnie z perspektywy owych kobiet. „Moje życie poświęciłam bratu" – napisze Masza, która nigdy nie wyjdzie za mąż (choć ciepłe relacje łączyły ją z Iwanem Buninem), opiekować się będzie spuścizną Czechowa i strzec jego muzeum w Jałcie.

A związki Antona? Przed Olgą będzie Jewdokia Efros, wielkiej urody Lidia Mizinowa zwana Liką, pisarka Lidia Awiłowa... Także jednorazowe przygody, o których wiemy ze szczerej korespondencji z braćmi, i po prostu wizyty w burdelach.

I jeszcze jeden temat: wykorzystanie miłosnych i erotycznych doświadczeń w budowaniu postaci zaludniających Czechowowskie opowiadania i dramaty. Artysta jako potwór? Temat wciąż aktualny. ©℗

PAWEŁ

# Bravo:
## *Widok przez lufcik*

Czterdzieści procent całej energii, jaką zużywa Europa, idzie na ogrzanie budynków. To nie wygląda wcale zielono, szczególnie w tych regionach, gdzie kaloryfery zasilają ciepłownie opalane węglem. Na co dzień mierzymy się z bolesnymi wizualnie skutkami tego problemu. Szeroko dokumentowana pasteloza spadła na kraj niejako przy okazji opakowywania osiedli styropianem, czyli ich dekarbonizacji.

Mierzi mnie ten słowotwórczy pokurcz (odwęglowienie nie brzmi wcale lepiej). Sam jednak wysiłek wydaje się słuszny i niepodlegający dyskusji. Ludzkość produkuje coraz lepsze izolacje i inteligentne systemy sterowania obiegiem powietrza. Ale oto na prostym, świetlistym szlaku inżyniera i urzędnika rozkraczył się ciągle jeszcze niewyrugowany ze społeczeństwa zwyczajny człowiek ze swoimi przyzwyczajeniami. W Niemczech ambitny cel redukcji zużycia energii w budynkach o trzy czwarte w 30 lat szlag trafi nie z braku pieniędzy na modernizację, tylko dlatego, że miłujący higienę naród lubi wietrzyć pokoje. I upiera się, by robić to tak, jak czynili pradziadowie: uchylając lufcik. Gdybyż jeszcze stosował zalecaną przez ekspertów metodę *Stoßlüften*, czyli szokowej wentylacji – otwieramy na oścież okno na 10 minut i gotowe! Ale to niemożliwe, z prostej przyczyny, której nie uwzględnili projektanci lepszego jutra: w każdym porządnym domu parapet służy do trzymania kwiatków i ozdób umilających paskudny nieraz widok za oknem. Okna zaś otwierają się do środka, zatem szokowy system wymagałby uprzątnięcia całego tego majdanu.

Bratki, hiacynt, rozmaryn, werbena, gliniane jajo, płaskie kamyki, osmalona pamiątkowa maszynka do kawy i liczne zdjęcia dzieci w ramkach – podnoszę wzrok znad blatu i nagle widzę swój zabarykadowany parapet jako problem planetarny. Oswajam mikroświat, czyniąc szkodę światu w skali makro. Na tym nie koniec. Przecież mój upór, żeby nie mieć kuchenki indukcyjnej, to brzemienny w konsekwencje gest.

Wiem, że jest energooszczędna, korzystałem często-gęsto w cudzych domach i lokalach, ale dalej jej nie znoszę. Przyznaję jej pomocnicze funkcje: można w try miga zagotować wodę na makaron. Albo odgrzać już gotową zupę (chociaż to sprawniej załatwi mikrofala – w dodatku zaoszczędzimy wodę na zmywanie garnka). Mógłbym mieć jedną pomocniczą płytkę z boku. Ale zasadniczo musi być żywy ogień.

Nie jestem aż takim nostalgikiem, jak mój serdeczny druh od garnka i butelki, który jeździ specjalnie na wieś, żeby robić bigos na opalanej drewnem kaflowej kuchni. To już się nie wróci. Nie w kamienicy, nie przy tym trybie życia. I nie kiedy miasta kaszlą od smogu. Gaz i jego płomień – ulotniejszy, bledszy – to dla mnie wystarczający kompromis. Muszę widzieć żywioł, muszę móc go regulować w ułamku sekundy.

Dlatego przenosząc się do kolejnych mieszkań, pytam zawsze: jest gaz? Coraz trudniej go znaleźć, zapewne z racji niewygody w podłączaniu i lęku przed wybuchem – a nie z powodu troski o klimat czy geopolitycznej niechęci do korzystania z ruskiej rury. Powiecie, że ilekroć pstryknę rano iskrą, aby zeszklić słoninkę i cebulę do jajka – czyli praktycznie codziennie – to Putin na Kremlu woła „*Nu, molodec!*”, a z arktycznego lądolodu odrywa się kolejna kra? Co gorsza, potem tę cebulę muszę wywietrzyć, ziębiąc mieszkanie. Dodacie, że cała ta miłość do ognia, wszystkie te atawizmy – to tylko tani wykręt, bo czemuż w takim razie nie śpię na gołej ziemi? Może się w końcu przełamię, jeśli za którąś bytnością w Berlinie zobaczę puste parapety. ©℗

VISIVASNC / ADOBE STOCK

*Na ostatnie dni chłodu zróbmy sobie bardzo sycącą, choć w sumie nie taką ciężką dla wątroby zapiekankę, która mylnie bywa zwana „bakłażanami po parmeńsku”. Włoska nazwa nie brzmi: „melanzane alla parmigiana”, lecz odwrotnie: „parmigiana di melanzane”, i nie ma w tym odwołania do Parmy, z całym szacunkiem dla tego miasta, które dało nazwę szynce i serowi. To słowo w południowych dialektach określa drewniane listewki w żaluzjach, co zaś ma korzeń w łacińskim „parma”, czyli „tarcza”. Kroimy ok. 1 kg bakłażanów w cienkie plasterki (4-5 mm), jeśli mamy czas, to posypujemy je solą i przekładamy do durszlaka, dociskamy i czekamy pół godziny, aż odsączy się z nich część wody. W tym czasie przygotowujemy sos pomidorowy: dusimy aż do gęstości dwie puszki pomidorów na oliwie z dwoma ząbkami czosnku. Płuczemy i delikatnie suszymy bakłażany. Na patelnię wlewamy sporo oliwy i zaczynamy je smażyć. Kiedy osiągną złoty kolor (po ok. 3 minutach), przekładamy je na talerz wyłożony ręcznikiem papierowym. Można też spróbować zrumienić je na suchej patelni albo w piecu, wyjdzie lżejsze danie. Dno brytfanki ok. 20x30 cm smarujemy sosem, kładziemy warstwę bakłażana „w dachówkę”, dalej znów sos, plasterki mozzarelli, powtarzamy tak ze dwa razy, na wierzch oprócz sosu szczodra garść parmezanu. Pieczemy co najmniej pół godziny w 200 stopniach, aż utworzy się skorupka. Dobrze dać daniu „odpocząć” parę godzin i znów podgrzać przed podaniem. Znam takich, którzy wzmacniają moc tej tarczy przeciw smutkom, dokładając pośrodku warstwę cienko pokrojonej szynki.*

# RODZINA NA BOGATO

Historia Korei w wielu miejscach przebiega zaskakująco równolegle do historii Polski. Dlaczego więc nie mamy polskiego Samsunga, tylko Orlen? I czy na pewno powinniśmy żałować?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Ćwierć wieku temu w moim życiu pojawiło się Daewoo. Byłem rodzinnie związany z fabryką FSO na Żeraniu (mnóstwo sentymentu dla polskiej motoryzacji wciąż pozostało w moim serduszku) i doskonale pamiętam nadzieje, jakie nowy koreański inwestor obudził wśród pracowników. Charakterystyczny znaczek z muszelką był wszędzie. Przez chwilę wydawało się wręcz, że Koreańczycy przejęli nie FSO, lecz całą Polskę. Espero i tico zaczęły wypełniać parkingi, urozmaicając pejzaż zdominowany przez polskie fiaty i polonezy. Rodzice zdecydowali się na granatową nexię, która zastąpiła naszego dzielnego malucha. Daewoo wypełniało też wnętrza, stopniowo podbijając rynek AGD. Nawet CWKS Legia zmieniło się nagle w Legię Daewoo. Na fabrycznych koloniach dostaliśmy koszulki i czapeczki z logo koreańskiego giganta, co było o tyle problematyczne, że odbywały się one pod Łodzią, gdzie niepodzielnie panował Widzew – największy rywal Daewoo Legii, rozgrywający właśnie jeden z najlepszych sezonów w historii klubu.

Niestety, historia Daewoo w Polsce skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Koreańczycy mieli uratować FSO, lecz zabił ich azjatycki kryzys finansowy. Upadek giganta był niemal tak gwałtowny jak upadek wspomnianego Widzewa.

A jednak Korea się nie poddała. Umocniła i rozbudowała swoje przyczółki nad Wisłą. Dziś z koreańskich produktów korzystamy znacznie częściej niż w złotej erze Daewoo Legii. W typowym polskim domu ogląda się telewizję na jednym z wielkich ekranów Samsunga, drugi zaś, mniejszy, nosi się w kieszeni. W lodówce LG chłodzi się czekolada Wedla (właścicielem marki jest koreański koncern Lotte), a na parkingu pod blokiem z dużym prawdopodobieństwem stoi samochód Kii lub Hyundaia. Wszystkie wymienione firmy to właśnie czebole – gigantyczne konglomeraty przemysłowe, których specyfikę stanowi uniwersalność, rodzinna struktura własności i silne związki z państwem.

Co sprawiło, że w zrujnowanej kolejnymi wojnami i trawionej autorytaryzmem Korei narodziło się aż tyle przemysłowych

PIOTR JEDRZEJCZYK / STUDIO69 / FORUM

gigantów? Czy tego rodzaju przedsiębiorstwa mogłyby powstać nad Wisłą? Dlaczego właściwie nie mamy polskiego Samsunga? I czy powinniśmy żałować? Nadarzają się właśnie dwie wyśmienite okazje, by zadać sobie wszystkie te pytania.

Pierwszą z nich jest publikacja polskiego przekładu książki Geoffreya Caina „Republika Samsunga". Cain, wieloletni korespondent „The Economist", antropolog i badacz Korei, opowiada w niej fascynującą historię elektronicznego giganta, którą niewątpliwie powinno zainteresować się HBO poszukujące godnego następcy „Gry o tron".

Drugi pretekst do poważnej rozmowy o czebolach to seria publikacji dotyczących rozmów, nieruchomości i biznesowych poczynań prezesa Daniela Obajtka. Czy Orlen po kupieniu Polska Press i fuzji z Lotosem stanie się polskim czebolem? Czy rozszerzając ofertę na kolejne obszary rynku, ma szansę uwolnić się z surowcowej pułapki i stać się eksportową potęgą? Jakie może i powinno być jego znaczenie w realizacji polityki gospodarczej państwa? Czy rzeczywiście bogacenie się „sprytnych jednostek" jest kosztem, z którym musimy się pogodzić? Krótki kurs kultury i historii Korei może ustawić debatę o Orlenie w zupełnie nowej perspektywie.

### Historia

Niewielki kraj w potrzasku między potężnymi sąsiadami. Zabory, obce wpływy, mozolne wykuwanie politycznej tożsamości. XX wiek przynosi terror okupacji, upragnione wyzwolenie, a zaraz potem podział wpływów przez światowe mocarstwa według linii arbitralnie wyznaczonej na mapie. Rozpoczyna się wyniszczający konflikt między komunistami i antykomunistami, a potem dyktatorskie rządy ciągnące się w zasadzie przez całą drugą połowę XX w. Brzmi znajomo, prawda? Historia Korei w wielu miejscach przebiega zaskakująco równolegle do historii Polski.

To właśnie ta historia stanowi tło niezbędne do zrozumienia fenomenu czeboli. Losy rodziny i firmy splatają się tu z Historią przez wielkie H niczym w epickiej powieści iberoamerykańskiej albo kolejnym serialu TVP.

Lee Byung-chul zaczynał skromnie – od handlu ryżem. Gdy jego pierwszy interes został zamknięty, Lee wybrał się w podróż, by odnaleźć nowe biznesowe szanse. To doprowadziło go do wejścia na rynek handlu warzywami i rybami. Zatrudniająca 19 pracowników firma sprowadzała ze wsi świeże produkty, które następnie wysyłano do Mandżurii, gdzie potężna japońska armia nieustannie potrzebowała prowiantu.

Lee nie tylko więc kształcił się w Tokio, gdzie podpatrywał japońską kulturę *zaibatsu*, ale też wzbogacił się na handlu z okrutnym okupantem. Nawet sama nazwa interesu: „Samsung Sanghoe" („sklep trzech gwiazd") niepokojąco przypomina japońskie Mitsubishi („trzy diamenty") – jak zwraca uwagę Geoffrey Cain.

Gdy w 1945 r. japońskie imperium zawaliło się po bombardowaniu Hiroszimy, Lee szybko nawiązał współpracę z nowymi hegemonami w regionie. Douglas MacArthur i współpracujący z nim, zachwycony Ameryką prezydent Syngman Rhee zamierzali wprowadzić w Korei kapitalizm w zachodnim stylu, a ludzie tacy jak Lee doskonale się do tego nadawali.

Jednak Samsung nie cieszył się długo udziałem w odbudowie zrujnowanego kraju. Po wyzwoleniu spod japońskiego jarzma północna część półwyspu pozostawała pod wpływem Związku Radzieckiego. Pięć lat po zakończeniu wojny wojska komunistycznej Północy przekroczyły granicę arbitralnie wyznaczoną na 38 równoleżniku. Rozpoczął się kolejny krwawy konflikt. Wśród huku zbliżających się dział Lee w pośpiechu sprzedał to, co pozostało z Samsunga. Pieniędzy wystarczyło na ↦

*Ukończony w 1999 r. wieżowiec Daewoo w Warszawie. Wówczas tylko Pałac Kultury był nieco wyższy. Sierpień 1999 r.*

↦ zakup pięciu ciężarówek, którymi ewakuowano na południe pracowników firmy i ich rodziny.

Trzy lata później, gdy ogłaszano zawieszenie broni (traktatu pokojowego nie podpisano do dzisiaj), cała Korea była pobojowiskiem i jednym z najbiedniejszych krajów świata z PKB na głowę mieszkańca poniżej stu dolarów (ówczesny poziom Sudanu), pozbawionym jakiejkolwiek infrastruktury. Przedsiębiorczy Lee nie próżnował. Natychmiast nawiązał kontakty z administracją Sygmana Rhee, zdobywając rządowe przywileje, dostęp do pieniędzy z zagranicznych kredytów i doskonałą pozycję w ramach specyficznego systemu substytucji importu.

Po tym, jak studenckie protesty zmusiły Rhee do ucieczki z kraju, nastąpił krótki okres niepewności, po którym władzę przejął Park Chung-hee – wojskowy, dyktator, wizjoner i twórca gospodarczej potęgi Korei. Zamach stanu z 1961 r. to początek dziwnego aliansu między czebolami i władzą. Park był sceptyczny wobec wielkich koncernów. W trybie pilnym wezwał Lee z podróży po Japonii, gdzie wówczas przebywał szef Samsunga, po czym bezceremonialnie wsadził go do więzienia. Nie minęło jednak wiele czasu i Lee zdołał sobie wynegocjować układ także z nową władzą. Stał się „głosem rozsądku" przekazującym polecenia innym biznesmenom w ramach Forum Przedsiębiorców.

Pod osłoną państwa Samsung założył cukrownię, a następnie przędzalnię wełny. Później inwestował w nawozy, by wreszcie rozszerzyć działalność na półprzewodniki i sprzęt elektroniczny. Ta wszechstronność wyróżnia koreańskie czebole i ich twórców. Bo historia Lee Byung-chula jest tak ciekawa właśnie dlatego, że nie jest wyjątkowa. Podobnie przedstawiają się losy ojców założycieli pozostałych czeboli.

Horror wojny, skrajne zniszczenie, bieda. Trudno sobie wręcz wyobrazić, z jakiego poziomu startowała Korea pod koniec lat 50. Władza się zmieniała, a Samsung trwał. Rósł w siłę, wraz z nim zaś cała koreańska gospodarka, ale także rodzinna fortuna.

### Rodzina

Koreańskie słowo „czebol" dosłownie oznacza „bogata rodzina". Do jego zapisu używa się dokładnie tych samych chińskich znaków, które w Japonii oznaczały „zaibatsu" – potężne rodzinne firmy sprzed roku 1945. Czebol to jednak coś więcej niż nasza polska „rodzinna firma" przeniesiona w gigantyczną skalę.

Struktura i kultura organizacyjna czeboli jest głęboko przeniknięta konfucjańską tradycją. Prezesa i menedżerów, niczym dawnych władców i ich ministrów, obowiązują reguły wspaniałomyślności i dobrego zarządzania. Ich podwładnych z kolei – bezwzględne posłuszeństwo i najwyższy szacunek. Wszystkich zaś łączy *li*, a więc konfucjańska zasada, którą określić można jako dobry obyczaj czy ceremonialność – robienie rzeczy tak, jak powinny być zrobione. Czebol jest więc, podobnie jak dobrze zarządzane państwo, rodziną w sensie metaforycznym. Organizuje go śmiała ojcowska wizja i bezwzględne synowskie posłuszeństwo.

Historie koreańskich gigantów to także historie rodziny w całkiem dosłownym sensie. „Republikę Samsunga" śledzi się miejscami jak „Rodzinę Soprano" albo „Żywoty cezarów" Swetoniusza. Wizję niewiele dzieli tu od szaleństwa, a charyzmatyczni liderzy bardziej przypominają szekspirowskich krwawych despotów niż gwiazdy Doliny Krzemowej takie jak Steve Jobs czy Bill Gates.

Pierwotnie, zgodnie z konfucjańską tradycją, dziedzicem imperium Samsunga miał zostać najstarszy syn założyciela. Niestety, Lee Maeng-hee okazał się „gwałtowny i rozpustny". Cain przywołuje m.in., jak zmusił jednego z wysoko postawionych dyrektorów do klęczenia w swoim gabinecie. Ostatecznie prezes Lee I odsunął pierworodnego od władzy. Dziedzic Samsunga spędził resztę życia jako samotnik w małej nadmorskiej wiosce, gdzie ironicznie przezywano go „prezesem".

Schedę po ojcu miał objąć drugi syn, ale wkrótce po otwarciu przez Samsunga gigantycznej fabryki nawozów okazało się, że znikają z niej tony chemikaliów wyprowadzane nielegalnie na rynek. W wyniku tej afery następca tronu trafił na pięć lat do więzienia. Ostatecznie, niczym w baśni, na dziedzica namaszczony został trzeci, najmłodszy syn założyciela – Lee Kun-hee znany odtąd po prostu jako prezes Lee II. Był to cichy introwertyk, który całe dnie spędzał zamknięty w pokoju, oddając się swej największej pasji – oglądaniu filmów. Na objęcie schedy po ojcu czekał aż do roku 1987, kiedy to Lee I zmarł.

Przez pierwsze półtora roku nowy prezes niemal nie pojawiał się w biurze. Oddawał się kontemplacji i oglądał w kółko ukochanego „Ben Hura". A potem wyłączył magnetowid i wyszedł do ludzi. Przeprowadził czystkę w zarządzie firmy, wygłosił do pracowników wielogodzinne płomienne przemówienie wyznaczające dalsze losy Samsunga, a następnie w ciągu dekady zmienił firmę z producenta kiepskich podróbek w globalną potęgę. Dzwonił do dyrektorów i wrzeszczał na nich godzinami. Później nagraną rozmowę odtwarzano nieustannie we wszystkich budynkach firmy jako przypomnienie o obowiązkach każdego pracownika względem Samsunga.

Najsłynniejszym atakiem furii prezesa Lee II jest jednak ten z roku 1995. Samsung wszedł na rynek telefonów. Sam prezes, dumny z nowych produktów, podarował kilka z nich jako noworoczny prezent swoim znajomym. Gdy od jednego z nich dowiedział się, że aparat ciągle się psuje, wpadł we wściekłość. Zgromadził ponad 2000 pracowników fabryki, przepasał ich opaskami z napisem „jakość przede wszystkim", a potem kazał im usypać stos z tysięcy telefonów niespełniających norm. Po wygłoszeniu wściekłej tyrady prezes Lee II podpalił stos. To, co z niego pozostało, rozjechano buldożerami. Dekadę później Samsung był szanowanym graczem na światowym rynku telefonów. Dwie dekady później – niekwestionowanym numerem jeden. W międzyczasie prezes został skazany na trzy lata więzienia za przestępstwa finansowe i ułaskawiony przez prezydenta.

W 2014 r. nastąpił kolejny zwrot akcji godny telenoweli lub filmu braci Coen. Prezes Lee II przeżył zawał i udar. Podłączony do aparatury nie mógł opuszczać swojego gabinetu. Tak przynajmniej twierdzili jego prawnicy. Bo opinia publiczna w Korei spekulowała, że wszechwładny prezes nie żyje, lecz nie można tego ogłosić publicznie, nim nie zakończy się niezwykle skomplikowany proces przekazywania dziedzictwa synowi. Aby uniknąć zapłaty wysokiego podatku spadkowego, Lee Jae-yong i armia jego prawników wykorzystali la-

SEONGJOON CHO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

*Na zdjęciach skazańcy, od lewej: Park Geun-hye, prezydent Korei Płd., Lee Jae-yong, wiceprezes Samsung Electronics Co., Chung Mong-koo, prezes Hyundai Motor Co., Chey Tae-won, prezes SK Holdings Co., Koo Bon-moo, prezes LG Corp., i Shin Dong-bin, prezes Lotte Group, styczeń 2017 r.*

birynt podmiotów i finansowych powiązań. Wymagało to „kreatywnego" podejścia do wartości poszczególnych spółek, w wyniku czego miliony dolarów stracił m.in. koreański fundusz emerytalny.

Wkrótce potem koreańską opinią publiczną wstrząsnął kolejny skandal korupcyjny ujawniający powiązania Samsunga z prezydent Park Geun-hye (wybraną w demokratycznych wyborach córką generała Parka). Zgodnie z rodzinną tradycją kolejny prezes Samsunga został skazany na kilkuletnie więzienie. Pewną nowością w historii klanu jest fakt, że tym razem nie skończyło się ułaskawieniem i w momencie, gdy piszę te słowa, Lee Jae-yong przebywa za kratami.

Trudno wyobrazić sobie, żeby Steve Jobs albo Bill Gates kierowali swoimi firmami z więziennej celi. Ale w Korei to raczej reguła niż wyjątek. Geoffrey Cain podaje, że ponad połowa liderów rządzących dziesięcioma największymi czebolami to osoby skazane, choć zwykle nie odsiadują wyroków w wyniku nadzwyczajnych złagodzeń kary i prezydenckich ułaskawień.

### Kultura

Czebole to jednak to nie tylko podobna historia i zrozumiałe dla nas przywiązanie do rodziny. To także normy kulturowe, z których wiele może wydawać się zaskakujących dla polskiego czytelnika.

Samsung zbudowany jest na etosie pracy, który z punktu widzenia europejskiego odbiorcy nosi wszelkie znamiona wyzysku i mobbingu. Dział HR, odpowiadający za rekrutację pracowników i formy ich obecności w firmie, jest kluczowym pionem w organizacji. Wyczerpujący proces rekrutacji otwierający drzwi do wymarzonego statusu „człowieka Samsunga" to dopiero początek drogi. Za kolejnymi jej zakrętami mieszczą się wielodniowe maratony bez wychodzenia z biura, wyczerpujące obozy treningowo-motywacyjne, a także przerażające sesje krytyki i autokrytyki, podczas których kadra zarządzająca nie szczędzi podwładnym gorzkich słów, inwektyw, poniżających gestów i emocjonalnych manipulacji, jakich nie powstydziliby się jurorzy najpodlejszych *talent shows*. Nagrodą za tytaniczny wysiłek i psychiczną odporność jest dobra płaca, wysoki status społeczny, a także – tak przynajmniej było przez wiele dekad – wizja dożywotniego zatrudnienia. Za lojalność firma odpłaca lojalnością.

Ale wpływ specyficznie koreańskiego etosu pracy na czebole rozciąga się daleko poza relację pracodawca–pracownik. Widać go także w stosunku do produktów. Polityka nieustannych innowacji i doskonalenia produktu została zaczerpnięta z tradycji buddyjskiej. Co ciekawe, postulat nieustannego szlifowania i poszukiwania doskonalszej formy odnosi się w równym stopniu do samochodu czy telefonu, co do pracownika, a także samej firmy i narodu, który reprezentuje.

Daniel Tudor, kolega Caina po fachu – wieloletni korespondent w Korei i autor książki „Korea.The Impossible Country" („Korea. Niemożliwy kraj") – podrzuca jeszcze dwa niezwykle interesujące tropy kulturowe. Po pierwsze, skokowy rozwój poszczególnych czeboli i całej gospodarki byłby niemożliwy bez koreańskiej obsesji na punkcie edukacji. U jej źródeł leży zarówno wielowiekowa, konfucjańska tradycja merytokracji ufundowanej na egzaminach umożliwiających przystąpienie do stanu urzędniczego, jak i niedawne doświadczenie zrównania społecznego wywołanego wojennym spustoszeniem kraju. Na gruzach zdewastowanych miast i fabryk edukacja wydawała się jedyną pewną inwestycją i ścieżką do lepszego życia. Tudor przywołuje w swojej książce opowieści o uniwersytetach nauczających Koreańczyków w namiotach na zaimprowizowanych kampusach ulokowanych na stokach wzgórz, a także dwa pokolenia późniejsze historie o uczniach poświęcających dni i noce, by dostać się na wymarzony prestiżowy uniwersytet. Dziś Korea jest światowym czempionem edukacyjnym z niezwykle wysokim udziałem osób z wyższym wykształceniem w populacji. To właśnie ta wiara w naukę, technologię i wiedzę jako drogę do lepszej przyszłości pozwala powiązać jednostkowe biografie pracowników z losami ich korporacji i ojczyzny.

Po drugie, nie sposób zrozumieć czeboli bez odwołania się do pojęcia *jeong* – koreańskiej „wspólnoty" czy „więzi" łączącej jednostki w jeden większy organizm. *Jeong* to duch kolektywizmu, który ożywia koreańskich gigantów biznesowych, scalając ich w silny, zbiorowy podmiot. Ale *jeong*, jak podpowiada Tudor, to także odpowiedź na trawiący Koreę problem korupcji. Koreański rynek nigdy nie będzie w pełni racjonalny, bo od czystego zysku często ważniejsza okazuje się tu specyficznie rozumiana lojalność wobec „swoich". W ten sposób idea *jeong* prowadzi nas wprost ↦

↦ do skomplikowanych relacji pomiędzy czebolami a koreańskim państwem.

### Państwo

Od pół wieku czebole są potężnymi lokomotywami wzrostu, na którym skorzystało całe społeczeństwo koreańskie. Zarazem fortuny i przywileje gromadzone przez rządzące nimi klany mogą przyprawić o zawrót głowy. Rządzący podporządkowują sobie czebole i wykorzystują je we własnych celach, nierzadko zmuszając właścicieli największych firm do płacenia horrendalnych haraczów. Przedsiębiorcy nie pozostają dłużni. Mają swoje sposoby, by wykorzystać państwo – zarówno w ramach legalnie oferowanych tarcz, jak i nielegalnych przysług.

Niejednoznaczny związek między państwem i czebolami świetnie ilustruje przytaczana przez Tudora anegdota o Chung Ju-yungu – owianym legendą twórcy Hyundaia. Choć nam firma ta kojarzy się głównie z samochodami, to Hyundai jest także właścicielem gigantycznej stoczni. Jak to się stało, że stocznia w Ulsan wyrosła na największy tego typu obiekt na świecie? Dlaczego Chung budował szósty, siódmy czy ósmy suchy dok, gdy inne stocznie radziły sobie mając jeden czy dwa? „Nie dlatego, że ich potrzebował – wyjaśnia Tudor – lecz dlatego, że prezydent Park wierzył w przemysł stoczniowy tak bardzo, że zawsze był skłonny dorzucić pieniądze na dodatkowy suchy dok, nawet jeżeli rozbudowa wcale nie była potrzebna. Oczywiście Chung potrzebował pieniędzy na coś całkiem innego. Dlatego nauczył się, jak budować suche doki mniejszym kosztem, a zaoszczędzone pieniądze inwestować w rzeczywiście potrzebne projekty". Brzmi niepokojąco znajomo, prawda?

Za rządów prezydenta Parka Chung-hee wielkie korporacje były kluczowym elementem planu rozwoju gospodarczego – silnikiem, który napędzał Koreę. Było to możliwe dzięki osobliwej polityce protekcjonizmu gospodarczego połączonego z promowaniem eksportu. Koreańskie firmy cieszyły się szeroką ochroną przed zagraniczną konkurencją na własnym rynku, dzięki czemu nie bankrutowały w zderzeniu z nieporównywalnie potężniejszymi producentami z Japonii, Niemiec czy USA. Zarazem jednak Park zmuszał czebole do eksportu i rywalizacji w tym zakresie, dzięki czemu istniała pomiędzy nimi pewna konkurencja, motywująca do stałego udoskonalania produktów, a do kraju płynęły bezcenne obce waluty.

Jak to wygląda dzisiaj? Czy to czebole realizują politykę rządu? A może rząd – politykę czeboli? Upadek Daewoo nie pociągnął Korei na dno (choć widać go wyraźnie na wykresie PKB kraju), mimo że było to wówczas największe bankructwo komercyjne w historii. Od tego czasu minęło 20 lat, a potęga czeboli jeszcze wzrosła. Gdy o Samsungu mówi się „zbyt duży, by upaść", to słowa te mogą znaczyć zupełnie coś innego, niż gdy wypowiadano je przed dekadą przy okazji kryzysu bankowego w USA. Gospodarka Korei naprawdę staje się tożsama z Samsungiem czy Hyundaiem. Interes czeboli staje się tożsamy z interesem państwa. Narodowe flagi coraz częściej okazują się tylko maskami przywdziewanymi przez korporacje, potrzebujące politycznej reprezentacji na forum międzynarodowym.

Czy w związku z tym narodowa tożsamość nie będzie z czasem słabła w zestawieniu z lojalnością wobec coraz potężniejszych międzynarodowych korporacji? Czy w przyszłości czeka nas obywatelstwo korporacyjne, a „ludzie Samsunga" są jednymi z tych, którzy przecierają szlaki?

> Przez pierwsze półtora roku nowy prezes niemal nie pojawiał się w biurze. Oddawał się kontemplacji i oglądał w kółko „Ben Hura". A potem wyłączył magnetowid i w ciągu dekady **zmienił firmę z producenta kiepskich podróbek w globalną potęgę.**

### Marzenia

Jak koreański cud gospodarczy wyglądał z punktu widzenia konsumenta? Nieco rzecz upraszczając, można powiedzieć, że ceną wzrostu było wyrzeczenie się przez całe pokolenie Koreańczyków szybkiego dostępu do zachodnich dóbr. Świetnie opisuje to Ha-Joon Chang, błyskotliwy koreański ekonomista w swojej książce „Źli Samarytanie". Chang, urodzony na początku rządów Parka, jako dziecko mógł tylko marzyć o M&M'sach. Ale dzięki temu w Korei powoli, bez przeszkód rozwijało się Lotte – dziś światowy czekoladowy potentat i właściciel m.in. Wedla. Podobnie było z samochodami – przez lata Koreańczycy byli skazani na niskiej jakości produkty lokalne. Teraz Kia i Hyundai z powodzeniem rywalizują z Fordem czy Volkswagenem w ojczyznach tych marek. To tak, jakby Polacy od lat 90. ubiegłego stulecia zostali zmuszeni do jeżdżenia polonezami i słuchania muzyki ze sprzętu Unitry po to, by dziś FSO eksportowało nowoczesne polskie samochody elektryczne naprawdę, a nie tylko w przemówieniach polityków.

Czy taki scenariusz mógłby się zrealizować? Czy wytrzymalibyśmy trzy dekady wyrzeczeń? Czy protekcjonizm nie zamknąłby nam drogi do zjednoczonej Europy? Jeżeli mówimy o narodowych mitologiach i o niezrealizowanych scenariuszach, które, niczym upiory, nawiedzają nasze debaty polityczne – warto spróbować sobie taką historię alternatywną wyobrazić.

Jest rok 2020. Mija druga dekada, odkąd FSO wykupiło upadający koncern Daewoo, a Syrena 44 kolejny rok z rzędu pozostaje najlepiej sprzedającym się elektrycznym samochodem na świecie. Polski konglomerat informatyczny Bajtek-Unitra zapowiada rozwinięcie współpracy z gigantem motoryzacji z Żerania i wprowadzenie na rynek pierwszego w pełni autonomicznego auta przeznaczonego dla masowego odbiorcy. Projektowi bardzo kibicuje prezydent Kwaśniewski, rozpoczynający właśnie szóstą kadencję w Belwederze. Jego wspólne zdjęcie z prezesem Bajtka, odsiadującym wyrok za tzw. aferę dworkową, wywołało kolejną lawinę spekulacji na temat możliwego ułaskawienia dziedzica elektronicznego imperium. Żaden z bohaterów tej historii jeszcze nie wie, że wkrótce ich plany pokrzyżuje wcale nie Elon Musk, lecz nowy szczep koronawirusa. Ale to już materiał na zupełnie inne opowiadanie *science fiction*.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

# Kryzys w Kościele – upadek czy odnowa?

*Nazwanie po imieniu swoich grzechów jest już aktem pokuty. Bóg nie ma co przebaczać naszych słabości, jeśli nas stworzył słabymi! Przepraszamy za winy.*

*Ks. Adam Boniecki*

Wydanie specjalne „Kryzys w Kościele” dostępne w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**, także jako e-book.

**weź, czytaj!**

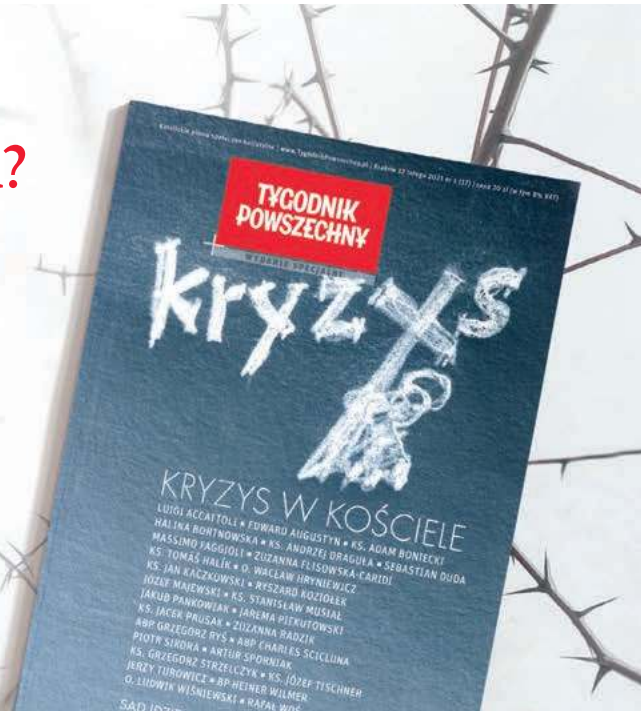


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER WYDANIA: wydawnictwo


POŻEGNANIE

21 marca 2021 odszedł

## Adam Zagajewski

wielki Poeta, nasz Przyjaciel

Maju, jesteśmy z Tobą

Anna Barańczak, Anna i Karol Berger, Anna Bikont, Seweryn Blumsztajn, Jacek Bomba, Clare Cavanagh, Maria Dzieduszycka, Magda i Andrzej Dudzińscy, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Gauden, Irena Gross, Jennifer Grotz, Katarzyna Herbert, Edward Hirsch, Teresa i Rafał Jabłonka, Maria i Ireneusz Kania, Sebastian Kleinschmidt, Maja Komorowska, Julian Kornhauser, Jerzy Kronhold, Michael Krüger, Krystyna Krynicka, Ryszard Krynicki, Ewa Lipska, Helena Łuczywo, Leon Neuger, Adam Michnik, Dorota i Tadeusz Nyczkowie, Małgorzata i Wojciech Ornat, Krystyna Piotrowska, Barbara Pszoniak, Masza Potocka, Joanna Ronikier, Anda Rottenberg, Renate Schmidgall, Leszek Sobocki, Dorota i Tomasz Różyccy, Barbara Toruńczyk, Elżbieta i Bogdan Tosza, Alissa Valles, Jan Vanriet, Jacek Waltoś, Ewa i Wojciech Wołyńscy, Zofia Winawer, Krystyna Zachwatowicz-Wajda, Grażyna i Jerzy Zadęccy, Iwona Zielińska

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Rejestracja*

Mniemamy, że rząd Mateusza Morawieckiego dotarł do zawsze zdumiewającej wszystkich polityków chwili, w której okazuje się nagle, że oto nie ma już szans na żaden sukces, że swe ohydne zęby szczerzą same porażki. I choćby przyszło tysiąc atletów, a każdy zjadłby tysiąc kotletów, to rząd nie ma już nic do zrobienia. Nadszedł czas, że on i jego ludzie mylą się nawet podczas wkładania kapci. Można powiedzieć mocniej: że oni już po prostu nie wkładają kapci, bowiem nie wstają z łóżek.

Ta niewyjaśniona i nigdy nieopisana reguła uderzała w wiele polskich rządów, a może nawet we wszystkie. W jedne bardzo szybko, a w inne późno. Jak sięgamy pamięcią, moment ten był zawsze zaskakujący. Rząd Morawieckiego ma oczywiście nielekko, ale pomysł, by iść i wygrywać ostatnie wybory, nie był nasz. Gdybyśmy mieli cokolwiek doradzać, to rzecz jasna namawialibyśmy, by partia, znana z szalenie krótkiej ławki ludzi umiejących cokolwiek, wstrzymała się wtedy od jakiejkolwiek aktywności politycznej. Do czasu ujarzmienia wirusa.

No więc wykopyrtnięcie się na czymś tak prostym, jak rejestrowanie ludzi, ma moc symbolu. Rzec trzeba, że rejestrowanie dowolnej liczby ludzi w dowolnym celu i czasie jest dziś, przy dzisiejszych możliwościach technologicznych, zadaniem dziecinnie prostym i tanim. Uporządkowane rejestrowanie nie jest żadnym zadaniem, jest śmiechu wartym zmechanizowanym zdarzeniem, którego nie da się opisać w kategoriach sukcesu. Zwłaszcza gdy dysponuje się – *pardon* – zasobami choćby tak średniego imperium jak nasze. Rejestrowanie jest dziś czynnością najprostszą z najprostszych, nie wymaga żadnego ani niczyjego wysiłku. Nie ma państwa na świecie, które uważałoby sprawne rejestrowanie swych obywateli za sukces. Oczywiście można w miarę regularnie odkurzać budynek, w którym rejestratory stoją. Można tam umyć podłogę, wygonić gruchające gołębie z parapetu, odkleić gumy do żucia ze spodów krzeseł, sprawdzić, czy ochroniarze nie są pijani, czy nie przekroczyli cienkiej linii, która wyznacza granice tolerancji dla spania na służbie, można sprawdzić, czy pomiędzy kabelkami nie chodzą szczypawki. I tyle.

Wbrew temu, co się powiada w środowiskach technicznie wykluczonych, dziś, w najszerzej pojętym świecie rejestracji, wszystko robi się samo i owo robienie jest zawsze precyzyjne i skrajnie perfekcyjne. Powie to każdy, kto zetknął się choćby naskórkiem z banałem świata rejestracji. Słowem, rząd, który ma kłopoty z tą czynnością, trzeba uznać za całkowicie skończony, a ludzi tłumaczących tu cokolwiek za niekompetentnych i rozpaczliwie nieudolnych. Ich porażka na froncie rejestrowania oznacza równocześnie pewność stuprocentowej porażki na każdym innym froncie. Świadomość tej koincydencji może albo wręcz musi być powodem skrajnej paniki. Sam widok Mateusza Morawieckiego już wywołuje dreszcze, jakiekolwiek zdanie wypowiedziane przez tego człowieka powolušku, ale nieuchronnie uruchamia odruch kupowania kamizelek ratunkowych, masek przeciwgazowych, zapasów konserw, magazynowania opału, wody pitnej i choć idzie wiosna – ciepłej odzieży.

Idźmy dalej. Jakiekolwiek rejestrowanie – popatrzmy – jest zawsze pierwszym krokiem. Wiadomo. Potem idzie analiza danych, ich synteza, a wreszcie konsumpcja. W tym miejscu zielonoszary ze strachu, świadomy swej tragicznej sytuacji obywatel zaczyna piszczeć. Rozumie, że dalszym ciągiem jest inwigilacja. Dopadają nas wtedy dreszcze, szczękamy zębami, nadciąga groza, zwierzęcy lęk, popadamy w manię, rozglądamy się wokół, sprawdzamy długość i zawiłość wszelkich haseł dostępu do naszych sejfów, szyfrujemy, co się da.

Gdy jednak widzimy, że aparat państwowy nie jest zdolny do prawidłowego zarejestrowania człowieka – do szczepienia – emocje siadają. Przychodzi odprężenie i spokój, człowiek zanurza się w różowej galaretce relaksu. Tak jest i teraz, i to jedyna dobra strona ostatnich wydarzeń. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

# Czy Jezus miał ciotki, wujów i kuzynów?

**O zagadkowym rodowodzie i potrójnym zamążpójściu przeczytasz na**

**muzea.malopolska.pl**

WIRTUALNE MUZEA MAŁOPOLSKI

Fundusze Europejskie Program Regionalny

małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE
WARSZAWSKIM

# ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ

polin.pl

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Honorowy patronat:

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

Partnerzy:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Partnerzy medialni: